

WYJŚCIE Z WETA
Czy Unia obali
rząd PiS

DZIKOŚĆ W SERCU
Zwierzęta i ludzie:
bliscy, rywale, sąsiedzi

BŁĄD PAPIEŻA
Sprawa kardynała
Hansa Groëra

POLSCY SENIORZY
Porzuceni
przez państwo

MIEJSKI LAS
Jak łączą
nas drzewa

Kraków 13 grudnia 2020 nr 50 (3727)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

JERZY STUHR Mój sposób na spokój



xABO KSIĄDZ BONIECKI

xABO

„XABO: KSIĄDZ BONIECKI”
JUŻ NA NAJLEPSZYCH
PLATFORMACH VOD

więcej informacji na:
powszech.net/vod-xabo

SCENARIUSZ I REŻYSERIA ALEKSANDRA POTOCZEK
PRODUCENT ALEKSANDER KARDYS PRODUCENT WYKONAWCZY AGNIESZKA ISKRA
ZBIĘCIA ADAM PALENTA, SZYMON SINOFF WIEROŃNICTWO PRODUCJI LIDIA BARANKIEWICZ
MONTAŻ MARCIN SUCHARSKI DŹWIĘK TOMASZ KOCHAN MUZYKA HANIA RANI



PRODUKCJA
FEDERACJA
TYGODNIKA
POWASZCZEGO



kbf:



Kraków

MAŁOPOLSKA



KS. ADAM

Boniecki: Powrót do natury. Dzikiej

WIOSKA NOSI NAZWĘ (O ILE DOBRZE PAMIĘTAM) Kolonia Krystyna (Colônia Cristina). Dziś na obrzeżach Kurytyby, powstała na początku XX wieku. Emigrantom z Polski przydzielono kawał lasu, gdzie mieli się pobudować, zagospodarować, żyć. Kurytyba była mniejsza niż dziś, a więc i odległość od Kolonii większa niż dziś. Las nie był puszcą amazońską, ale wiedząc, jak szybko tam wszystko rośnie, sędzę, że las musiał być gęsty i oporny. Wykarczowali las, zaorali ziemię, obsiali, pobudowali domy, osiedlili się i siedzą do dziś. Po lesie nie ma śladu, dojazd do Kurytyby jest wygodny. Wieś schludna, zamożna i wciąż polska. Na niedzielę sprowadzają z Kurytyby księdza-Polaka i modlą się po polsku. Mówią po polsku, trochę gwarą i stylem z „Trylogii” pana Sienkiewicza. Tylko żal, że Colônia Cristina się starzeje. Młodzi się przenoszą do miasta, po portugalsku mówią lepiej niż po polsku. Ale opowieść o założycielach-pionierach jest żywa. O tym, jacy byli wspaniali, gdy tak rąbali, karczowali, orali, zasiewali i budowali.

Tak, wyrastaliśmy w kulcie czynienia ziemi sobie poddaną. Byliśmy dumni, że tam, gdzie była pustynia (las, mokradła), wyrosły miasta, że wyprodukowaliśmy sztuczne nawozy, że zbudowaliśmy kopalnie i elektrownie atomowe, wyprostowaliśmy i obetonowaliśmy rzeki, wymyśliliśmy samochody i samoloty. Na ścianach wieszaliśmy trofea: obok kłów i pazurów drapieżników oraz wypchanych niedźwiedzi – poroża niegroźnych jeleni. No i teraz się okazało, że w tych zdobyczach jest przekleństwo i jeżeli matce naturze szybko nie oddamy tego, cośmy jej wydarli, to nasze panowanie nad światem źle się skończy. Sporo tego.

Magazyn „Science” policzył, ile jest do oddania. Pozostało już tylko 23 proc. powierzchni lądów i 13 proc. oceanów bardziej lub mniej niezniszczonych przez człowieka. Dziewicze morza niepoddane presji przemysłowego połowu ryb, żegluga



i zanieczyszczeń uchowały się tylko w pobliżu biegunów. 94 proc. lądowych obszarów dzikości znajduje się w granicach 20 państw. O tym się dziś mówi i o tym piszemy w tym numerze. Ale nie chodzi o jakiś tam „powrót do natury” w stylu Jeana-Jacques’a Rousseau. Jak nie można negować wartości wszystkich prób ujarznienia przyrody, jak szaleństwem trącą hasła antyszczepionkowców, tak też ryzykowne byłoby zakwestionowanie wszystkiego, co wydarliśmy naturze i co się składa na kulturowy dorobek ludzkości. Ryzykowne jest również uznawanie za „odejście od natury” wszelkich moralnych norm sformułowanych przez człowieka i traktowanie własnych emocji czy wyobrażeń (natura?) jako głosu sumienia. Jakby nie było żadnych obiektywnych norm moralnych. Gdyby miarą zła i dobra naszych czynów miały być instynkty lub wycucie, cofnęlibyśmy się do stadium dzikości. A tam często decyduje strach. Wystarczy chwila – jak mówimy – „zwierzęcego strachu”, by uruchomić w nas (tak!) ślepą agresję.

Przykład: niedawno napisałem tekst w obronie Jana Pawła II z konkluzją, że nie będę podpisywał listów w jego obronie (bo nie jest odpowiedzią na konkretne pytania list otwarty o tym, że Jan Paweł II wielkim papieżem był). Więc po tym, jak to napisałem, zaatakowała mnie (słownie) ze straszliwą złością pewna dama. Albo nie czytała mojego (krótkiego) tekstu, albo kompletne go nie zrozumiała. Może przeczytała tylko to zdanie o niepodpisywaniu listu w obronie. Rozmawiać z nią się nie dało, tak była rozżłoszczona. Myślę, że w jej agresji wyrażał się właśnie strach, bo zagrożony został filar, na którym się opierała jej wiara, wizja świata, może nawet całe jej życie – Jan Paweł II święty. Strach i bezradność, bo ten, którego uważała za naturalnego strażnika filaru (czyli ja), zawiódł. Była bardzo „autentyczna” (jak ja nie lubię tego słowa). Ten atak był bez sensu, ale to też był powrót do natury. Dzikiej. Czego nikomu nie życzę.

©P

TYGODNIK
POWSZECHNY

Moc czytania na święta – świat na tak!

Bóg się rodzi w krzysie. Józef-pantoflarz.
Łono poza kontrolą. Chrześcijaństwo osieroconych.
Kucharz z Betlejem. Wracają wilki.
Owcom nie trzeba pasterzy. Polski przystanek Alaski.
Renia wygrywa z rakiem. Filmowe zwierciadło Niemiec.

Krzyżacy: zakon roku. Koniec teatru guru.
Keith Jarrett – brzmienie ciszy.
Boniecki, którego nie znacie.
A także: dodatek specjalny o Stanisławie Lemie
z grafikami Daniela Mroza

Podwójny, bożonarodzeniowy numer „Tygodnika Powszechnego” ukaże się w środę 16 grudnia – **weź, czytaj!**

22 Porzuceni przez państwo

ROZMOWA
Z PAWŁEM
KUBICKIM,
GERONTOLOGIEM:
*Tysiące najstarszych
Polaków traci sens
życia, a instytucje
nie mogą zrobić
nic, by im ten sens
przywrócić.*



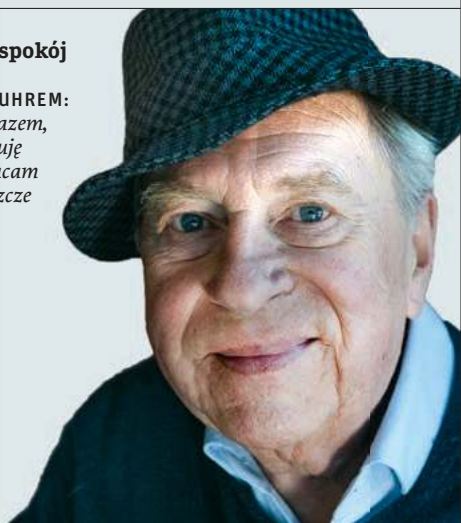
38 Polityka zamiast prawdy

EDWARD AUGUSTYN

Sprawa kard. Groëra sprzed 25 lat to przykład nieprzejrzystego, nieudolnego i tragicznego w skutkach traktowania przestępstw seksualnych za pontyfikatu Jana Pawła II.

70 Sposób na spokój

ROZMOWA
Z JERZYM STUHREM:
*Za każdym razem,
kiedy odzyskuję
zdrowie, wracam
do życia z jeszcze
większym
apetytem
na przygodę
ze światem.*



48 Wieczny kandydat

MARTA SZPALA
*Bułgaria blokuje
rozpoczęcie
negocjacji, których
celem jest włączenie
Macedonii
Północnej
do Unii
Europejskiej.
Idzie o historię
i tożsamość.
Znowu.*

86 Leczenie betonozy

ROZMOWA Z JANEM
MENCWELEM,
WARSZAWSKIM
AKTYWISTĄ:
*Narzeka się,
że podziały
w Polsce są już tak
głębokie, iż nigdy się
nie dogadamy.
A jak ktoś chce
wyciąć drzewa
z ulicy, to podziały
przystają mieć
znaczenie. Wszyscy
razem protestują.*



76 Saperka

MONIKA
OCHEŃDOWSKA
*Najnowszą
historię kobiet
chcą nam pisać
Blanka Lipińska,
Remigiusz Mróz
i Patryk Vega.
Snują opowieść,
w której centrum
znajduje się gwałt.
Nic wam do
tego – odpowiada
Inga Iwasiów.*

KOMUNIKAT DLA PRENUMERATORÓW

Z uwagi na dramatycznie narastającą liczbę zachorowań w kraju, a co za tym idzie, duże prawdopodobieństwo zakażeń wirusem SARS-CoV-2 także wśród pracowników Poczty Polskiej – naszego głównego dystrybutora

prenumeraty – zostaliśmy powiadomieni przez Poczte Polską o możliwości zaistnienia przejściowych opóźnień w dostarczaniu do Państwa skrzynek pocztowych prenumerowanej prasy, w tym „Tygodnika Powszechnego”. W przypadku ewentualnych opóźnień

upraszamy Państwa o wyrozumiałość w tej trudnej i niekomfortowej dla nas wszystkich sytuacji. Serdecznie prosimy o cierpliwość, dolożymy wszelkich starań, abyście Państwo otrzymywali nasze pismo bezzwłocznie.
WYDAWCA

6 Wreszcie mamy szczepionkę
BARTOSZ KABAŁA

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Porzuceni przez państwo
ROZMOWA Z PAWŁEM KUBICKIM

26 Poza kręgiem
KLAUS BACHMANN:
*Kaczyński i Orbán chcą wspólnie
zrobić wielki prezent pod choinkę
przeciwnikom z Unii i ze swoich
krajów*

**28 Brama zawsze mnie
przyjmie**
BARTOSZ JÓZEFIAK
o bezdomności w pandemii

31 Budżet na jednej nodze
MAREK RABIJ:
*Czas na trudną rozmowę
o systemie podatkowym*

■ ■ **WIARA**

38 Polityka zamiast prawdy
EDWARD AUGUSTYN

42 Czas próby
PATRYCJA BUKALSKA:
*Jak wspólnoty religijne
w Wielkiej Brytanii radzą sobie
z restrykcjami*

44 Poza słowami
ROZMOWA Z KS. PROF. JÓZEFEM
NAUMOWICZEM, AUTOREM
KSIĄŻKI „NOWA FILOKALIA”:
*Modlitwa nie jest sprawą łatwą,
bo szybko ulegamy rozproszeniu*

■ ■ **ŚWIAT**

48 Wieczny kandydat
MARTA SZPALA

TEMAT TYGODNIKA



JACEK ŁĄGOWSKI / FORUM

12 Daleko od bobra

MARCIN ŻYŁA

Fantazujemy o domu w Bieszczadach,
chcemy jeździć za miasto i wychować
dzieci jak najbliżej przyrody.
Ale gdy przychodzi co do czego
– odpychamy ją od siebie jak najmocniej.

16 Lew nasz powszedni

ROZMOWA Z MIKOŁAJEM GOLACHOWSKIM,
BIOLOGIEM:

Człowiek wpada do swoich sąsiadów
zwierząt i zamiast poprosić o pożyczanie
cukru, obrabia pół mieszkania.

■ **FELIETONY** ■

33 JACEK PODSIADŁO **47** WOJCIECH BONOWICZ

84 JAN KLATA **85** PAWEŁ BRAVO

90 STANISŁAW MANCEWICZ

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: JERZY STUHR

FOTOGRAFIA: GRAŻYNA MAKARA

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

51 Młodzi gniewni, starzy gniewni
DARIUSZ KAŁAN Z BUDAPESZTU:
*Jak Orbán chce pozyskać młodych
Węgrów*

53 Dziś nam trzeba pięciu
ANNA MIKULSKA Z SYCYLII: *Praca
na czarno i tania siła robocza Włoch*

56 Stan wyczerpania
MAGDALENA BARTCZAK
Z SANTIAGO DE CHILE:
*W Ameryce Południowej chorują
ludzie, a wraz z nimi całe systemy
państwowe*

■ ■ **HISTORIA**

59 Grudniowe salwy
JAN SZKUDLIŃSKI:
*17 grudnia 1970 roku wczesnym
rankiem było zupełnie inaczej*

■ ■ **NAUKA**

66 Selfie z trumną
ROZMOWA Z ANTROPOLOŻKĄ
KATHLEEN ADAMS
*o rytuałach pogrzebowych
plemienia Toradżów*

■ ■ **KULTURA**

70 Sposób na spokój
ROZMOWA Z JERZYM STUHREM

76 Saperka
MONIKA OCHĘDOWSKA

79 Aria na strunie G
DOROTA KOZIŃSKA:
*Listy Chopina
i wszystkie jego romanse*

82 Rezonans magnetyczny
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Nadzieja” Marii Sødahl

84 Portret pisarza prawdziwego
LEKTOR o książce Justyny Sobolewskiej
*„Miron, Ilia, Kornel. Opowieść
biograficzna o Kornelu Filipowiczu”*

■ ■ **ZMYŚŁY**

86 Leczenie betonozy
ROZMOWA Z JANEM MENCWELEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Strona świata**

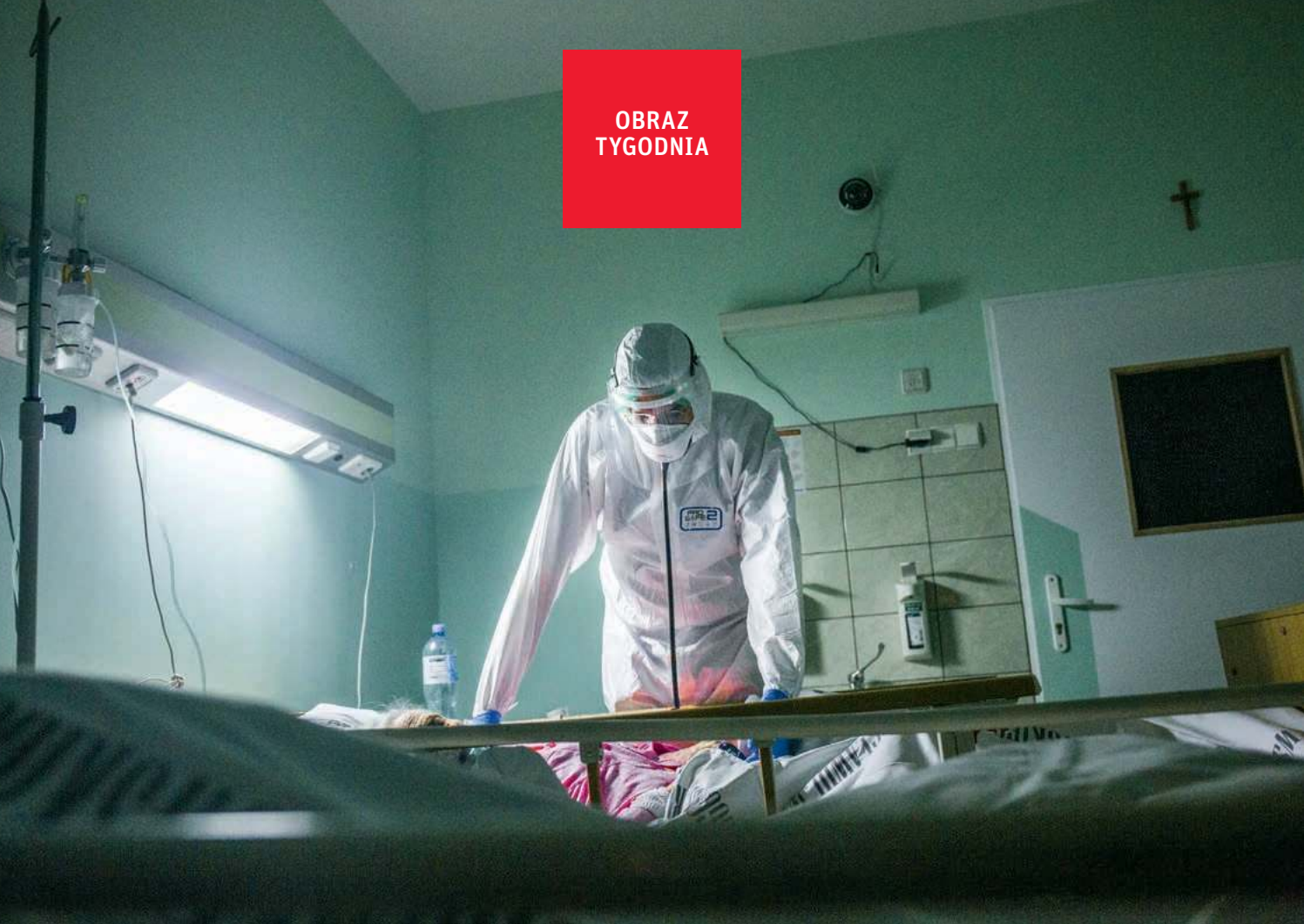
George Weah, najlepszy afrykański piłkarz, trzy lata temu został prezydentem. Miał być dla mieszkańców Liberii wybawieniem. Dziś rodacy chętnie zamieniliby go na kogoś innego – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]**

Moment przełomowy? Jesień 1962 r., kiedy Beatles na liście Top Twenty umieszczają piosenkę „Love Me Do”. To mi kompletnie wszystko przewróciło. I zostałem z tym wszystkim przewróconym w głowie do dziś – opowiada **TADEUSZ SŁAWEK** powszech.net/podkast

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY



WRESZCIE MAMY SZCZEPIONKĘ

Powstała w rekordowym tempie, na podstawie nowej technologii. I jest triumfem nauki, a nie efektem narażania procedur bezpieczeństwa.

BARTOSZ KABAŁA

WŚRODĘ 2 GRUDNIA BRYTYJSKI URZĄD rejestrujący produkty lecznicze (MHRA) dopuścił do użytku szczepionkę przeciw SARS-CoV-2 firmy Pfizer/BioNTech (więcej na str. 9). Stało się to zaledwie kilka tygodni po informacji o 95-procentowej skuteczności szczepionki we wszystkich grupach wiekowych. Zatwierdzenie produktu poprzedziła wielomiesięczna analiza danych w procesie zwanym *rolling review*. Napływające informacje z badań przedklinicznych i klinicznych sprawdzano na bieżąco, co pozwoliło tak szybko – choć na razie tymczasowo – zarejestrować preparat. Ta sama szczepionka została przedstawiona amerykańskiej Agencji Żywności i Leków

(FDA), decyzja o jej dopuszczeniu ma zapaść w ciągu kilku tygodni.

Pod nazwą rejestracyjną BNT163b2 kryje się zupełnie nowa szczepionka mRNA. Zawiera cząstki materiału genetycznego koronawirusa, kodujące białka obecne na jego powierzchni, dzięki którym przenika on do ludzkich komórek. Jak działa? Gdy fragment mRNA umieszczony w tłuszczowej otoczce dostanie się do naszego organizmu, zostaje wchłonięty przez komórki. Tam na bazie mRNA syntetyzowane jest białko wirusa, samo w sobie niegroźne, ale wywołujące reakcję immunologiczną organizmu, taką jak przy infekcji wirusem. W efekcie, po kilku tygodniach od przyjęcia preparatu, zyskujemy odporność.

*W Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym im. J. Gromkowskiego we Wrocławiu, przekształconym w szpital dla chorych na COVID-19.
1 grudnia 2020 r.*

Żadna szczepionka mRNA nie była wcześniej dopuszczona do stosowania u ludzi. Ale pomysł, by wykorzystać aparat molekularny ludzkiej komórki, wstrzykując przepis na konkretne białko, tlił się od lat 90. XX wieku. Dopracowanie metody zajęło wiele lat. Dzięki owocom tej pracy naukowcy mogli w takim tempie stworzyć szczepionkę na koronawirusa.

Klasyczne szczepionki przeciw wirusom zawierają osłabione lub martwe patogeny bądź wyprodukowany w laboratorium fragment wirusa, co bywa żmudne i kosztowne. Szczepionki mRNA przenoszą tę produkcję do naszych komórek. Co ważne, mRNA nie łączy się z naszym DNA – jest krótkotrwałe i niestabilne – czego efektem ubocznym jest konieczność przechowywania szczepionki w bardzo niskiej temperaturze (-70 st. C).

Na tej zasadzie działają również inne testowane obecnie szczepionki. W kolejce do zatwierdzenia czekają preparaty koncernów Moderna i AstraZeneca, które również wykazywały wysoką skuteczność i bezpieczeństwo. Moderna informuje o stu-procentowej ochronie przed ciężkimi przypadkami COVID-19. Przewagą tych szczepionek może być wyższa temperatura przechowywania. Transport i magazynowanie to jedno z poważniejszych wyzwań dla służb medycznych wielu państw, zwłaszcza biedniejszych. Ponadto już teraz pojawiają się doniesienia o atakach hakerskich na systemy chłodnicze.

Z oczywistych przyczyn długofalowe bezpieczeństwo nie zostało jeszcze potwierdzone, choć dotychczasowe dane wskazują jasno, że żadna z wymienionych szczepionek nie powoduje poważnych powikłań. Trudno jednak pozbyć się wrażenia, że prace nad szczepionką to wyścig między koncernami farmaceutycznymi i państwami. To może budzić nieufność i utrudniać przekonanie ludzi do szczepień.

Czy to zapowiedź końca prawie rocznych zmagania z pandemią? To wciąż niejasne. Szczepionki chronią przed objawami, ale nie ma danych o ograniczeniu transmisji wirusa, a to kluczowe dla opanowania zagrożenia. W dodatku nie wiadomo, jak długo utrzymuje się odporność (szacunki mówią o „miesiącach lub latach”) i czy wirus w przyszłości nie zmutuje, co spowoduje konieczność opracowania nowych wariantów szczepionki. ©

Polska czeka, rząd działa jak zwykle

MACIEJ MÜLLER



WŁADZE PRACUJĄ NAD NARODOWYM Programem Szczepień. Polska zamówiła na razie 45 mln dawek, wiadomo, że w pierwszej kolejności szczepione będą osoby pracujące w ochronie zdrowia, mieszkańcy DPS-ów i innych zakładów opiekuńczych, służby mundurowe i osoby starsze. Od poniedziałku trwają konsultacje ze środowiskiem medycznym, mocno zaniepokojonym ogłoszonymi w piątek warunkami, które muszą spełnić punkty szczepień zgłaszające się do konkursu NFZ. Płatnik chce m.in., żeby punkt pracował pięć dni w tygodniu i obsługiwał tygodniowo przynajmniej 180 pacjentów, musi też posiadać oddzielny zespół wyjazdowy. Warunki lokalowe muszą zapewniać odseparowanie pacjentów, którzy przyszli się zaszczepić. A przy tym wszystkim akcja szczepień nie może zakłócać wykonywania innych świadczeń medycznych.

Tego dokumentu na pewno nie przygotował ktoś pracujący w punkcie szczepień – wskazują praktycy. To są wyśrubowane wymagania, które w dodatku wzajemnie się wykluczają. Doprowadzą do ograniczenia liczby punktów szczepień, a w efekcie nie uda się osiągnąć oczekiwanego poziomu wyszczepienia populacji – ostrzega Porozumienie Zielonogórskie, skupiające

właścicieli przychodni podstawowej opieki zdrowotnej. Według rządu to właśnie przychodnie POZ miałyby się stać podstawą akcji, a punkty (szef kancelarii premiera Michał Dworczyk mówił o 8 tys.) powinny działać „w każdej gminie”. Według samych zainteresowanych wymogi spełnią tylko duże jednostki. W małych, gdzie pracuje jeden lub dwóch lekarzy, niemożliwe jest przecież oddelegowanie pracowników wyłącznie do szczepień.

Rząd powinien był zawczasu, na sucho, jeszcze przed ogłoszeniem przez firmy farmaceutyczne sukcesu w pracach nad preparatem, przy udziale ekspertów (i praktyków!) opracować realistyczne wymogi dla placówek, przeprowadzić konkurs i zacząć tworzyć dodatkową infrastrukturę. Wysokie wymagania są zrozumiałe, ale te proponowane przez NFZ na wstępie wykluczają większość chętnych. Organizacja szczepień przypomina inne fronty walki rządu z epidemią. Dość wspomnieć niewydolny system testowania, nieprzygotowanie szkół na wrzesień, „kolorowanie” powiatów przy użyciu wyłącznie jednego wskaźnika epidemicznego czy zaniedbania przy zakupie szczepionki na grype. Wszędzie tam strategia była tworzona na bieżąco i klarowała się w ogniu walki. Teraz znów nas to czeka. ©©

Szkoła z przetrąconym kręgosłupem

„**DO NASZEJ KLINIKI** przychodzi coraz więcej dzieci z dolegliwościami bólowymi. Gdy szukamy przyczyny, odkrywamy u nich wady postawy, małą ruchomość kręgosłupa, przykurcze” – alarmował w zeszłym tygodniu na stronie Polskiej Agencji Prasowej fizjoterapeuta Adam Markiewicz z Kliniki Neurologii Rozwojowej i Epidemiologii Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki. Markiewicz nie pozostawił złudzeń: dolegliwości mają przynajmniej częściowy związek z nauczaniem zdalnym – dzieci spędzają przed komputerem od czterech do dziesięciu godzin dziennie, a rozmowy medyków z rodzicami wskazują, że im wyższa klasa, tym i godzin przed ekranem więcej.

Sytuacji nie poprawia specyfika zdalnych zajęć z wychowania fizycznego. Jedni na-

uczyciele próbują stworzyć namiastkę aktywności (uczniowie wysyłają filmiki z nagranymi ćwiczeniami), inni nie robią nawet tego – poprzestają na fasadowych zadaniach z historii pływania lub lekkoatletyki tłumacząc, że nie mogą brać odpowiedzialności za niekontrolowane urazy.

Alarm ekspertów od kręgosłupa to kolejne – po doniesieniach o wpływie epidemii na psychikę uczniów – ostrzeżenie dla polskiego systemu edukacji. Tak jak nie dorośli się on narzędzi, by radzić sobie z emocjami (połowa placówek nie ma pedagoga ani psychologa na etacie), tak pozostaje bezradny wobec wad postawy. Placówki oświatowe – wynika z lipcowego raportu Najwyższej Izby Kontroli – nie dbają o profilaktykę, leży współpraca z rodzicami, a gminy „nie nadzorują procesu korekcji postawy u dzieci – z reguły nie interesują się tą kwestią, całą odpowiedzialność przerzucając na szkoły”.

©© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PSL: przebudzenie

ANDRZEJ STANKIEWICZ



WICESZEF RADY NACZELNEJ PSL MAREK Sawicki lubi zaintrygować. Ostatnio od niechcenia oświadczył: „Prowadzimy negocjacje z PiS w sprawie wyboru Rzecznika Praw Obywatelskich, prezesa IPN oraz unijnego budżetu. Premier nie musi być zakładnikiem radykała Zbigniewa Ziobry”.

W PSL Sawicki od dawna uważany jest za zwolennika koalicji z PiS. Ale sygnałów o zbliżeniu jest więcej: szef klubu PiS Ryszard Terlecki zaproponował senatorowi PSL Janowi Filipowi Libickiemu objęcie fotela marszałka Senatu. Należy pamiętać, że wszystko to dzieje się w sytuacji, gdy obóz władzy przeżywa kryzys wewnętrzny, związany z negocjacjami budżetu UE. Na razie Ziobro, który domaga się jego zawetowania, ma za sobą Kaczyńskiego. Ale gdyby prezes PiS pozwolił Morawieckiemu zawrzeć w Brukseli kompromis, to Ziobro może zagrozić odejściem z koalicji. Wtedy proeuropejskie PSL by się przydało.

To, że wszystkie dotychczasowe próby wciągnięcia ludowców do koalicji skończyły się odmową, nic nie znaczy. Jeśli w obozie władzy wybuchnie wojna o budżet europejski, to trup będzie się ścielił gęsto. Zresztą same kontakty PiS z ludowcami wywołały nerwowość u ziobryistów, co też jest Kaczyńskiemu na rękę.

Z jednej strony PSL do koalicji wciąż się nie pali. Czasy są trudne, Kaczyński nieprzewidywalny, a PiS drapieżny. Ale sytuacja jest dla ludowców korzystniejsza niż jeszcze kilka miesięcy temu. Władza jest osłabiona – choćby na wsi, gdzie brutalnie walczyła z ludowcami. Po próbie wprowadzenia „piątki dla zwierząt” notowania PiS wśród rolników spadły.

Ludowcy powoli kończą czas wielkiej smuty po fatalnym wyniku prezydenckim Kosińskiego-Kamysza. Pozbyli się Pawła Kukiza, który nigdy do nich nie pasował, a w sprawie budżetu UE mówi językiem Ziobry. Nawiazali nawet kontakty z Szymonem Hołownią, żeby wy badać, czy współpraca z nim rokuje. Ta długofalowa strategia obserwowania wielu politycznych możliwości ma jeden cel – PSL chce jak najszybciej wrócić do władzy i kalkuluje, z kim i kiedy się to bardziej opłaca. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem”.

KRAJ W SKRÓCIE

PIĘKNIE

„Szlachetnie jest ginąć za Polskę, ale mało rozsądnie jest umierać po to, żeby przy okazji Polsce zaszkodzić. Praktyczne skutki weta będą takie: nie będzie budżetu, którego Polska jest największym beneficjentem, ani Funduszu Odbudowy” – powiedział wicepremier Gowin o stanowisku własnego rządu.

ZDROWO

Nie była to pierwsza wypowiedź wicepremiera sprawiąca kłopot własnemu obozowi politycznemu. Niespodziewaną decyzję rządu o otwarciu stoków narciarskich mimo pandemii Gowin wytłumaczył telefonicznymi naciskami ze strony znanego z zamiłowania do sportów zimowych prezydenta Dudy.



DAMIAN KLAWKA / EAST NEWS

SŁODKO

À propos sprawiania kłopotów: Coca-Cola Poland zakończyła współpracę z agencją PR byłego rzecznika PiS Adama Hofmana po tym, jak OKO.press napisało, że w walce z podatkiem cukrowym firma ta proponowała koncernowi stworzenie farmy internetowych trolli i przeprowadzanie akcji dezinformacyjnych.

BOSKO

„Jedyną, co liczy się w tym gmachu, niezawisłym od polityki, odpornym na wszelkie presje i naciski, jest Konstytucja RP, wiedza prawnicza i sumienia sędziów” – powiedziała prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska w wywiadzie dla tygodnika „Sieci”.

Rząd odpłynął stoczniovc

DECYZJĘ O ZAMKNIĘCIU STOCZNI w Świnoujściu podjął właściciel tego zakładu, szczecińska spółka Gryfia. Dwieście osób straci pracę.

Pracownicy mówią o skandalu, ale nie kierują tych słów wyłącznie pod adresem pracodawcy. Wściekłość na zarząd Gryfi, który wypowiedzenia będzie wręczać tuż przed Wigilią, miesza się z poczuciem ogrania przez polityków PiS, którzy pozwalają upaść zakładowi w momencie, gdy rząd wydaje miliardy na wyhamowanie wzrostu bezrobocia.

Na Pomorzu świetnie pamięta się też szumne zapowiedzi wielkich zamówień publicznych dla rodzimego przemysłu stoczniovc, które rząd składa niemal od początku poprzedniej kadencji. Ofensywa Skarbu Państwa nie wyszła poza fazę obietnic i uroczystości – na czele ze słynnym położeniem stępki pod budowę promu w czerwcu 2017 r., w czym wziął udział ówczesny wicepremier Morawiecki.

Wykonawcą tamtej inwestycji miała być Moraska Stocznia Remontowa Gryfia – ta sama, której zarząd zamyka właśnie swój drugi zakład w Świnoujściu, aby skoncentrować się na ratowaniu przed upadłością stoczni w Szczecinie (w ubiegłym roku miała 8,9 mln zł straty). Budowa nie ruszyła z miejsca. Rdzewiejąca stępka z tabliczką pamiątkową stanowi jedynie ponury pomnik stosunku rządu do gospodarki, którą PiS zredukował do jeszcze jednego rekwiwitu w politycznym pokazie tanich sztuczek.

© P MAREK RABIJ

Żywemu nie przepuścić

829 380 – TYLE ZWIERZĄT mieli zastrzelić od października 2019 r. do końca września 2020 r. polscy myśliwi oraz ich komercyjni goście z zagranicy. Oznacza to, że w tym okresie statystycznie co 36 minut od struty i kul polujących padało jedno dzikie zwierzę. Z planów na przyszły rok wynika, że do końca marca 2021 r. odstrzał obejmie kolejnych 1,56 mln osobników – w tym 114 łosi, 202 tys. bażantów, 103,8 tys. jeleni, 219 tys. saren, 238 tys. lisów i 178 tys. dzików.

Powyższe zastawienie opublikował w sieci Mazowiecki Ruch Antyłowiecki powołując się na statystyki samego Polskiego Związku Łowieckiego oraz Lasów Państwowych. W odpowiedzi PZŁ zarzucił aktywistom manipulację danymi i zapowiedział skierowanie sprawy do sądu. W komunikacie na stronie Związku brak jednak konkretnych – poza korektą liczby kół łowieckich podanej przez MRA. © P MR



1642 ROHINGÓW mieszkających w obozach przy granicy z Birmą (skąd wygnano ich w 2017 r.) trafiło na wyspę Bashan Char w Zatoce Bengalskiej, gdzie armia Bangladeszu przygotowała schronienia dla 100 tys. ludzi. Mimo lepszych warunków większość z miliona Rohingów węgujących przy granicy nie chce się przenieść na oddaloną od lądu i zagrożoną cyklonami wyspę. Władze Bangladeszu zapewniają, że nie będą do tego zmuszać, choć nie kryją, że chcą opróżnić obozy przy granicy, gdzie na kilometrze kwadratowym żyje dziś 40 tys. ludzi. Na zdjęciu: Rohingowie przed strefą tranzytową, Ukhiya, 3 grudnia 2020 r. © MR

2020 był okropny, 2021 będzie lepszy

JAKO PIERWSZE PAŃSTWO NA ŚWIECIE Wielka Brytania zaczyna w tym tygodniu szczepienia swoich obywateli przeciwko COVID-19.

Konwój ciężarówek z belgijskich zakładów farmaceutycznego koncernu Pfizer dotarł na Wyspy w pierwszych dniach grudnia, potem szczepionki przetransportowano do wszystkich części Zjednoczonego Królestwa. To pierwsza, niewielka jeszcze partia. Docelowo Pfizer ma dostarczyć na Wyspy 40 mln dawek. Jako że każdy szczepiony potrzebuje dwóch, wystarczy to dla pierwszych 20 mln chętnych spośród 67 mln Brytyjczyków.

Wielka Brytania prezentuje szybkie dopuszczenie szczepionki Pfizer/BioNTech jako wielkie osiągnięcie w światowym wyścigu po zbiorową odporność. Zwolennicy brexitu podkreślają, że to pierwszy dowód, iż opuszczenie Unii Europejskiej było dobrą decyzją. Londyn mógł bowiem dopuścić użycie szczepionki (po rekomendacji Agencji ds. Regulacji Leków i Produktów Zdrowotnych; MHRA) bez oglądania się na kontynent. Dla tracącego popularność

premiera Borisa Johnsona decyzja Agencji to jak gwiazdka z nieba na święta.

Przede wszystkim jednak szczepionka daje Brytyjczykom nadzieję, że będą mogli powoli wracać do normalnego życia – choć raczej nie wcześniej niż wiosną 2021 r. Na razie czeka ich skomplikowana operacja logistyczna. Szczepionkę trzeba przechowywać w temperaturze minus 70 stopni Celsjusza, a transportowana jest w pakunkach po minimum tysiąc sztuk. Z tego powodu początkowo szczepienia mają odbywać się szpitalach. Potem także w przychodniach i specjalnych centrach.

W pierwszej kolejności szczepieni mają być pensjonariusze domów opieki i personel tych placówek. Następnie seniorzy powyżej 80. roku życia (w tej grupie królowa Elżbieta II), pracownicy służby zdrowia i pomocy społecznej. Później kolejne grupy wiekowe i osoby z grup ryzyka. W pierwszej fazie nie będą szczepione osoby zdrowe poniżej 50. roku życia. Koszt szczepionki pokrywa rząd, nie można jej kupić prywatnie ani przyspieszyć otrzymania. Nie jest obowiązkowa, ale większość Brytyjczyków deklaruje, że zapewne się zaszczepi.

„Rok 2020 był okropny, 2021 będzie lepszy” – zapowiedział minister zdrowia Matt Hancock. Wszyscy na to liczą.

© PATRYCJA BUKALSKA

Amerykańska saga powyborcza

„**TYCH 46 MINUT DOWIÓDŁO**, jak groźny dla amerykańskiej demokracji jest Donald Trump” – napisał serwis telewizyjny CNN, gdy w zeszłą środę do sieci trafiło wystąpienie prezydenta USA. Podczas przemowy nagranej w Białym Domu Trump znów rozrzucał wizję sfałszowanych wyborów. Zrobił to, choć dzień wcześniej prokurator generalny William Barr oświadczył, że nie znalazł dowodów na szeroko zakrojone oszustwa, które mogłyby wpłynąć na wynik prezydenckiego wyścigu.

O tym, jak niebezpieczne mogą być teorie spiskowe Trumpa, mówił republikański urzędnik wyborczy z Georgii. Podczas konferencji prasowej alarmował, że lokalni oficjele dostają pogrożki od osób, które nie mogą pogodzić się z przegraną Trumpa w tym stanie.

Prezydent USA wciąż idzie w zaparte. Temat rzekomych fałszerstw wałkował nawet podczas wiecu w Georgii, gdzie miał agitować na rzecz Republikanów startujących w dogrywce wyborów do Senatu. Odbędzie się ona 5 stycznia i jest kluczowa, bo od wyniku w tym stanie zależy, kto uzyska większość w izbie wyższej Kongresu. „Washington Post” donosi, że przed tym wiecem Trump nakłaniał gubernatora Georgii, aby zignorować wynik głosowania powszechnego, i aby to jemu, a nie Joemu Bidenowi przydzielono 16 głosów elektorskich z tego stanu.

Powyborcza arytmetyka jest jednak nieubлагana: po tym, jak Kalifornia certyfikowała wyniki wyborów, Biden uzbierał 279 głosów elektorskich. Tym samym przekroczył wymagany próg do zdobycia prezydentury. Demokrat przygotowuje się więc do objęcia władzy, choć administracja Trumpa nadal mu tego nie ułatwia. Według doniesień prasy Pentagon blokuje ekipie Bidena kontakty z przedstawicielami podlegających resortowi agencji wywiadowczych.

Jest za to postęp w sprawie przyszłego gabinetu. Biden ogłosił, że stanowisko sekretarza skarbu obejmie Janet Yellen, była szefowa Rezerwy Federalnej. Wezwał też Kongres do jak najszybszego uchwalenia ponadpartyjnego pakietu stymulacyjnego: 908 mld dolarów miałyby trafić m.in. na wsparcie dla małych firm, zasiłki dla bezrobotnych i dystrybucję szczepionki. Biden przestrzegł, że jeśli kongresmeni nie dojdą do porozumienia, Stany „znajdą się w krytycznym położeniu”. Do końca roku zasiłki dla bezrobotnych może stracić ok. 12 mln ludzi. W kraju, gdzie epidemia nadal się rozpęda, nieuznający porażki Trump to dla przeciętnego Amerykanina mniej istotny problem. © MARTA ZDZIEBORSKA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PORADNIK DLA BISKUPÓW

Zaangażowanie ekumeniczne biskupa nie jest opcjonalnym wymiarem jego posługi, lecz obowiązkiem, a katolicy w dialogu ekumenicznym powinni unikać polemiki – takie m.in. zalecenia zawiera dokument „Biskup i jedność chrześcijan: Vademecum ekumeniczne”, wydany przez Papieską Radę ds. Popierania Jedności Chrześcijan.



FILIPPO MONTEFORTE / AFP / EAST NEWS

DAROWIZNA KARDYNAŁA

Pół miliona euro przekazał kard. Reinhard Marx (na zdj.) na założoną przez siebie fundację, która będzie wspierała ofiary nadużyć seksualnych. Pieniądze te stanowią większość prywatnych oszczędności, które arcybiskup Monachium i Fryzycji zgromadził jako rektor, profesor, biskup i autor książek. „Molestowanie ma systemowe przyczyny i konsekwencje. Kościołowi i mnie osobiście zajęło dużo czasu, aby to zrozumieć, i jeszcze to się nie zakończyło. Dlatego ważne jest, aby ustanowić fundację dla ofiar wykorzystywania seksualnego przez duchownych” – tłumaczył kard. Marx.

MARZENIE PAPIEŻA

Nowa książka Franciszka „Powróćmy do marzeń” ukaże się w Polsce 15 grudnia. Papież twierdzi w niej, że społeczeństwa nie mają powrotu do rzeczywistości sprzed kryzysu wywołanego pandemią, i przedstawia radykalną, autorską koncepcję budowy lepszego świata dla całej ludzkości, stawiając ubogich i ekologię w jej centrum.

Inna kolęda: pandemia kruszy kościelną rutynę

ARTUR SPORNIAK



WIZYTA DUSZPASTERSKA, TRADYCYJNIE odbywająca się w domach katolików w okresie Bożego Narodzenia, będzie wyglądać w tym roku inaczej. Formuła, w której ksiądz wraz z ministrantami wędruje od mieszkania do mieszkania, groziłaby rozprzestrzenianiem się wirusa. Dlatego wielu biskupów już wydało w tej sprawie komunikaty.

Dominuje pomysł, by zapraszać wiernych z wyznaczonej części parafii (bloku, sąsiedztwa) na wspólną mszę odprawianą w ich intencji – wielu biskupów dopowiada: koniecznie z okolicznościową homilią. Podczas mszy kapłani odmawialiby błogosławieństwo nad zebranymi i pozostałymi w domach mieszkańcami, zwłaszcza chorymi, a po niej mogłoby się odbyć kolędowanie. To jednak nie kończyłoby kolędy. Jej druga część odbywałaby się w domach. Uczestnicy mszy, zaopatrzeni w poświęconą w kościele wodę i broszury z modlitwą błogosławienia domów, sami celebrowaliby liturgię

domową. Przy okazji ogłaszania mszy „sąsiedzkich” niektórzy biskupi (np. tarnowski) proponują, aby parafianie angażowali się w posługę liturgiczną, czyli w czytania, modlitwę wiernych i procesję z darami.

Metropolici warszawski i warmiński formułę tegorocznej kolędy pozostawiają w gestii proboszczów. Jeśli jednak miałyby się ona odbywać w domach, to zawsze po uzgodnieniu z domownikami. Z kolei metropolita szczecińsko-kamieński, choć zapowiedział także msze „sąsiedzkie”, nie rezygnuje z tradycyjnej kolędy, która zostanie przeniesiona na czas po pandemii i możliwe, że rozciągnie się na cały rok.

Trudno nie zauważyć plusów nowych propozycji. Kolęda w tym roku będzie wspólnym działaniem księży i świeckich, a celebrowanie liturgii w domach powinno pomóc świeckim uświadomić sobie, że tworzą domowy Kościół. Paradoksalnym efektem pandemii jest kruszenie kościelnej rutyny. ©P

Mufti nie żyje

„POLSKI ISLAM nie będzie już taki sam”, „to był prawdziwy przyjaciel ludzi”, „koronawirus zabrał nam jedną z najserdeczniejszych osób w Polsce” – wspominają Nedala Abu Tabaqą jego współpracownicy. W wieku 49 lat zmarł mufti Ligi Muzułmańskiej w RP.



LIGA MUZUŁMAŃSKA GDĄŃSK

Pochodził z rodziny palestyńskiej, wychował się w Kuwejcie. Mieszkał w Polsce od 1988 r., ukończył medycynę na Akademii Medycznej w Lublinie. Po studiach prawnoteologicznych we Francji objął funkcję imama w Lublinie, a w 2008 r. został muftim Ligi Muzułmańskiej w RP. Znany jako orędownik i działacz na rzecz dialogu międzykulturowego – był jednym z inicjatorów Dni Chrześcijaństwa oraz Dni Judaizmu wśród muzułmanów. „Jako wyznawcy różnych religii powinniśmy pokazywać, jak Bóg zmienia nasze życie, a nie – jak możemy siłą zmienić życie innym” – mówił na łamach „Tygodnika” w styczniu tego roku.

Został pochowany na Muzułmańskim Cmentarzu Tatarskim w Warszawie.

© KAROL WILCZYŃSKI

Franciszek: chrześcijaństwo ma różne twarze

RYT AMAZOŃSKI JEST MOŻLIWY. Tak wynika ze słów Franciszka, które skierował do autorów i czytelników książki poświęconej jednemu w Kościele rytowi wprowadzonemu po Soborze Watykańskim II – zairskiemu. „Chrześcijaństwo nie dysponuje jednym modelem kulturowym” – napisał w przedmowie Franciszek. „Ma również twarz ludów, które je przyjęły, i kultur, wśród których się zakorzeniło. Twarz piękną, bo różnorodną”. Przykład rytu zairskiego „sugeruje otwarcie drogi do ewentualnego opracowania rytu amazońskiego” – dodaje papież.

O takim rozwiązaniu, które wprowadzałoby do liturgii elementy tradycji, kultury i teologii ludów Amazonii, a być może także zmiany w „dyscyplinie” (np. kapłaństwo żonatych mężczyzn), mówił ubiegłoroczny synod amazoński. Jednak w postsynodalnej adhortacji „Querida Amazonia” papież nie podjął tematu, pozostawiając go „dalszemu rozeznaniu”. Ostatnia wypowiedź dowodzi, że możliwe jest odblokowanie prac nad jego realizacją.

W Kościele katolickim istnieją 23 rytury liturgiczne, podzielone na sześć głównych „rodzin” (łacińską, bizantyjską, antiocheńską, aleksandryjską, chaldejską i ormiańską), historycznie ukształtowanych i dających wiernym o innych tradycjach kulturowych i teologicznych możliwość pozostania w łączności z papieżem. ©P EDWARD AUGUSTYN

KULTURA W SKRÓCIE

NAGRODA MILLERA

Fotoreportaż Karima Mottaghiego o pochówku ofiar koronawirusa na irańskim cmentarzu Vadi-Rahmat otrzymał tegoroczną Nagrodę im. Krzysztofa Millera za najlepszy materiał fotograficzny. Mottaghi brał udział w poszczególnych etapach kąpieli, ubierania, obrzędów pogrzebowych oraz rejestrował je przez 16 dni.

ZDJĘCIA HARTWIGA

Na stronie internetowej Muzeum Warszawy kolekcje muzeumwarszawy.pl udostępniono zbiór zdjęć wykonanych przez Edwarda Hartwiga. Fotograf, brat poetki Julii Hartwig, od wczesnych lat 50. XX w. przez pół stulecia rejestrował widoki zmieniającej się stolicy. Zobaczymy odbudowane po wojnie miasto, jego panoramy, ale też nastrojowe pejzaże parków i pustych ulic.

DEBIUT HOLOUBKA

Reżyser „25 lat niewinności. Sprawy Tomka Komendy” Jan Holoubek otrzymał Nagrodę Specjalną Jury na Black Nights Film Festival w Tallinie. Film brał udział w konkursie debiutów.

KOMIKS NA NOWO

Netflix ogłosił pierwszą polską oryginalną serię animowaną. Serial „Kajko i Kokosz” oparty na komiksie Janusza Christy obejrzymy w przyszłym roku.


DZIENNIKARZE

I AUTORZY „Tygodnika” co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Zapraszamy do słuchania! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Kosmiczny wyścig wchodzi w nową fazę

NA KSIĘŻYCU POJAWIŁA SIĘ NOWA FLAGA. Nie łopocze. Nie musi, żeby zrobić wrażenie: to pierwsza flaga bez gwiazdek i pasków USA. Pięć wbili astronauta zakończonego w 1972 r. programu Apollo. Najnowszą, czerwoną z pięcioma żółtymi gwiazdami – chińska sonda Chang'e 5. To trzeci lądownik nazwany na cześć chińskiej bogini Księżycy. I najważniejszy. Sonda pobrała ok. 2 kg próbek niezbadanej równiny znanej jako Ocean Burz i wystrzeliła je w podróż powrotną. Ostatnie księżycowe próbki dostarczyła na Ziemię radziecka sonda Łuna 24 w 1976 r.

Pierwszy chiński satelita to 1970 rok. Pierwszy astronauta – rok 2003. Dziś Chiny mają na koncie serię księżycowych lądowników, dwie małe stacje kosmiczne, misję marsjańską (w drodze) i bezzałogowy lot miniwahadłowca. Przygotowania do załogowego lotu na Księżyc trwają.

Amerykański program Artemida zakłada załogowe lądowanie na Księżycu za cztery lata, choć 2028 r. wydaje się najwcześniejszym realnym terminem. Na razie NASA zleciła przewiezienie z Księżycu próbek czterem firmom. Za cenny ładunek zapłaci... dolara. W trzech ratach. Ale nie chodzi o kwotę, agencja tworzy



Simulacja: kapsuła z próbkami startuje z Księżycy

precedens: po raz pierwszy płaci za kosmiczne surowce. Prawdziwym zyskiem dla firm będzie uregulowany rynek, na którym to one mają niezbędne technologie.

Równocześnie na australijskiej pustyni wyładowała kapsuła z próbkami z asteroidy Ryugu pobranymi przez japońską sondę Hayabusa 2. Posłużą badaniom nad początkami Układu Słonecznego.

A flagi na Księżycu? Chińska jest dziś jedyną rozpoznawalną. Pół wieku w pełnym słońcu zmieniło amerykańskie w białe płachty. Chińską też to czeka. Jedynym sposobem na podtrzymanie symbolicznej obecności jest wbijanie nowych.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Święto polskiego kina bez widza

ANITA PIOTROWSKA



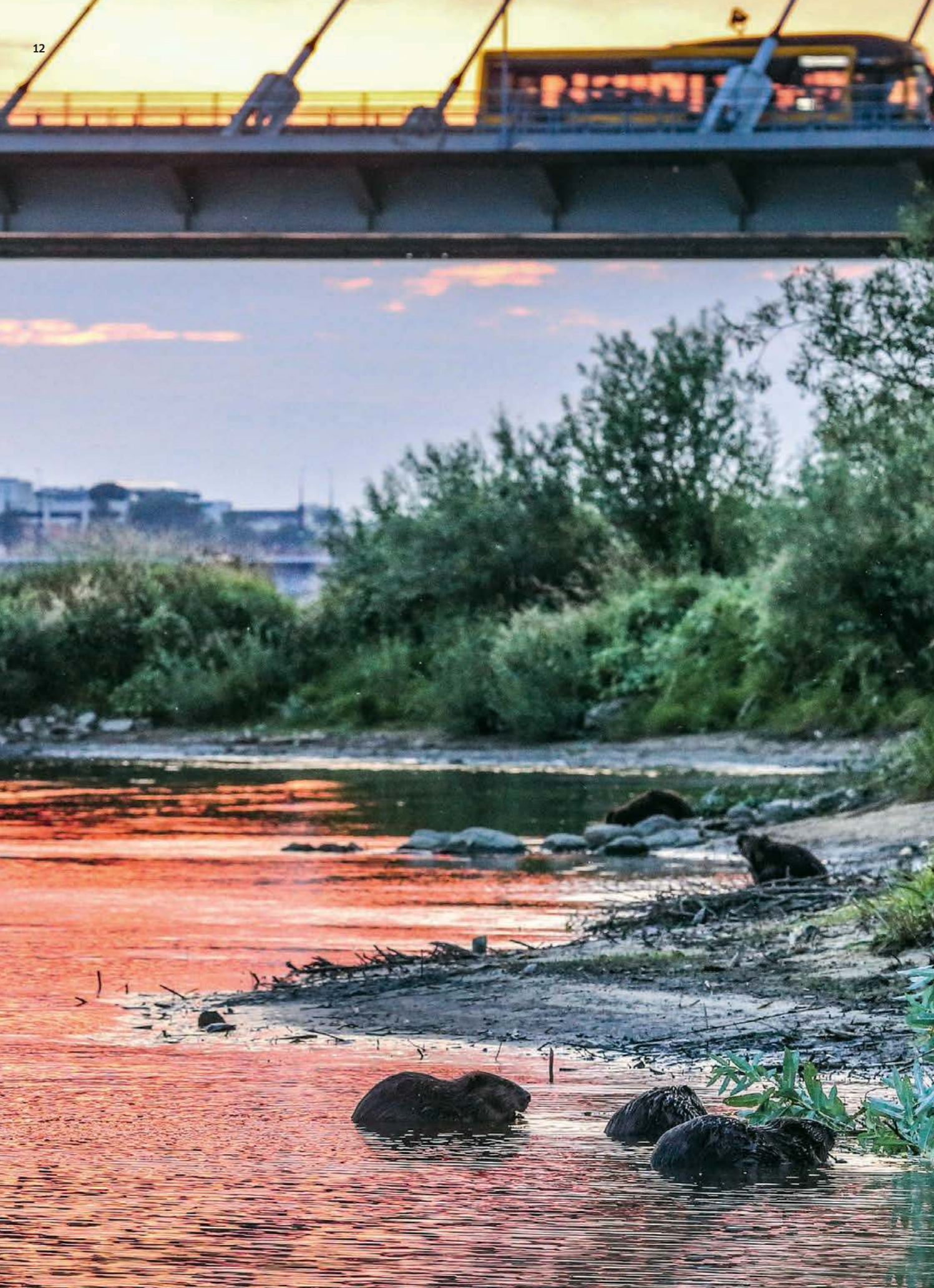
JEDNĄ Z NIELICZNYCH KORZYŚCI, JAKIE PRZYNIOSŁO kulturze zamknięcie w sieci, jest zwiększenie jej zasięgu. Festiwale w wersji online zyskały nową publiczność, docierając ze swą często bardzo atrakcyjną ofertą tam, gdzie wcześniej nie było to możliwe. Tymczasem rozpoczęty 8 grudnia 45. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni robi coś dokładnie odwrotnego: jego najważniejsza część konkursowa odbywa się bez widzów. Nawet akredytowani dziennikarze i branża mogą obejrzeć tylko część filmów nominowanych do Złotych Lwów. W dodatku z wyłączeniem najbardziej wyczekiwanych tytułów, jak „Magnezja” Macieja Bochniaka, „Sweat” Magnusa von Horna czy „Śniegu już nigdy nie będzie” Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta.

To zrozumiałe, że producenci i dystrybutorzy niechętnie udostępniają swoje filmy na wirtualnych seansach – ze względu na ryzyko piractwa, planowaną dystrybucję kinową czy wcześniejsze umowy z innymi platformami internetowymi. Skoro jednak nie udało się organizato-

rom wynegocjować tych kilku reglamentowanych pokazów branżowych, a widzom niemal całkowicie odebrano możliwość zapoznania się z najnowszym kinem polskim, może lepiej było tegoroczny festiwal po prostu odwołać i poczekać na lepsze czasy? Argumentem za tegoroczną edycją, choćby i w formie kadłubowej, było podtrzymanie ciągłości festiwalu, który był zawieszany tylko dwukrotnie – w stanie wojennym. To jednak gest przede wszystkim w stronę środowiska filmowego, bo rodzima publiczność dostała właśnie zupełnie inny przekaz: zdecydowanie mniej życzliwy.

Jak wiadomo, festiwale filmowe, również te odbywające się dzisiaj w sieci, spełniają ważną rolę promocyjną i wspólnototwórczą. W mediach społecznościowych toczą się pasjonujące często dyskusje, w których komentuje się na bieżąco festiwalowe wydarzenia. Tym razem tego ożywczego szumu nie będzie. Podobnie jak nie może być rzetelnych relacji prasowych z imprezy, która została zmuszona do trzymania swego programu pod kluczem.

©



DALEKO OD BOBRA

Fantazjujemy o domu w Bieszczadach, chcemy jeździć za miasto i wychować dzieci jak najbliższej przyrody. Ale gdy przychodzi co do czego – odpychamy ją od siebie jak najmocniej.

MARCIN ŻYŁA

BYŁO SIEDEMNĄSCIE PO PIĄTEJ, CIEMNO-szaro jeszcze, gdy odgłos silnika autosana, turkocącego jak stary rolls-royce, zanikł w końcu całkiem – gdzieś w dole, na serpentynach szosy, która schodziła z przełęczy na północ. Zrobiło się jeszcze ciemniej i jeszcze ciszej. Powietrze, mokre od mgły, mogło przewodzić najciszy nawet szelest. Lecz nie przewodziło nic. Człowiekowi, który wysiadł z pekaesu, zdawało się przez chwilę, że w świecie rusza się tylko sekundnik jego zegarka. Popatrzył na rdzewiejącą, żółtą blachę przystanku – i wszedł do lasu.

On z kolei musiał widzieć człowieka na długo, zanim ten wypatrzył jego. Była to przecież najgłośniejsza chwila świtu – ryk autobusu, zatrzask drzwi, szuranie butów o żwir i trwający kwadrans grzechot ciężkich od rosy liści, o które intruz ocierał łydki. Słyszał wszystko, choć pysk niósł nisko przy ziemi, w błocie, a jego nawilgła od nocy sierść zdradzała kilka godzin truchtu.

Zobaczyli się z trzydziestu metrów. Wilk... – cóż, tu jego opowieść trzeba urwać, bo nie dowiemy się przecież, czemu nie uciekł od razu. Na człowieka zaś, gdy minął mu pierwszy strach, spadł strach drugi, gdyż wilk zaczął iść razem z nim, równoległe do ścieżki, trzymając

ten sam dystans. Gdy jeden stawał, stawał i drugi. Trwało to parę minut.

Z tamtego poranka człowiek zapałował też, że gdy dwie godziny później usiadł do śniadania na zwalonym drzewie, w środku karpackiej puszczy, słońce grzało mu twarz, skądś obok wleciał czarny bocian, poczuł wielkie wzruszenie. Było jak kiedyś, w czasie, którego nigdy sobie nie przypomni, gdy utożsamiał się z całą rzeczywistością i nie umiał wyróżnić z niej siebie. Poczuł życzliwość świata.

Potem opowiadał innym – a inni kiwali głowami – że wilk przeprowadził go przez coś, że nie zjawił się przez przypadek.

Co o sobie wiemy

Większość z nas nie zdaje sobie sprawy z tego, że zwierzęta są tuż obok. Że częściej nas czują, słyszą, widzą i obserwują niż my je. Wiadomo za to dokładnie, jak blisko – a raczej: jak daleko – chcielibyśmy od nich żyć.

Jedenaście kilometrów – to średni dystans deklarowany przez uczestników ankiety Marty Jermaczek-Sitak, ekolożki i edukatorki przyrodniczej, w odpowiedzi na pytanie: „W jakiej odległości od miejsca zamieszkania tolerowałbyś/tolerowałabyś bobra?”. Bóbr i tak wypadł najlepiej – żubra akceptujemy 16 kilometrów od domu, wilka – 31, niedźwiedzia – 41. Najdalej, 52 kilometry, oddalilibyśmy chętnie zmię zygzakowatą.

*Bobry w Wiśle,
Warszawa, 2018 r.*

→ Gdyby nałożyć te projekcje na mapę Polski, okazałoby się, że dla dzikich zwierząt miejsca nie ma w niej w ogóle.

– Te ogromne odległości ujawniają brak wiedzy o dzikiej przyrodzie – mówi Jermaczek-Sitak. – Bobry mało się przemieszczają, nie mówiąc już o tym, że nie zagrażają komukolwiek nawet z odległości kilkuset metrów. Z kolei wilk pokonuje czasem w ciągu nocy kilkadziesiąt kilometrów.

Ci sami ankietowani pisali o swoim przywiązaniu do ochrony środowiska. Pozostawić bez zagospodarowania przez człowieka chcieliby ponad jedną piątą powierzchni Polski. Dzikie – reprezentowana przez słowa „puszcza”, „naturalność”, „głusza”, ale też „mokradło” i „bagn” – większości kojarzyła się pozytywnie. Doceniali zdrowotne funkcje przyrody, wskazywali na nią jako źródło doznań duchowych, a nawet patriotycznej dumy.

Jermaczek-Sitak: – We wsi niedaleko Zielonej Góry, gdzie mieszkam, pod lasem buduje się wiele domów. Ale równocześnie rośnie biofobia. Żywe staje się coraz bardziej obce. Świetnie to widać na forach ogrodniczych w internecie. Piszą tam ludzie, którzy chcą żyć otoczeni zielenią. A króluje jeden temat: co i w jaki sposób zwalczać.

Wygłąda więc na to, że choć fantazjujemy o domu w Bieszczadach, chcemy jeździć za miasto i wychować dzieci jak najbliżej przyrody, gdy przychodzi co do czego – odpychamy ją od siebie jak najmocniej. Dlaczego?

Zagłaskać lub zastrzelić

Pierwsza odpowiedź: w którymś momencie między ucieczką ze wsi do miast a „powrotem do natury” zapomnieliśmy, jaka naprawdę jest przyroda.

– Jako cywilizacja znaleźliśmy się w tragicznym punkcie – mówi prof. Piotr Tryjanowski, biolog, kierownik Katedry Zoologii Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. – Nasza zdolność rozpoznawania pokémonów jest dużo większa niż roślin i zwierząt za płotem.

I to dosłownie: gdy badacze z Cambridge pokazali brytyjskim ośmiolatkom karty z wizerunkami postaci z japońskich anime oraz pospolitych roślin i zwierząt, poprawnie zidentyfikowały one 78 proc. pokémonów – i tylko 53 proc. gatunków.

Według ONZ codziennie miastom na świecie przybywa po 160 tys. mieszkań-



JACEK ŁAGOWSKI / FORUM

Przyroda,
inaczej w medialnych
historiach niedźwiedzicy
Magdy czy pumy Nubii,
nie ma jednego imienia.

ców. To jedna z miar tego, jak oddalamy się od natury. – „Dzikie” to termin reklamowany, występuje głównie w wyobraźni – twierdzi prof. Tryjanowski. – W rzeczywistości nasz stosunek do zwierząt mieści się między skrajnościami: zagłaskać na śmierć albo zastrzelić. A źródło obu tkwi w niewiedzy.

Ta, jak przekonuje badacz, nie ogranicza się do mieszkańców miast. Za przykład służą nasze relacje z wilkami, które największe emocje budzą na terenach pasterskich. Z jednej strony niektóre organizacje ekologiczne portretują je jako niemal vegetarian, z drugiej gospodarze oszczędzają na zagrodach i psach stróżujących, wręcz prosząc się o atak dzikiej zwierzyny na trzodę. – Wielu rolników reprezentuje skrajny ekonomizm, chcą zasiać każdy metr kwadratowy pola. Jeśli sadzimy buraki cukrowe lub kukurydzą tuż przy ścianie lasu, sami zachęcamy zwierzęta, żeby z tego korzystały. W pobliżu domów zaprasza je też marnotrawiona żywność – wylicza biolog.

Rozwiązanie? Spory z przyrodą rozwiązywać lokalnie. W Rumunii i Słowacji problem z niedźwiedziami wchodzącymi do wsi zakończyło postawienie zamykanych koszy. Z czeskiego Zaolzia, gdzie ze swoimi współpracownikami prof. Tryjanowski mierzył poziom stresu owiec chronionych przez psy stróżujące, równie prosta lekcja pły-

nie dla człowieka: zainwestowanie w zabezpieczenia zmniejsza straty. I pretensje do natury.

Natura boli

Uzasadnienia drugiej odpowiedzi – że za skomplikowany stosunek do dzikości odpowiadają nasze nierealistyczne oczekiwania – poszukamy wśród kotów i psów. Prof. Dorota Rancew-Sikora, socjolożka z Uniwersytetu Gdańskiego, przekonuje, że zwierzęta dzielimy na te towarzyszące, które żyją według ludzkich reguł, neutralne zwierzęta użytkowe oraz na zwierzęta „dzikie” i „wyrzutki”. W tej ostatniej kategorii mieszczą się też te, które nie spełniły naszych oczekiwań i stały się problemem, takie jak agresywne „antypsy” czy rozmnażające się ponad miarę i zasiedlające piwnice „antykoty”.

– Jeśli potrafimy wychować psa tak, aby dostosował się do norm społecznego świata ludzi, zaczynamy go traktować jak członka naszego świata. Hodowane pająki i ryby, które już nie są w stanie spełnić naszych społecznych oczekiwań, trzymamy w przestrzeniach izolowanych. Na końcu jest dzika przyroda, która składa się z osobników nieprzystosowanych do naszych domów. To my w świecie dzikiej przyrody jesteśmy narażeni na niewygodę, a czasem niepokój i ból, bo funkcjonujemy w niej jako drapane, gryzione, potykające się ciało – wyjaśnia prof. Rancew-Sikora.

Można więc uznać, że dla ekologów to wyzwanie PR-owe. Świat dzikiej przyrody powinien przetrwać właśnie w „nie-ludzkiej”, bezosobowej formie – o nią zaś organizacjom ekologicznym walczyć jest trudniej niż o dobrostan czy zmniejszenie cierpienia psów, kotów albo koni. Brakuje połączenia, które zwiększyłoby dbałość o dzikość, lecz nie opierałoby się na relacji z konkretnym osobnikiem czy egzemplarzem rośliny. Przyroda – inaczej niż obecne w mediach historie tatrzańskiej niedźwiedzicy Magdy czy, niedawno, pumy Nubii – nie ma jednego imienia.

Marta Jermaczek-Sitak: – Dzikie jest zimna, szorstka, włochata. My zaś zamykamy się w sztuczności i cieple, wśród przedmiotów o kształtach i fakturze, które sami wybieramy. Myślę, że coraz bardziej oddzielamy się od wszelkiego innego życia. Już nie tylko od niedźwiedzia, komara czy ropuchy. Także od innych ludzi. Przeszkadzać zaczyna nam nawet ich zapach.

Miedzy żdźbłami

W Polsce ze strony dzikich zwierząt czyha na człowieka niewiele zagrożeń. Lęk przed nimi jest jednak spory, a najbardziej wpływa na niego nie wilk, niedźwiedź ani nawet jadowita żmija – lecz mikroskopijny kleszcz pospolity.

To negatywny bohater kampanii ostrzegających przed przenoszonymi przez niego wirusami (m.in. kleszczowego zapalenia mózgu) i bakteriami (w tym powodującymi boreliozę – chorobę, która nieleczona może powodować zapalenia stawów i zaburzenia neurologiczne). W ostatnich latach populacja kleszczy znacznie się zwiększyła, sezonowo nosicielami patogenów może być nawet kilkadziesiąt procent osobników.

Problem więc istnieje – warto jednak się zastanowić, gdzie kończy się zalecana ostrożność, a zaczyna uogólniony, nieracjonalny lęk. Jermaczek-Sitak, która w swojej ankiecie przepytowała głównie rodziców małych dzieci, obserwuje ich często także na warsztatach przyrodniczych, organizowanych w ramach demokratycznej Wolnej Szkoły w Zielonej Górze. – To już nie las, w którym mieszka zły wilk z „Czerwonego Kapturka”, jest niebezpieczny, nie bagna czy mokradła, ale łąki i pola, gdzie na dzieci czyhają kleszcze – mówi ekologka. – Zanim rodzice puszcza tam najmłodszych, spryskują je repelentami, zakładają wisiorki z ultradźwiękami, ubierają jak na wojnę. Mało jest w tym przestrzeni na samodzielne rozpoznawanie zagrożeń.

Przykładem, tłumacząc przyrodnicy, służą kraje nordyckie. W Finlandii nauka współżycia z naturą zaczyna się już w przedszkolu. Wystarczy ubrać dziecko w strój odporny na deszcz i zimno – i może tak spędzać na zewnątrz długie godziny. Robi to stosunkowo samodzielnie, bezpośrednio doświadczając przyrody.

– Tylko obcowanie z nią uczy, jak działa ta rzeczywistość – przekonuje prof. Dorota Rancew-Sikora. – Trzeba samemu wejść do lasu. W filmie, bajce, przy pluszowych misiach, wszędzie tam, gdzie dominuje nasze wyobrażenie o dzikim zwierzęciu, ukryte są ludzka fantazja i logika świata społecznego. Taka, której w przyrodzie nie ma. Nauka przez doświadczenie pomaga pozbyć się lęku, ale i przyzwyczajenia do wygody. Nie zapew-

nią tego ani wytwory kultury, ani tradycyjna wiedza – mówi socjolożka.

Dodaje też: zbyt często przenosimy na dzieci własne lęki przed dziką przyrodą. – Korczak zachęcał do wychowywania, w którym na początku pogodzimy się z tym, że dziecku może coś się zdarzyć nieprzyjemnego, że może nawet zginąć. Oczywiście, to podejście radykalne, nie chodzi o narażanie dziecka na niebezpieczeństwo, lecz danie mu możliwości samodzielnego doświadczania. W Polsce śmierć ze strony dzikiej przyrody zdarza się skrajnie rzadko. Ale przyroda opiera się na zasadach życia i siłach śmierci. A my, patrząc na nią przez pryzmat wytworów kultury, mamy skłonność, by tej śmiertelności zaprzeczać. To bolesne zderzenie. Nadmierny lęk rodziców jest destrukcyjny i dla dziecka, i dla dzikiej przyrody, bo wychowujemy człowieka, który nie będzie jej lubił, znał ani rozumiał – mówi Rancew-Sikora.

Nowe zagrożenia

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu ludziom zdarzało się spać pod jednym dachem ze zwierzętami gospodarskimi. Dziś w wielu wsiach nie ma już ani jednej kury. Domy wyładniały, gospodarze dbają o to, aby między kostką brukową nie zagnieździł się najmniejszy nawet mech. Trawniki strzyżone są co sobotę.

To, co brzmi jak wielkomięski stereotyp wsi, jest też scenariuszem, który kilka dekad wcześniej przerobiła wieś na Zachodzie. Z dużym prawdopodobieństwem można więc przewidzieć przyszłość polskiej. Gdy mowa o masowym uprzemysłowieniu, uprawach wielkoobszarowych, dużych, zamkniętych hodowlach oraz wsi jako miejscu zamieszkania ludzi z miast – ekonomiści słyszą „rozwój” i „postęp”. Biolodzy natomiast – „masowe wymieranie”. Bo zmiana wsi to również przebudowa ekosystemów.

Jednym z ich efektów jest migracja zwierząt na przedmieścia. Prof. Piotr Tryjanowski, współautor opracowania „Zwierzęta konfliktowe w miastach”, od dawna wskazuje na związane z nią zagrożenia i koszty.

– To już nie ataki zwierząt dzikich na zwierzęta gospodarskie, lecz kolizje komunikacyjne z udziałem tych pierwszych stają się głównym zmartwieniem człowieka. W 2019 r. w samym tylko Poznaniu doszło do kilkuset zderzeń samochodów z dzikami. Służby miejskie ode-

brały blisko tysiąc zgłoszeń z prośbą o interwencje w związku z pojawieniem się tych zwierząt – mówi biolog. – Inne wyzwanie to zoonozy, czyli choroby odzwierzęce. Dzikie osobniki to rezerwuariat patogenów i pasożytów. Takie zwierzę wcale nie musi ugryźć, wystarczy, że zostawi odchody. Dużo mówimy o toksoplazmozie, którą przenoszą koty, ale skala chorób odzwierzęcych jest w Polsce wciąż niedoszacowana.

Zagrożeniem mogą być też wprowadzane z zewnątrz gatunki inwazyjne. – Nie poddajemy ich solidnie kwarantannie, kwitnie przemysł, wprowadzane osobniki są czasem błędnie opisywane i rozpoznawane – wzdycha profesor. A to dopiero początek długiej listy zagrożeń wynikających nie tyle z charakteru przyrody, co zmian, jakie wprowadza w niej człowiek.

– Edukacja i prognozy, nawet te czarne, to jedno. Trzeba też odbudowywać więź – uspokaja na koniec Marta Jermaczek-Sitak. – Na szczęście przybywa ludzi, którzy nie wstydzą się pisać o swoich mistycznych doświadczeniach z przyrodą. Podczas Kręgu Kobiet, w którym brałam udział, jedna z uczestniczek opowiadała o rozmowach z dębem, który dla niej jest mentorem. Od słowa do słowa okazało się, że niemal każda z nas przeszła przez podobne doświadczenie. Ja też dzisiaj poprzytulałam się do wiekowej brzozy – drzewa, które daje mi siłę, zwłaszcza w momentach, kiedy jest gorzej. Polecam.

■ ■ ■

Wilk wrócił do człowieka jeszcze raz. Ten wiele lat później spotkał go w dzień swoich urodzin (to na pewno przypadek). A nawet – o godzinie, w której się urodził (też przypadek). Wysoko, na zboczu piękniejszej góry, na skraju lasu i polany, którą znów oświetlało październikowe, ciepłe wciąż słońce.

Tym razem patrzyli na siebie tylko sekundę. Wiatr huczał od rana, wiało od strony zwierzęcia, człowiek wyłonił się nagle, zza przysłoniętego kopcem kamieni zakrętu ścieżki – tylko dlatego (przez przypadek) znaleźli się tak blisko. Po tej sekundzie rozpoznania półroczny wilk, z jeszcze jasną sierścią na brzuchu i szczupłymi łapami, odbił do tyłu, skończył za krzaki borówek – i tyle go było.

Człowiek poszedł za nim, ale – oczywiście – już nigdy go nie spotkał.

© © MARCIN ŻYŁA

Lew nasz powszedni

MIKOŁAJ GOLACHOWSKI, BIOLOG:

Człowiek wpada do swoich sąsiadów zwierząt i zamiast poprosić o pożyczenie cukru, obrabia pół mieszkania.

KRZYSZTOF STORY: Opisaliliśmy dwa miliony gatunków roślin i zwierząt. Policzyliśmy, że na odkrycie może czekać dziesięć razy więcej. Dzielimy planetę – jakimi jesteśmy sąsiadami?

MIKOŁAJ GOLACHOWSKI: Beznadziejnymi, bo w ogóle nie zachowujemy się jak sąsiad, tylko jak prezes spółdzielni mieszkaniowej, który chce wszystkim rządzić.

Kiedyś to homo sapiens był zależny od wszystkiego, co żyło wokół. Dziś reszta przyrody jest zdana na naszą łaskę. Czy był gdzieś po drodze moment równowagi?

Już 70 tys. lat temu polowania i wykorzystanie przez ludzi ognia przyczyniły się do wyginięcia australijskiej megafauny. Ale do czasów rewolucji przemysłowej mogliśmy mówić o równowadze. Nie mieliśmy narzędzi, by ją naruszyć.

Człowieka zwykle obsadzamy w roli złoczyńcy, ale większość z 7,5 mld ludzi chce po prostu przeżyć. Zjeść, wypaść się, rozmnożyć. Tygrysy robią to samo i nikt nie ma do nich pretensji o zabite jelonki.

Tygrysy nie zmieniają przy okazji całej planety.

Bo nie umieją.

Być może tylko dlatego. Ale rzeczywistość jest taka, że w przyrodzie tylko człowiek wychodzi poza swoje mieszkanie. Wpadamy do sąsiadów i zamiast poprosić o pożyczenie cukru, obrabiamy pół mieszkania.

Mamy władzę.

Zgoda. I powinniśmy wziąć odpowiedzialność za to, jak z niej korzystamy.

Zdefiniujmy jedno pojęcie ważne dla przyrodniczego sąsiedztwa.

Bioróżnorodność to...

...przyjęta w ekologii miara bogactwa ekosystemu. Skupia się na tym, ile gatunków w nim występuje.

Czystość złota mierzy się w karatach, a bogactwo ekosystemu?

Najczęściej współczynnikiem Shannon-Wienera. Określa prawdopodobieństwo, że dwa losowo wybrane osobniki będą należały do różnych gatunków. Ale analogię z karatami bym poprawił. Odpowiednikiem bogatego ekosystemu nie będzie czyste złoto, tylko miska pełna klejnotów, metali, kamieni szlachetnych.

Im więcej, tym lepiej?

Tak, ale to uproszczenie. Niektóre miejscy wymuszają mniejszą bioróżnorodność, ale to wcale nie obniża ich wartości. Na przykład Antarktyka charakteryzuje się ogromnymi liczebnościami populacji, jest niesamowicie bogatym środowiskiem, ale gatunków ptaków czy ssaków jest tam ledwie kilkanaście.

Polski klimat nie narzuca tak surowych warunków.

Naszym naturalnym ekosystemem jest las liściasty, choć najwięcej posadziliśmy iglastych. W obydwu przypadkach bioróżnorodność w kraju powinna być i najczęściej jest dość wysoka.

Co nam to daje?

Istnienie tego czy innego gatunku nie wymaga uzasadnienia. Nie musi się nam „kalkulować”. Jest wartością samą w sobie. Jeśli coś istnieje, nie należy tego niszczyć. Zaprzeczeniem bioróżnorodności jest monokultura. Pole żyta po horyzont albo las, w którym rośnie tylko sosna. Niesamowicie produktywny ekosystem o zerowej bioróżnorodności. Teoretycznie bardzo łatwy w obsłudze. Potrzebujemy go, bo oferuje dużo jedzenia. Tylko że nie uprawiamy żyta w próżni. Cała przyroda jest kaskadą powiązań, a my o wielu z tych zależności nie mamy pojęcia.

Nie wiemy, bez czego nasze żyto, nasza sosna nie są w stanie rosnąć. Nie umiemy i nie powinniśmy segregować gatunków na te potrzebne i te zbędne.

Szacuje się, że co 25 minut wymiera jeden gatunek zwierząt. Czym ryzykujemy pozbywając się sąsiadów?

Po pierwsze: głodem. Bioróżnorodność jest gwarancją odporności ekosystemu na zmiany. Wróćmy na nasze pole żyta. Wyobraźmy sobie, że dookoła nie ma wielu drapieżników – ptaków, owadów, gryzoni. Wystarczy, że pojawi się jeden gatunek, który lubi żyto. Tracimy wszystko. Podobnie jeśli nagle okaże się, że roślin nie ma już kto zapylać. Ponad 80 proc. roślin uprawnych jest zapylanych przez owady, których liczba na świecie od lat drastycznie spada.

Po drugie: w skali globalnej różnorodne ekosystemy są bezcenne. Oceany, lasy deszczowe pochłaniają miliony ton dwutlenku węgla. Niszcząc sprawnie działające ekosystemy, przyspieszamy zmiany klimatu.

Po trzecie: często niszczymy gatunki, zanim zdążymy je porządnie zbadać i opisać, organizmy, które mogą okazać się przydatne w medycynie, przemyśle, nauce. Niszcząc rafę koralową, nie mamy pojęcia, czy na jej dnie nie leży lekarstwo na raka.

Globalne zmiany są ważne, ale zastańmy na polskim polu z żytem.

Nie da się wykroić części przyrody i rozpatrywać jej osobno. Ale i na tym polu coraz częściej orientujemy się, że bez dobrych układów z sąsiadami daleko nie zajedziemy. Wprowadza się zadrzewienia śródpolne, sadi pasy kwiatów i chwastów jako dom dla ptaków i owadów.

Skoro mówimy o pozytywach, to w Polsce od 2000 r. populacja niedźwiedzi wzrosła o 148, rys o 50, a wilków – o 164 procent. Duża fauna odradza się w całej Europie.

Wiadomo, że ochrona dużych zwierząt jest spektakularna i relatywnie prosta, bo skupiasz się na jednym gatunku. To nie zmienia faktu, że powrót tej dzikości jest jednym z naszych największych sukcesów w ochronie przyrody. Historia reintrodukcji żubra w Białowieżę jest opisana w podręcznikach ekologii na całym świecie.



DR MIKOŁAJ GOLACHOWSKI jest biologiem, polarnikiem, popularyzatorem nauki i autorem książek przyrodniczych.

Nie wszyscy się z tego powrotu cieszą. Zwłaszcza ci, którzy muszą sąsiadować z wilkami, jeleniami, bobrami.

Zwłaszcza wilk budzi ogromne emocje, zupełnie bez swojej winy. Ale zobaczmy, że strach przed wilkiem występuje wyłącznie na terenach, gdzie one wróciły stosunkowo niedawno. W Puszczy Białowieskiej nikt nie boi się wilków, bo one są tam od zawsze. Myśmy się po prostu od bliskości natury odzwyczaili.

Dużo łatwiej jest lubić wilka z perspektywy warszawskiej kawiarni, niż hodując owce w Bieszczadach.

Sąsiedztwo wymaga ustępstw z obu stron. Porównajmy Bieszczady z Tatrami, gdzie też wilki żyją od zawsze, a wypadków praktycznie nie ma. W Tatrach od wieków funkcjonowała tradycja wypasu owiec. Zwierzęta były strzeżone przez psy i pasterzy. Bieszczady po wojnie opustoszały, także z powodu wysiedleń. Na miejsce dawnych mieszkańców przyjechali niespełnieni romantycy, awanturnicy – „bieszczadzcy kowboje”. Wypasali owce i krowy bez odpowiednich zabezpieczeń. To jedna z przyczyn konfliktu trwającego do dziś.

Psy pasterskie są rozwiązaniem?

Każda metoda redukcji konfliktu jest rozwiązaniem. Na konflikcie cierpi wyłącznie natura, bo to my zawsze mamy decydujący głos. Rozwiązania są często proste. W przypadku wilków: psy, fladry, pastuchy elektryczne. Regionalne Dyrekcje Ochrony Środowiska od kilku lat finansują takie zakupy dla hodowców.

Najwięcej szkód w Polsce powodują ssaki kopytne – sarny, jelenie, dziki. Na drugim miejscu są bobry. Tutaj nie ma łatwych sposobów zażegnania konfliktu.

Bóbr nie oddala się od cieków wodnych. Jeśli zostawimy mu sto metrów nieużytku od rzeki, nic nam nie zrobi. Buduje tamę i zalewa ten obszar, co dodatkowo zwiększa bioróżnorodność i funduje nam darmową retencję wody. Możemy go zabić lub przegonić, ale wtedy tracimy też wszystkie korzyści. To jest kwestia filozofii podejścia do przyrody.

Jestem rolnikiem znad Bugu czy Warty. Nie ma filozofii, którą przekonano by mnie do oddania stu metrów pola bobrom.

Bo filozofia ma działać na poziomie państwa, decyzji politycznych. Nie zgadzam się na obarczanie nią zwykłych ludzi. Jako rolnik też nie dbałbym o retencję, bioróżnorodność i to, co mówią ekologowie. Dbalbym przede wszystkim o to, żeby żywić swoją rodzinę, i to trzeba szanować.

Jak ma w tym pomóc państwo?

Odszkodowaniami, dotacjami, wsparciem uzależnionym od ochrony przyrody. Forsą po prostu. Pięknem przyrody jeszcze nikt się nie najadł. A przecież ten rolnik czy hodowca w mikroskali ma ze swoimi dzikimi sąsiadami same problemy. Korzyści czerpie cała wspólnota i wspólnota powinna za nie zapłacić.

W Polsce funkcjonuje system odszkodowań za owce zjedzone przez wilki, pola zalane przez bobry, zboże zjedzone przez sarny.

I to całkiem sprawnie. Ale ten mechanizm można by jeszcze rozszerzyć.

Na przykład o dotacje dla samorządów na terenach cennych przyrodniczo, jeśli zdecydują się je chronić.

Ten postulat wybrzmiał podczas protestów w Puszczy Białowieskiej.

Dla ludzi mieszkających wokół Białowieży ta puszcza jest zwykłym lasem. Pierwszym, jaki poznali w dzieciństwie. Korzystają z niego od pokoleń. I nagle z Warszawy przyjeżdżają politycy, urzędnicy z UNESCO i mówią, że to jest światowe dziedzictwo, z którego korzystać nie mogą, ale nie oferują rozwiązań. Złość na taką arogancję jest naturalna.

I potwierdza, że najłatwiej kochać dzikość, będąc daleko od niej.

Najłatwiej oglądając filmy i zdjęcia w sieci i rozczulając się uroczymi zwierzątkami. To tzw. bambizm – od jelonka z bajki Disneya.

Bambizm. Nowe słowo.

Ja sam jestem umiarkowanym bambistą. Wzrusza mnie piękno przyrody. Dodatkowo mam ten komfort, że utrzymanie mojej rodziny nie zależy od ilości plonów czy ściętych drzew. Nie wszyscy go mają i nie można ludziom narzucać własnych, wygodnych standardów – to się nazywa opresja. Należy zaakceptować, że część lasów to plantacje desek i temu mają służyć. Nie mogę płakać po każdym ściętym drzewie, nawet jeśli mam takie tendencje, bo nawet teraz siedzę i wymądrzam się znad drewnianego biurka.

Są tereny, które należy chronić bezwzględnie?

Tak, w Polsce jednym z takich obszarów jest właśnie Białowieża. Tylko że tego nie da się zrobić z pominięciem ludzi, którzy tam mieszkają i od lat żyją z tej puszczy.

Co można im zaproponować?

Ponownie: pieniądze. Utrzymanie rodziny. Bo na tym, a nie na ścinaniu drzew, tak naprawdę zależy każdemu z nas. Pokazywanie, jak zarobić na ochronie przyrody, jak pogodzić ją z domowym budżetem, jest najważniejszym zadaniem ekologów.

Nawet jeśli ekologowie robią to z powodów czysto bambistycznych?

Zwłaszcza wtedy. Jestem przekonany, że najważniejszą rolę w ochronie

→ przyrody mają nie naukowcy, tylko prawnicy i ekonomiści. Bo to oni mają szansę stworzyć realną zmianę.

Ta zmiana w Białowieży już się zaczęła i opiera się na turystyce. Tylko odwiedzający Puszcę ornitologzy zostawiają tam 8 mln zł rocznie.

Turystyka już w paru przypadkach okazała się najlepszym pomysłem na nasze sąsiedztwo z przyrodą. Moim ulubionym przykładem są goryle w Tanzanii. Przez lata, pomimo groźby kary śmierci, polowali na nie kłusownicy. Za zabita sztukę zarabiali np. 50 dolarów. Prawdziwe pieniądze brał pośrednik, który sprzedawał np. rękę goryla jako gustowną popielniczkę jakiemuś zwyrodnialcowi. W latach 80. pojawiły się tam firmy turystyczne. Nagle okazało się, że goryl jest więcej wart żywy niż martwy. I ci sami ludzie po prostu odłożyli karabiny i zaczęli prowadzić turystów, żeby sobie zobaczyli tego goryla. Ich żony pootwierają restauracje i hotele, zarabiając wielokrotnie więcej niż na kłusownictwie.

Sam pracuje Pan jako przewodnik, zabiera turystów do Arktyki i Antarktyki. Ten biznes też wiąże się z kosztami dla środowiska.

Oczywiście. Ale odpowiedzialnie prowadzona turystyka przyrodnicza jest ratunkiem dla wielu miejsc. Co do mojej pracy, mam dwa spostrzeżenia. Pierwsze jest takie, że Ziemia nam się skurczyła. Antarktyka będzie eksploatowana tak czy inaczej. Wolę tam wozic wyedukowanych turystów i зараżać ich miłością do przyrody niż górników, hutników i poszukiwaczy ropy naftowej. Drugie: turystyka zwiększa kontrolę. Do lat 80. wszystkie stacje antarktyczne wyrzucały śmieci gdzie popadnie. Dopiero gdy turyści zaczęli docierać w okolice amerykańskiej stacji McMurdo, czy amerykańskich podatników zobaczyły, jaki bałagan jest finansowany z ich pieniędzy. Problem zniknął bardzo szybko.

Wiele czasu spędza Pan w polarnych regionach. Tam przyroda może zabić, sąsiedztwo z nią jest mniej uczuciowe.

Zupełnie się nie zgadzam. Jeśli coś może mnie zabić, poświęcam temu czemuś całą uwagę i wszystkie emocje. To bardzo uczuciowe.

Już w paru przypadkach turystyka okazała się najlepszym pomysłem na nasze sąsiedztwo z przyrodą.

Czy od mieszkających tam ludzi możemy się czegoś nauczyć?

Często się maluje taki obrazek, że Inuici i inni mieszkańcy Arktyki żyją w cudownej harmonii z naturą. Że są szlachetniejsi. Moim zdaniem to pozytywny rasizm. Są dokładnie tacy jak my: niektórzy źli, inni szlachetni, większość pośrodku. W harmonii z naturą żyli, gdy nie mieli innych możliwości technicznych. Gdy pozyskali broń palną, prawie wytepiłi ogromne stada karibu. Czego możemy się nauczyć? Może tego, że ludzka chciwość jest uniwersalna.

Czy chciwość jest jedynym problemem? W każdym ekosystemie duży mięsożerca to crème de la crème. Najrzadszy gatunek na szczycie łańcucha pokarmowego. I w kontrze do tego homo sapiens: ponad 7 mld osobników, większość je mięso.

Bardzo łatwo powiedzieć: „jest nas za dużo”. Nie powiem tak. Nawet przy tej liźcebnosci jesteśmy w stanie się wyżywić, gdybyśmy potrafili się uczciwie dzielić. Nie marnować jedzenia. Jeść mniej mięsa, podnieść jego cenę, by odzwierciedlała koszty dla środowiska. Gdyby nie było tej hodowli przemysłowej, raz na jakiś czas mógłbym zjeść kotleta na obiad. I wtedy byłaby to tylko sprawa mojego sumienia. A dzisiaj to niestety kwestia sytuacji na całej planecie.

Jest Pan weganinem?

Nie. Chociaż to byłaby najuczciwsza postawa.

Dlaczego?

Też nie jestem wolny od tych wszystkich przyzwyczajęń, wychowania i modelu dzisiejszego świata. Dlaczego miałbym być? Ale zamierzam to zmienić.

Na koniec pomówmy o rozwiązaniach. Mówił Pan

o turystyce, ale to nie zadziała wszędzie. Nie każdy las w Polsce, który wymaga ochrony, zostanie Białowieżą.

Większość tych pięknych historii sukcesu w jakiejś części opiera się na turystyce. Trudno znaleźć inny sposób zarabiania na przyrodzie bez krzywdzenia jej. Może technologia?

W jednym z odcinków serialu „Czarne lustro” pszczoły wymarły i zastąpiono je dronami.

To jest jakaś szansa. Rolnictwo bezgłowe, syntetyczne mięso – to technologia, które mogą nam pozwolić się pogodzić z przyrodą. Ale rzeczywisty problem jest w naszych głowach: daliśmy sobie wmówić, że chciwość jest cnotą. Powtórzę za Davidem Attenborough: „Jeśli ktoś wierzy w ciągły rozwój na planecie, która nie rośnie wraz z nami, jest albo szaleńcem, albo ekonomistą”.

Te technologie to pieśń przyszłości. Dzisiaj nie mamy łatwego rozwiązania na dobre sąsiedztwo z dzikością.

Musimy więc korzystać z rozwiązań trudnych. Musimy zachowywać różnorodność i dbać o bioróżnorodność nawet tam, gdzie ścieramy się z przyrodą. Czy jesteśmy gotowi? Wątpię, bo stworzyliśmy problemy zbyt skomplikowane dla nas samych. Nasz mózg nadal jest przystosowany do uciekania na drzewo przed lwem, a nie projektowania wieloletniej strategii ochrony bioróżnorodności, żeby w ogóle było przed kim uciekać.

Ala pewnych sukcesów nam nie można odmówić.

I większość z nich opierała się na ekonomii. Albo na twardym egzekwowaniu przepisów i kar. Czyli też ekonomii. Indonezja regularnie wysadza w powietrze schwyte statki kłusownicze. Georgia Południowa restrykcyjnie sprawdza techniki połowu, które wcześniej masowo zabijały podpływające do haków albatrosy. Od czterech lat nie zginął ani jeden. To chyba jedyny kierunek – wykorzystywać mechanizmy ekonomiczne, by ochrona przyrody się opłacała.

A jeśli ich nie ma? Stworzyć nowe.

© Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

Już w sprzedaży – podwójne wydanie specjalne!

ŚWIĘTO SPOTKANIA



*Wiem, że ludzie czasem potrzebują
tylko tego: by przytulić się i razem
pomilczeć. Nic więcej.*

Anna Dymna

Oczekiwanie. Uczta. Goście, których
chcielibyśmy zaprosić do stołu, „kiedy
to wszystko się wreszcie skończy”.
Radość i zabawa.

Zmagając się z epidemią, przeżywając
społeczne niepokoje, nie przestajemy
zadawać sobie najważniejszych pytań
duchowych i egzystencjalnych. I nie
przestajemy myśleć o jakości naszego
bycia razem, zarówno z najbliższymi,
jak we wspólnocie obywatelskiej.

„Święto spotkania” – szukaj w sklepach z dobrą prasą
i na powszech.net/swietospotkania

weź, czytaj!

MAŁGORZATA

Kordowicz: Wdowie szaty



JUDA – KTÓREGO WUJ EZAW JAKO PIERWSZY w rodzinie pozwolił sobie na małżeństwo mieszane – żeni się z córką Kananejczyka Szuy i ma z nią trzech synów: Era, Onana i Szelę (Rdz 38). Żoną pierwotnego Era zostaje Tamar i... Przyzwyczajeni do zwartych biblijnych genealogii, chyżo nadstawiamy ucha, by po-

znać imię ich potomka, tymczasem sprawa się komplikuje, albowiem Bóg prędko uśmierca złego Era i jedyną nadzieją pozostaje „małżeństwo lewirackie”: ciężący na bracie bezdzietnie zmarłego obowiązek, by ożenić się z wdową i spłodzić z nią dzieci, które będą uważane za dzieci zmarłego.

Juda instruuje Onana, żeby spełnił swą powinność, ale ten najwyraźniej nie zamierza zostać dawcą spermy i stosuje rozpowszechniony w starożytności środek antykoncepcyjny – *coitus interruptus*. Czy nie w smak mu zupełnie inny podział majątku, gdyby za jego sprawą pojawiły się na świecie formalnie nie jego dzieci? Palec Boży dosięga i Onana, i teraz obowiązek przechodzi na najmłodszego syna, Szelę. Właściwie Tamar powinna przebywać do czasu jego dorostania w domu Judy, ale zostaje odesłana do domu ojca, by tam „czekać na Godota”. Juda zdaje się nie brać pod uwagę, że śmierć jego dwóch synów była karą Bożą, i obarcza winą Tamar. Bezdzietna wdowa jest w męskim świecie nikim: ani dziewczą, którą ojciec „sprzeda” zięciowi, ani żoną, ani matką. Tkwi w totalnym zawieszeniu – ani nie pod kuratelą ojca, ani nie umocowana w klanie zmarłego męża, bo nie urodziła męskich potomków. Syn stanowi ubezpieczenie na starość i Tamar musi zadbać o swój status, by nie pozostać wyrzutkiem społeczeństwa. Co nie wyklucza i wzniosłej motywacji, by imię zmarłego męża nie zaginęło w Izraelu.

Nasza bohaterka niczego nie dokona z podniesioną przyłbicą. To może zza woalki? prostytutka – na ten właśnie los ostatecznie skazuje ją Juda. Tamar długie lata nosi wdowie szaty. Tymczasem Juda właśnie zrzuca świeże szaty wdowca po drodze do Timny. *Nota bene*, Timna, poza nazwą miejscowości, jest również imieniem konkubiny Ezawowego syna. Znak, że Juda szuka nowej kobiety?

Ezaw za miskę soczewicy sprzedaje pierworództwo; jego bratanek Juda zaś za chwilę przyjemności daje w zastaw swój syngnet z pieczęcią, sznur i laskę – czyli swoją tożsamość. O losie ciężarnej synowej decyduje jako głowa klanu: „Na stos z nią!” – jak z czarownicą, winną śmierci Era i Onana. Ostatecznie bierze on odpowiedzialność za własne czyny, a los Tamar jest zabezpieczony dzięki powitym bliźniętom, synom Judy (młodszy, Peres, będzie protoplastą króla Dawida). Na Judę przechodzi pierworództwo po najstarszym bracie, Ruwenie, i cały naród nosi po nim nazwę. To nie Kananejka zapewnia trwanie klanu Judy – sytuację ratuje właśnie Tamar. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Ja nie jestem Mesjaszem



W SEMINARIUM WTŁACZANO NAM DO głowy, że każdy kapłan to *alter Christus*. To znaczy, że we wszystkich sprawach ludzkich i boskich ma on zawsze rację. A skoro jest się już Chrystusem, to dłaczegoż by nie zacząć czynić cudów – uzdra-

wiać, a nawet wskrzeszać umarłych. Jezus przecież powiedział: „Tym, którzy uwierzą, takie znaki będą towarzyszyć: w Moje imię będą wyrzucać demony, będą mówić nowymi językami, węże będą brać do rąk, i choćby wypili coś zatrutego, nie zaszkodzi im. Będą na chorych kłaść ręce, a ci zostaną uzdrowieni”. Na szczęście ci cudotwórcy podchodzą do tych uprawnień wybiórczo i, przynajmniej u nas, nie eksperymentują z węzami ani z arsenikiem. Ostatnio znaleziono nowe pole do popisu: zaczęliśmy pouczać lekarzy co do koronawirusa. Podarujmy sobie przykłady, szkoda nerwów.

Z czasem do duchownych dołączyli świeccy i zaczęli nas wyręczać w uzdrawianach, jak też egzorcyzmach, na które nagle wzrosło zapotrzebowanie. W związku z pandemią i strachem przed zakażeniem i śmiercią, zgodnie ze starym przysłowiem: „Jak trwoga, to do Boga”, co jest skróconą wersją innego porzekadła: „Jak biada, do Żyda, jak po bidzie, idź precz Żydzie”, przypomnieliśmy sobie o dawnych modlitwach, procesjach, nowennach, postach, wierząc, że jeśli się je odprawi dokładnie tak, jak trzeba, skutek mamy zagwarantowany. I tak od niepozbanionego sensu stwierdzenia, że duchowny, ale i świecki chrześcijanin to drugi Chrystus, dorobiliśmy się szamanów przechwalających się, ilu to nawrócili na naszą wiarę.

No i jeszcze polityka. Jezus powiedział: „Niech wasza mowa będzie: tak – tak, nie – nie, a wszystko ponad to – pochodzi od Złego”. W polityce to „wszystko ponad” ma się jak najlepiej właśnie wśród tych, którzy nie bacząc na skutki swoich działań politycznych, ostatnio zapragnęli – założmy, że w dobrej woli – podważyć z trudem wypracowaną przed laty kompromisową ustawę w sprawie przerywania ciąży. Oczywiście wybuchła wojna. Nikodem Brzózzy OP mówi: „Stanowienie prawa wymaga kompromisu i społecznego przyzwolenia. Bez tego obrona życia jest kontrproduktywna. Skutek może okazać się taki, że będzie kwitło podziemie aborcyjne, wielu ludzi zrażonych porzuci Kościół, a najpóźniej za kilka lat, kiedy wahadło polityczne przechyli się w drugą stronę, nowy parlament lub Trybunał Konstytucyjny oczyszczony z sędziów, których ci, którzy nie zgadzają się z metodami rządu, uważają za »dublerów«, wprowadzi aborcję na życzenie. Nawet jeśli weźmiemy jedynie pod uwagę brak skuteczności, to stosowana obecnie metoda nie wydaje się ani mądra, ani roztropna”. I wtedy powiemy, że przecież chcieliśmy dobrze, na co usłyszmy: a wyszło jak zwykle. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Jezus wśród pogan

Nie osiągniemy
tu życia bez trosk.
Mówi bowiem Pismo:
„Kto stoi, niech baczy,
by nie upadł”.
Płyniemy wśród
niepewności.

AMMA SYNKLETYKA



Nawet jeśli to bolesne,
nie musimy pozwalać,
by nasze niepokoje
i pragnienia osiągnięcia
określonych rezultatów
dominowały nad jakością
obecnej chwili.

JON KABAT-ZINN



DRUGIE ROZMNOŻENIE
chleba przez Jezusa: je-
steśmy po pogańskiej
stronie Jeziora Galilej-
skiego (zob. Mt 15,
29-39; por. Mk 8, 1-9).

Wydarzenie zaczyna się i kończy działami miłosierdzia. Otwiera je Jezusowe spotkanie z chorymi, których uzdrowił, a kończy nakarmienie siedmioma chlebami czterech tysięcy mężczyzn wraz z towarzyszącymi im kobietami i dziećmi. Inicjatywa jest w obu przypadkach po stronie Jezusa. „Tłumy” przyprowadzają chorych, ale nie mają odwagi poprosić o ich uzdrowienie; to Jezus ich uzdrawia. I to On dostrzega głód towarzyszących Mu ludzi, i sam go zaspokaja. Nie potrzebuje niczyjej podpowiedzi. To, co widzi, dotyka głęboko Jego wnętrza i „zmusza” do działania. A kiedy już je podejmuje, okazuje się ono w przepiękny sposób „przezroczyste”: ci, którzy doznali pomocy, „wielbią Boga Izraela”. Właśnie tak: poganie wielbią Boga Izraela. Nie Jezusa. On jest pierwszym Wykonawcą zalecenia, którego udzielił w Kazaniu na Górze: „Tak niech świeci wasze światło przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca waszego, który jest w niebie” (Mt 5, 16).

Oba czyny Jezusowego miłosierdzia rozdzielają trzy dni („już trzy dni trwają przy Mnie”). Co zatrzymało tłumy przy Jezusie? Wdzięczność? Zachwyt? Ciekawość? Co takiego zyskali w ciągu owego „triduum”? Czy były to dni wypełnione nauczaniem?

A może indywidualnymi spotkaniami? Mateusz i Marek mówią tylko (i aż tyle), że między Jezusem i tymi ludźmi doszło do tak intensywnego, wciągającego spotkania, że zapomnieli o jedzeniu. Wszystko inne stało się nieważne. To dopiero On musiał im uświadomić, że potrzebują coś zjeść.

Co więcej, spotkanie to było ważne również dla Niego. Mówi o tym słowo, które obydwaj ewangelisci wkładają Jezusowi w usta – już przytoczone wyżej: „trwają”. W greckim tekście mamy tu termin *prosmeno*, składający się z dwóch części: *meno* – „trwać”, „zostać”, „wytrwać”; i *pros* – „bliisko”, „w kierunku”, „przy”.

Ciekawe, że św. Hieronim, tłumacząc ten czasownik na łacinę, oddał go różnymi słowami: u Mateusza mamy łacińskie *perseverant*, co najlepiej oddaje nasze tłumaczenie: „trwają”. Ale w wersji Markowej wielki Ojciec i Doktor Kościoła używa słowa *sustinent*, co można by przetłumaczyć jako „podtrzymują”: „już trzy dni Mnie podtrzymują”. Jakby Jezus chciał powiedzieć: „to, że są przy Mnie blisko już trzeci dzień, dodaje mi siłę”; „jestem mocny dzięki temu, że trwają przy Mnie”. On ich obdarował, ale i sam czerpie od nich siły do życia i dalszego działania. Tak naprawdę to On (a nie uzdrowienia i pokarm) jest dla nich darem, a oni są darem dla Niego. To relacja, która się urodziła, relacja wytrzymała, nie chwilowa i interesowna, pielęgnowana przez dłuższy czas – była darem. Ten dar nazywa się wiara. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (13 – 20 XII)

3. niedziela Adwentu: Iz 61, 1-2a. 10-11;
Łk 1, 1-2; 1 Tes 5, 16-24; J 1, 6-8. 19-28;

Poniedziałek: Lb 24, 2-7. 15-17a; Ps 25;
Mt 21, 23-27;

Wtorek: So 3, 1-2. 9-13; Ps 34; Mt 21, 28-32;
Środa: Iz 45, 6b-8. 18. 21b-25; Ps 85;

Łk 7, 18b-23;

Czwartek: Rdz 49, 1a. 2. 8-10; Ps 72;
Mt 1, 1-17;

Piątek: Jr 23, 5-8; Ps 72; Mt 1, 18-24;
Sobota: Sdz 13, 2-7. 24-25a; Ps 71;

Łk 1, 5-25;

4. niedziela Adwentu: 2 Sm 7, 1-5. 8b-12. 14a. 16;
Ps 89; Rz 16, 25-27; Łk 1, 26-38.

Wybrał PIOTR SIKORA

PORZUCENI PRZEZ PAŃSTWO

DR HAB. PAWEŁ KUBICKI, GERONTOLOG:

– Tysiące najstarszych Polaków traci sens życia, a instytucje nie mogą zrobić nic, by im ten sens przywrócić. Zbudowaliśmy system pomocy dla społeczeństwa, którego już nie ma.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Porozmawiamy o „naszych seniorach”?

PAWEŁ KUBICKI: Nawiązuje Pan pewnie do popularnej w epidemii retoryki polityków.

Niektórych ta zbitka doprowadza do szału.

I trudno się dziwić. Ona jest nie tylko infantylna i protekcyjna, ale pokazuje też coś głębszego – sposób komunikowania się rządu z kolejnymi grupami. Politycy „pochylają się z troską” to nad dziećmi, to nad seniorami, to nad hotelarzami. Pochylają się, ale nie wchodzą z tymi grupami w dialog. Gdy mowa o szkołach, nie mówi się do dzieci, tylko o dzieciach – to samo dotyczy najstarszych Polaków. Wielu z nich ma dzisiaj nie tylko poczucie, że są protekcyjnie poklepywani po plecach, ale też że w całej tej epidemicznej sytuacji przeszkadzają. Wszystko ma działać, gospodarka ma się kręcić – oni niech nie zawadzają. W PRL-u się mówiło: „Wesprzyj państwo czynem, umrzyj przed terminem”. Teraz komunikat ten można przełożyć na: „Nie wadź nikomu, umrzyj cicho w domu”.

26 proc. osób w wieku 60 plus dostrzega u siebie objawy

depresji. To jeden z wyników ogłoszonego niedawno, ale przeprowadzonego jeszcze przed epidemią przekrojowego badania stanu zdrowia i warunków życia – PolSenior2.

Podobny obraz pokazała pierwsza, robiona dekadę temu edycja badania. Nie powinniśmy być tym obrazem szczególnie zdziwieni.

Bo?

Bo ten stan rzeczy jest m.in. efektem przechodzenia Polski od społeczeństwa opartego na więzach rodzinnych do powszechnego na Zachodzie od dekad modelu, w którym krewni nie odgrywają już tak ważnej roli. A osoba starsza – głównie spełniający przez lata taką rolę mężczyzna – traci status „głowy rodziny”. W tym modelu kontakty międzyludzkie ewoluują w kierunku rówieśniczych i utrzymywanych w ramach społeczności lokalnych – kosztem tych rodzinnych.

W Polsce działa jeszcze dodatkowy czynnik: dzisiejsi seniorzy przeżyli większość życia w starym modelu i nie bardzo wyobrażają sobie inny, podczas gdy ich dzieci poszły w inną stronę.

W tym krajobrazie równowagę zachowali ci spośród najstarszych Polaków, którzy nadal pracują, są aktywni, utrzy-

mują kontakty, mają jakieś hobby. Pozostali mogą cierpieć na osamotnienie. A w skrajnych przypadkach na depresję.

Na to nakłada się epidemia.

Izolująca jeszcze bardziej od kontaktów z dziećmi i wnukami. Może nawet bardziej z wnukami, które uznane zostały za najbardziej „podejrzane”, bo przechodzące koronawirusa bezobjawowo.

Cała ta sytuacja jest jakby stworzona dla rozwoju depresji wśród najstarszych: brak fizycznej relacji – rozmowy, dotyku, przytulenia – a do tego ponury jesienno-zimowy czas. Osobiste kontakty, słabe także przed marcem 2020 r., teraz stają się tylko kontaktami *online*.

Albo i nie: ten sam PolSenior2 pokazuje, że blisko 57 proc. osób



TOMASZ KAWKA / EAST NEWS



Wigilia dla osób samotnych, bezdomnych i potrzebujących organizowana przez Fundację Wolne Miejsce, Katowice, 24 grudnia 2018 r.

60 plus nie używa internetu. Jak wygląda codzienne życie polskiego seniora w dobie epidemii?

Zapewne wygląda różnie, ale da się znaleźć wspólne elementy. Instytut Gospodarstwa Społecznego SGH i interdyscyplinarny zespół toruńskiego UMK zorganizowały konkurs na pamiętniki „Życie codzienne w czasach koronawirusa”, którego druga edycja właśnie trwa. Z dzienników, także od osób starszych, wynika, że epidemia okazała się być dopalaczem emocji i problemów, które istniały też przed nią. Emocji na poziomie indywidualnym, problemów na poziomie systemowym. Koronawirus wyostrzył wszystko: przeciętny senior był osamotniony, teraz jest osamotniony znacznie bardziej. Instytucje słabo wspierały tę grupę, teraz pomoc jest dramatycznie niewystarczająca.

Wirus wyostrzył też rzeczy dobre – np. oddolnie organizowaną w niektórych miejscach pomoc.

Jakie historie Pan zapamiętał?

Np. ponad 90-letniej pani, jednej z laureatek pierwszej edycji, która radzi sobie akurat z codziennością całkiem nieźle. Choć i w jej opowieści pojawiły się wątki mało optymistyczne. „Prowadzę z kolegą związek kombatantów, a kontakty są ważne, dlatego jestem na linii telefonicznej (...) Opowiadamy sobie zdarzenia dnia codziennego. Narzekamy, ubolewamy, że brak nam spotkań. O uczuciach też rozmawialiśmy, szczególnie z dziećmi. O strachu przed pandemią, której nie wiadać końca. Ja jestem na końcówce życia, ale dzieci: co ich czeka w tych ciężkich czasach?” – pisała autorka.

Nawet ta aktywna i mająca kontakty z ludźmi pani dzieliła się swoim poczuciem osamotnienia. „Muszę powiedzieć, że zawód zrobili mi moi sąsiedzi. Jestem teraz najstarsza w bloku i mieszkam sama. Tylu już tu młodych mieszka – nikt nie przyszedł i nie zapytał, czy czasami czegoś nie potrzebuję lub jak się czuję” – pisała. W innych pracach wątek depresji, spadku nastroju, osamotnienia pojawiał się często. A były pisane kilka miesięcy temu. Tymczasem wszystko, co mówią nam eksperci od traum, konfliktów wojennych czy innych zbiorowych przesileń, sprowadza się do jednego wniosku: z krótkotrwałego kryzysu – takiego jak wiosenny *lockdown* – łatwiej jest się nam otrząsnąć. Teraz ten stan rzeczy można już uznać za przewlekły.



→ Osoby starsze korzystają z pomocy?

Raczej rzadko. Depresja, antydepresanty, psychoterapia – to są wśród starszych pokoleń tematy tabu. W krajach zachodnich mamy nie tylko ludzi lepiej przygotowanych na starość, ale też przyzwyczajonych do sięgania po wsparcie. A u nas popularne jest nadal powiedzenie, że „starość się Panu Bogu nie udała”.

Pomijam fakt, że nawet gdyby starsza osoba zwróciła się po pomoc, to raczej by jej szybko nie dostała.

Najpierw musiałby się znaleźć ktoś, kto wychwyci problem.

Systemowo takiego kogoś nie widzę. Dostępność do służby zdrowia jest jeszcze gorsza niż przed epidemią. Instytucje, które były zawsze wsparciem dla przynajmniej części najstarszych Polaków, działają zupełnie inaczej. Byłem i jestem surowym krytykiem otwierania kościołów w sytuacji, gdy wszystkie inne miejsca zgromadzeń są obłożone ograniczeniami. Ale z punktu widzenia przynajmniej części osób starszych to właśnie kościoły były jedynymi miejscami, które łagodziły poczucie osamotnienia.

System wsparcia nie jest skrojony pod najstarszych?

RDC PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 9 grudnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia. Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

Zbudowaliśmy go dla społeczeństwa, którym w coraz mniejszym stopniu jesteśmy. Podmiotem polityki społecznej państwa jest dzisiaj rodzina z dziećmi, a nie pojedynczy człowiek czy społeczność lokalna. Ta sama rodzina, która zawsze była alibi dla bezczynności państwa w budowaniu systemu wsparcia dla osób z ograniczoną samodzielnością, teraz często nie spełnia swojej tradycyjnej roli. Można nawet powiedzieć bardziej „genderowo”: do niedawna „delegowało” się po prostu w rodzinie jedną kobietę do opieki nad najstarszym członkiem rodziny. Obecnie ten model coraz mniej się sprawdza – i ze względów demograficznych, i kulturowych.

Nie wiem, jaki efekt przyniosą obecne protesty kobiet, za to wiem, czego są sygnałem – to krzyk, że dawno oddaliliśmy się od patriarchalnego, tradycyjnego modelu rodziny, i że nie da się już nas z powrotem do tego świata wepchnąć. Tymczasem system wsparcia pozostał bez większych zmian.

Pomówmy o konkretach. Na co może liczyć – poza wolontariatem – osamotniony, pozbawiony kontaktu z krewnymi, a w dodatku częściowo niesamodzielny 70-, 80-latek?

Na tzw. pomoc środowiskową z ośrodka pomocy społecznej. Tyle że po pierwsze chodzi tu głównie o pomoc w czynnościach życia codziennego, np. sprzątaniu, przygotowaniu posiłku, a nie rozmowę czy emocjonalne wsparcie. Po drugie ta pomoc jest od pewnego pułapu odpłatna. Po trzecie samemu trzeba się mocno postarać, by taką pomoc otrzymać.

Pyta mnie pan zresztą już o moment kryzysu – to oczywiście ważna sprawa.

Ale równie ważne jest pytanie, czy nasza wspólna przestrzeń, architektura, instytucje sprzyjają codziennemu życiu, z nim do tego kryzysu dojdzie.

Sprzyjają?

Głównie to życie codzienne utrudniają. Zbudowaliśmy sobie świat, który nawet bez epidemii pomija całe grupy. Nawet jeśli to się powoli zmienia, to jest to nadal świat służący głównie pracy, przemieszczaniu się samochodem, niemal świętej „przepustowości”, a nie spędzania czasu przez kogoś, kto z tego świata pracy wypadł. Pozbawiony bezpłatnych lub niskopłatnych miejsc aktywności, toalet, bibliotek, klubokawiarni, osiedli dostosowanych do życia człowieka, który nie jest już w pełni sprawny. Pozbawiony odpowiednich mieszkań. Dziś niepełnosprawny senior może dostać dofinansowanie do remontu, dzięki któremu jego lokum zostanie dostosowane do ograniczonej sprawności mieszkańca. Ale nie mamy narzędzi, które takie dostosowanie ułatwiałoby zawczasu – np. w wieku 50 czy 60 lat.

Skutek: w Polsce niesamodzielność miewa często skutki zero-jedynkowe – rodzina albo DPS. Skutek dotkliwy zwłaszcza teraz: ryzyko zakażenia i śmierci w takiej placówce jest kilkudziesięciokrotnie wyższe niż w mieszkaniu, tymczasem DPS-y – nawet te zdziesiątkowane wiosną przez koronawirusa – najspokojniej w świecie przyjmują nowych mieszkańców.

I trudno mieć do nich o to pretensję. Nie zbudowaliśmy przez lata poważnych opcji alternatywnych, które pozwoliłyby

JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU SPECJALNY DODATEK – PRZYGOTOWANY Z ZACHĘTĄ – NARODOWĄ GALERIĄ SZTUKI

Wszystko zaczyna się od spotkania

W 1860 roku grupa artystów i miłośników sztuki powołała w Warszawie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych (TZSP). Jego celem było wspieranie i popularyzacja sztuki polskiej, w tym organizacja wystaw, tworzenie kolekcji i pomoc artystom. Zachęta to dziś jedna z najstarszych galerii sztuki współczesnej w Polsce. W 160. rocznicę powołania TZSP zastanawiamy się nad znaczeniem tradycji Zachęty i Towarzystwa, nad ich dzisiejszymi zobowiązaniami wobec artystek i artystów oraz publiczności i nad wyzwaniem wynikającymi z niepewnej przyszłości. Prezentujemy także – poprzez prace twórczyni najmłodszego pokolenia – kolekcję Zachęty.

ZAPRASZAMY DO LEKTURY!

ZACHĘTA

TOWARZYSTWO
ZACHĘTY SZTUK
PIĘKNYCH

starszemu człowiekowi żyć w miarę samodzielnie we własnym mieszkaniu. Np. w sytuacji, gdy wraca ze szpitala po udarze.

Czego brakuje?

Mamy za mało ośrodków dziennego wsparcia. Leży też systemowo szeroko rozumiane mieszkalnictwo wspomagane, w ramach którego starsza osoba mogłaby mieszkać sama albo z grupą podobnych do siebie osób w odpowiednio zaprojektowanym lokum i ze stałym, dochodzącym wsparciem, np. pielęgniarki czy terapeuty zajęciowego.

Mówiąc w największym skrócie: nie mamy w Polsce propozycji dla osób, które są częściowo samodzielne, ale daleko im do sytuacji, w której wymagają pielęgnacji dwadzieścia cztery godziny na dobę. A skoro nie mamy, to trafiają one do DPS-ów.

To złe miejsca do życia?

Dla niektórych być może dobre – problem w tym, że często nie ma wyboru. A jak nie ma wyboru, to często nie ma też możliwości życia na własnych warunkach. Decydowania, co i kiedy robimy, na co przeznaczamy swoje środki, z kim się spotykamy, co jemy.

I choć ostatnio coraz więcej mówi się o tzw. deinstytucjonalizacji – zapowiadanej przez rząd strategii odchodzenia od systemu opartego na placówkach – to na razie konkretów brak.

A mieszkańcy niektórych DPS-ów są w dodatku – ze względów bezpieczeństwa – pozamykani. Bez możliwości wychodzenia i przyjmowania gości.

Pozbądźmy się złudzenia, że problemy wymagających wsparcia osób starszych **będzie nadal załatwiała za państwo rodzina.**

Tak było kiedyś
– nie ma już powrotu
do tej rzeczywistości.

Tymczasem dla wielu to była dotąd jedyna rzecz, która ich napędzała. Proszę to sobie wyobrazić. Jestem sam przez większość czasu, ale od czwartku myślę już powoli o sobotniej wizycie kogoś bliskiego. W sobotę żyję już nią od samego rana. A jeśli taka wizyta mnie nie czeka – planuję wypad do fryzjera albo kawiarni.

Jeśli niczego takiego w najbliższej perspektywie nie ma, kładę się do łóżka i z niego nie wstaję. A gdy taki stan rzeczy utrzymuje się już nie przez kilka tygodni, ale przez miesiące, to zaczynam gasnąć.

Koniec epidemii może być wybawieniem.

Tyle że po pierwsze dla wielu najstarszych ludzi może być już za późno. Gasną po cichu i w swoich domach, i w placówkach – niekoniecznie z powodu koronawirusa. Po drugie depresja, od której rozpoczęliśmy naszą rozmowę, nie kończy się nagle. Trzeba niebywałego szczęścia, by z czegoś takiego samemu wyjść.

Warto zdać sobie sprawę z tego, że w mieszkaniach i placówkach tysiące najstarszych Polaków traci sens życia, a zbudowane przez nas instytucje nie mogą zro-

bić nic, by im ten sens przywrócić. Wielu z tego zimowego snu się już nie wybudzi.

Co Pan proponuje?

Budowę systemu, który nie bazowałby wyłącznie na całodobowych placówkach. I pozbycie się złudzenia, że problemy wymagających intensywnego wsparcia w życiu codziennym osób starszych będzie nadal załatwiała za państwo rodzina. Tak było kiedyś – nie ma już powrotu do tej rzeczywistości.

Nie da się też dłużej godzić naszej polskiej, godnościowej narracji o „ochronie każdego życia” oraz o tym, że eutanazja to „cywilizacja śmierci” – z sytuacją, w której polityka państwa skutkuje tym, co moglibyśmy nazwać cichą eutanazją tysięcy ludzi. Możemy się zresztą obudzić wkrótce w rzeczywistości, w której ta eutanazja nie będzie z punktu widzenia wielu starych ludzi najgorszym z rozwiązań.

Bo wiosną możemy ujrzyć problemy na niespotykaną dotąd skalę: społeczne, zdrowotne, psychiczne. Albo będziemy nadal udawać, że ich nie ma, albo zaczniemy na serio rozmawiać, jak im w przyszłości zaradzić.

© Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ARCHIWUM SGH



DR HAB. PAWEŁ KUBICKI jest ekonomistą i gerontologiem, pracuje w Szkole Głównej Handlowej.

Bada m.in. politykę publiczną wobec niepełnosprawności, pomoc społeczną i zjawisko wykluczenia.

JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU SPECJALNY DODATEK

2021: Rok Lema

■ Dokąd leci Planeta Lem? ■ Jak brzmi kosmos? ■ Czy wszechświat jest naszym lustrem? ■ Jak wysłać wiadomość do tych, którzy będą żyli na Ziemi za 10 tysięcy lat, i dlaczego pomogą nam w tym rośliny?

Odpowiedzi na te i wiele innych pytań w dodatku towarzyszącym obchodom setnej rocznicy urodzin Stanisława Lema – obszerny, pięknie ilustrowany grafikami Daniela Mroza dodatek już w następnym wydaniu „Tygodnika”!

Piszą: WOJCIECH BRZEZIŃSKI, MARIA HAWRANEK, AGATA KAŹMIERSKA, DOROTA KOZIŃSKA, PIOTR PAZIŃSKI I WOJCIECH ORLIŃSKI.

kbf:
operator programu

KRAKÓW
MIECZYSTWA
UNIKU

INSTYTUT
ADAMA
MICKIEWICZA

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



ANDRZEJ IWANCUK / REPORTER

Wizyta przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen w Warszawie, 25 lipca 2019 r.

Poza kręgiem

KLAUS BACHMANN

Kaczyński i Orbán chcą wspólnie zrobić wielki prezent pod choinkę dla ich największych przeciwników z unijnego „klubu skąpców”, a także dla krajowej opozycji.

NA PIERWSZY RZUT OKA SYTUACJA JEST beznadziejna: dwa państwa członkowskie blokują największe jednorazowe transfery w Unii Europejskiej, co do których główni beneficjenci i główni płatnicy już zdążyli się w lipcu tego roku dogadać. Jeśli na szczycie w najbliższy czwartek nie będzie postępu, kraje najbardziej dotknięte pandemią (do których za parę tygodni może dołączyć i Polska) będą musiały poczekać na te środki. Zablokowany został też „zwykły” budżet Unii na kolejne lata.

Czy nie warto wobec tego ustąpić Polsce i Węgrom, a więc zmienić rozporządzenie uzależniające wypłaty od przestrzegania praworządności? Szkopuł w tym, że to nie rozwiązałoby problemu. Nowelizacja, która byłaby po myśli rządów obu krajów, jest nie do zaakcepto-

wania dla unijnego „klubu skąpców” (kraje nordyckie i Austria). Prezydencja niemiecka jest między młotem i kowadłem: jedni grożą blokadą, jeśli rozporządzenie wejdzie w życie, drudzy grożą tym samym, jeśli nie wejdzie. Absurdalność sytuacji polega na tym, że skąpców powstrzymują potencjalni beneficjenci wpłat, przy okazji biorąc jako zakładników nie tylko kraje najbardziej dotknięte pandemią, ale i samych siebie.

W gronie chętnych

Wyjść z impasu jest kilka. Po pierwsze Warszawa i Budapeszt mogą od Rady uzyskać deklarację, że w pełni respektuje ona suwerenność Polski i Węgier oraz ich prawo do reformowania sądownictwa, co Orbán wykorzysta, by uspokoić swoich zwolenników, a Morawiecki – swego

patrona. Rada wprowadzie nie stanowi prawa, więc taka deklaracja jest tylko symboliczna i nie hamuje ewentualnego uruchomienia nowej procedury praworządności przez Komisję Europejską. W historii UE było jednak dużo przypadków, że ktoś próbował ratować twarz za pomocą czysto symbolicznych ustępstw ze strony pozostałych państw.

Prezydencja, a wraz z nią większość 25 państw, może wyprowadzić fundusz odbudowy poza struktury Unii, np. do strefy euro, albo oprzeć go na międzyrządowym porozumieniu. Tak powstał Europejski Fundusz Stabilizacyjny po kryzysie strefy euro, tak do dziś funkcjonuje Europol. To wymaga negocjowania i zawarcia odrębnego porozumienia, a więc czasu, którego kraje południa nie mają.

Jest jednak wyjście, które nie pociągnie za sobą takich komplikacji i może być dalej otwarte na Polskę i Węgry, choć niekoniecznie na obecne rządy obu krajów. Zgodnie z traktatowymi przepisami o wzmocnionej współpracy grupa przynajmniej dziewięciu państw członkowskich może współpracować w obszarach, które nie są zastrzeżone do wyłącznej kompetencji UE, jeśli taka współpraca nie narusza zasad wspólnego rynku i nikogo nie dyskryminuje.

Zarzut o dyskryminacji Polski i Węgier łatwo można oddalić, bo przepisy wymagają też, aby taki „krąg wzmocnionej współpracy” był otwarty dla tych, którzy chcą się później przyłączyć, jeśli są chętni i spełniają kryteria. Węgry i Polska nie będą mogły blokować takiej decyzji. Mogłyby to, owszem, zrobić Parlament Europejski i Komisja Europejska, ale nie są blokowaniem zainteresowane. W dodatku ów wąski krąg może się wtedy swobodnie posługiwać instytucjami unijnymi, nie musi budować nowych ani negocjować nowych porozumień. Kraje pozostające poza kręgiem mają prawo brać udział w jego naradach, ale nie uczestniczą w podejmowaniu decyzji.

To rozwiązanie niesie pewne pułapki. Pozostaje problem budżetu – Komisja Europejska już pracuje nad prowizorium budżetowym. Nie po raz pierwszy – w 1982 r. budżet został zatwierdzony z siedmiomiesięcznym opóźnieniem z powodu oporu Parlamentu Europejskiego. Unia funkcjonowała wtedy na podstawie prowizorium w wysokości siedmiu dwunastych części budżetu z poprzedniego roku. Wbrew pozorom prowizorium budżetowe nie jest jednak tak wielkim problemem dla większości „dwudziestki piątki”. Płatnicy netto w UE mogą to nawet sprzedać swoim obywatelom jako oszczędność, bo prowizoryczny budżet kurczy się wtedy mocno w porównaniu z normalnym, więc wpłaty do niego też.

Unia ma już także wyćwiczone procedury „wzmocnionej współpracy” – m.in. dlatego, że Polska i Węgry (czasami też inne kraje) same się wypisały z wielu dziedzin współpracy. Polski rząd odmówił np. uczestnictwa w tworzeniu wspólnej europejskiej prokuratury, ścigającej przypadki nadużywania funduszy unijnych i związanej z tym korupcji, ale urząd i tak powstał w ramach wzmocnionej współpracy 22 państw. PiS nie chciał się przyłączyć do wspólnych reguł dla transgranicznych rozwojów – obowiązują one tylko w „wąskim kręgu” 17 państw. Podobnie było z opracowaniem wspólnych przepisów regulujących stosunki własności w transgranicznych małżeństwach – obowiązują w 18 państwach.

Jak widać na tych przykładach, spór, czy można dopuścić do powstania „Unii kilku prędkości” albo „Unii à la carte” jest już bezprzedmiotowy, bo to się od dawna dzieje. „Wąskie kręgi” powstają nie dla-

tego, że ich członkowie tego sobie życzą, lecz dlatego, że ci na zewnątrz nie chcą wejść w dany obszar współpracy. Uruchomienie „wzmocnionej współpracy” stało się łatwiejsze, głosowania kwalifikowaną większością częstsze. Im częściej zaś większość przegłosowuje mniejszość, tym częściej ci z przegłosowanych, dla których decyzja większości jest nie do przyjęcia, wypisują się.

Problemy transgranicznych małżeństw nie są bardzo spektakularne. Ale powstanie wąskiego kręgu w przypadku wspólnego podatku unijnego od transakcji finansowych (procedura się toczy) i w polityce klimatycznej (gdzie Polska zawetowała wspólne cele klimatyczne) jest tylko kwestią czasu. Uruchomienie procedury wzmocnionej współpracy dotyczącej funduszu odbudowy może to tylko przyspieszyć.

My wam to odzyskamy

Dla instytucji unijnych taki obrót sprawy byłby uciążliwy, ale nie nowy. Dla Polski i Węgier natomiast – dramatyczny. Redukcja wydatków w ramach prowizorium budżetowego i ograniczenie zasięgu funduszu odbudowy do 25 państw pozwoliłyby płatnikom netto oszczędzić nawet więcej, niż traciłyby na tym Polska i Węgry, bo zmniejszone wydatki odbiłyby się też negatywnie na pozostałych (poza Polską i Węgrami) beneficjentach budżetu. Byłby to więc wspólny prezent świąteczny PiS i Fideszu dla ich największych przeciwników z unijnego „klubu skąpców”, którzy wszyscy są płatnikami netto.

Takie rozwiązanie uderzyłoby rykoszetem w węgierskich i polskich obywateli, firmy, organizacje pozarządowe, uczelnie i samorządy, i to nawet podwójnie. Raz, gdy nie dostaną środków, które już są zapisane w budżecie UE i w funduszu odbudowy. Dwa – skoro konkurenci w krajach EU-25 je dostaną, to zwiększy się nasz dystans do nich. W tym sensie weto stanowi przeszkodę w gonieniu „zachodu” i zwiększa dystans między Polską i Węgrami a pozostałymi krajami UE. Tego nie da się łatwo nadrobić, trzeba bowiem pamiętać, że fundusz odbudowy jest jednorazowy. Jeśli za parę lat inny polski lub węgierski rząd zgłosi akces, skarbonka może już być pusta.

Uruchomienie funduszu w ramach wzmocnionej współpracy miałoby też reperkusje w polityce wewnętrznej Polski

i Węgier – paradoksalnie właśnie dlatego, że procedura wzmocnionej współpracy zostawia obu krajom furtkę powrotu. Gdyby fundusz odbudowy znalazł się w „wąskim kręgu”, oba kraje mogą później doń przystąpić, ale muszą wtedy złożyć wnioski do Komisji, która ocenia, czy spełniają kryteria uczestnictwa. To samo potem ocenia „wąski krąg”, który może nakładać dodatkowe warunki na oba kraje.

Wobec ogólnoeuropejskiego oburzenia na blokadę funduszu i budżetu przez oba kraje, a także faktu, że stan praworządności w Polsce i na Węgrzech jest obecnie na ustach wszystkich (nie tylko stowarzyszeń sędziowskich i korporacji prawniczych), może się okazać, że temat praworządności wróci wtedy ze zdwojoną siłą. Jest wysoce prawdopodobne, że np. parlament holenderski zobowiąże swój rząd, aby się wstrzymał z poparciem do czasu uregulowania zastrzeżeń Komisji Europejskiej i Trybunału Sprawiedliwości wobec Polski i Węgier.

Jarosław Kaczyński jest politykiem wystarczająco długo, by pamiętać, jak w 2003 r. Jan Maria Rokita swoim hasłem „Nicea albo śmierć” pchał premiera Leszka Millera w beznadziejną konfrontację z Unią Europejską, do której Polska wówczas jeszcze nie należała. Wyciągnąć ten gorący kartofel musieli potem jednak Lech Kaczyński jako prezydent i Jarosław Kaczyński jako premier, negocjując traktat lizboński i walcząc o zachowanie tych jego elementów, które dla Polski były korzystne.

Teraz PiS z hasłem „weto albo śmierć” pcha sam siebie w taką konfrontację. Już wiadomo, że zapłaci rachunek w postaci kolejnego kryzysu rządowego (zwłaszcza jeśli do weta nie dojdzie, wbrew naciskom m.in. Zbigniewa Ziobry), a być może nawet przyspieszonych wyborów, w których PiS dostarczy konkurencji bardzo nośne hasło. Żadna z pozostałych partii, które mają szansę wejść do Sejmu, nie zrezygnuje przecież z obiecywania środków czekających na Polskę w budżecie unijnym i w funduszu odbudowy. Żadna nie będzie miała problemu, aby obiecać, że szybko poprosi „wąski krąg” o dopuszczenie doń, i potem obwieścić, że udało się jej odzyskać środki, które PiS spisał na straty. Byłoby to proste hasło na wspólną kampanię: załatwimy szybko kilkadziesiąt miliardów euro, które czekają na Polskę. ©

Brama zawsze mnie przyjmie

BARTOSZ JÓZEPIAK

Gdy pandemia uderzyła, akurat był koniec zimy, więc bezdomni nie odczuli tak mocno jej skutków. Teraz będzie inaczej.

AGNIESZKA Z KOLEGAMI PRZYSIADŁA na murku pod Biedronką, popijają amarenę.

Rok temu w mroźne noce giganci ratowali się noclegownią. Przychodziłeś wieczorem, rano wracałeś na miasto. W pandemii noclegownia zamieniła się w regularne schronisko. Żeby tam w ogóle wejść, musisz mieć zrobiony test na covid. W czym Michał widzi zasadniczy problem. Nikt tu nie ma ubezpieczenia, dowodu osobistego nawet, więc testu żaden lekarz im nie zrobi.

Z tej kwadratury koła nie ma dobrego wyjścia, dlatego każdy opracowuje plan awaryjny.

Nie każdy sobie poradzi

Krzysztof, lat 67, od dwudziestu na ulicy, planuje spędzić zimę na klatce schodowej na Bałutach. Sąsiedzi go dobrze znają, bo kiedyś przychodził odwiedzać siostrę. Nikt go nie wygoni.

Iza, która jeździ na wózku, handluje kwiatami i pilnuje samochodów na parkingach, spędzi nocę na podłodze u kolegi. Jakoś do wiosny dojedzie.

Agnieszka ma komfortową sytuację, bo ze starego życia zostało jej mieszkanie. Co prawda bez ogrzewania, a ostatnio ukradli jej butlę gazową i kołdry, więc w mroźne wieczory jest nieciekawie.

Maciej, następny z ekipy i też na wózku, ma ulubioną bramę na Piotrkowskiej, z której go nie wyrzucają nigdy. Ale całe zimy to jeszcze tam nie spędzał. Na szczęście Agnieszka jest gościnnie. Na 38 metrach podłogi można i sześć osób przemocować. Jeśli Maciek nie wypije za dużo

i nie robi awantur, to go wniosą z kolegami do mieszkania.

Dla innych zostają klatki na 10 piętrze, zsypy, działki. No i pustostany. Ulubiona kamienica łódzkich gigantów to ta, co grozi zawaleniem. W centrum, przy stacji Orlen.

Trzeba wskoczyć na murek, przejść przez okno i gotowe. W środku butelki i materace. Ktoś chrapie, ktoś przeklina po ukraińsku. 33-letni Kuba czarno widzi tę zimę. Parę dni temu potrafił go samochód, połamał rękę. W szpitalu wstawili mu śrubę. Zrobili badania, więc ma wynik, że jest czysty, bez wirusa. A i tak go do noclegowni nie wpuszcili. Nie, bo pandemia – tak powiedzieli.

Agnieszka prorokuje: – My sobie jakoś poradzimy, bo się trzymamy razem. Na zakupki chińską uezieramy. Ale nie każdy tak umie. I dlatego zobaczycie: będą trupy podnosić tej zimy.

Zasada „jakoś to będzie”

Gdy pandemia uderzyła, akurat był koniec zimy, dlatego bezdomni nie odczuli aż tak mocno jej skutków. Teraz będzie inaczej.

Jadłodajnie, jak ta na warszawskim Mokotowie, nie wiedzą jeszcze, czy

w ogóle wystartują w sezonie zimowym. Inne wydają posiłki tylko na zewnątrz.

W grudniu po Łodzi rusza zimowy autobus dla bezdomnych. Pracownicy Brata Alberta wydadzą ciepłą zupę, ale do środka nie wpuszczą. Przepisy sanitarne.

Bary i restauracje pozamykane, więc nie da się tam zjeść za pieniądze pozbierane na ulicy.

Ale największy problem mają schroniska, które stanęły przed nie lada wyzwaniem: jak przyjmować nowych mieszkańców, skoro nie są przebadani?

Posłanka Hanna Gill-Piątek (Polska 2050 Szymona Hołowni) zapytała rząd: do których zadań należy organizacja kwarantanny i wykonywania testów bezdomnym zgłaszającym się do schronisk i noclegowni? Czy i jakie środki przeznaczył rząd na to zadanie? W jaki sposób osoby nieubezpieczone mają wykonać test na koronawirusa, skoro nie mogą pójść do lekarza?

Z Ministerstwa Zdrowia otrzymała odpowiedź w duchu: bezdomni to tacy sami obywatele jak reszta, więc tak samo mają dostęp do badań na covid.

– Właśnie nie mają takiego samego dostępu! – denerwuje się Gill-Piątek.

Bezdomnego można ubezpieczyć, ale najpierw trzeba go albo zarejestrować





JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

*Wolontariusze akcji Zupa na Plantach
rozwożą posiłki osobom bezdomnym,
Kraków, 26 maja 2020 r.*

wszystko załatwiać? Za przeciwdziałanie epidemii odpowiada wojewoda, i wojewoda może zlecić różne zadania gminom, tylko że musiałyby za nie zapłacić. Wojewodowie nie chcą tego robić. Rząd umywa ręce, działa według zasady: lepiej dać ludziom umrzeć na ulicy, niż dać samorządowi nędzne kilka milionów. Tyle by wystarczyło – mówi Hanna Gill-Piątek.

Państwo radzi sobie z problemem zgodnie z tradycją „jakoś to będzie”. I faktycznie, jakoś to działa. W każdym mieście inaczej.

Wydziesz, ale nie wrócisz

Wielisława Rogalska, prezes łódzkiego Brata Alberta, od wiosny mówiła władzom miasta: musimy coś zrobić. Straż miejska znajdowała bezdomnych i zaczynała się jazda: co z nim zrobić? Kto go przebadza na covid? Za co? Przepychanki w trójkącie miasto–województwo–NGO-sy trwały do października. W końcu się udało. Procedura w Łodzi jest teraz taka: strażnicy odławiają bezdomnych z pustostanów, wiozą ich do Centrum Terapii i Profilaktyki Zdrowotnej. Tam personel pobiera wymaz, a bezdomni w odizolowanych pomieszczeniach czekają na wynik testu. Jeśli jest ujemny, jadą do schroniska i noclegowni. Jeśli pozytywny, odbywają kwarantannę na miejscu. Co tydzień trafia tam kilkanaście osób. Za wszystko płacą władze miasta.

Informacja o nowej procedurze nie dotarła najwyraźniej do bezdomnych, skoro Agnieszka i Michał nie mają o niej pojęcia i nie wiedzą, że mogą się przetestować za darmo.

Noclegownia Brata Alberta zamieniła się w schronisko, razem z innymi schroniskami przeszła w tryb lockdownu. Mieszkańcy mogą wyjść, ale jeśli chcą wrócić, to muszą już zaliczyć test i kwarantannę. Mimo tych środków bezpieczeństwa nie udało się ustrzec przed chorobą: u dwóch mieszkanki schroniska dla kobiet wykryto wirusa.

Z pomocą władzom miasta pospieszył abp Grzegorz Ryś. Łódzka archidiecezja zebrała 150 tys. złotych na testy dla bezdomnych, przygotowano miejsca do izolacji w ośrodku Caritasu pod Łodzią. Dzięki temu nie ma ryzyka, że zabraknie miejsca. Łódź ma szczęście.

Jak w więzieniu

– Jak we więzieniu tu się mieszka – podsumowuje Mieczysław.

Wie, co mówi. Świat oglądał z krzaków przez 12 lat. Dostał przerwę w karze na podreperowanie zdrowia. W końcu rak to nie są żarty. Wypuścili go na wolność. Mieszkał u kolegów, ale ciągle picie przestało mu odpowiadać. Gdzie indziej miał pójść? Brat ma żonę, dzieci, nie będzie mu na głowie siedział. Trafił do schroniska. I wtedy przyszła pandemia.

Schronisko Monar-Markot w Toruniu zamknięto na cztery spusty. Dyrekcja wprowadziła rygor: wyjścia tylko dla tych, którzy pracują. Bo niektórzy koszą trawę albo pilnują galerii handlowych. Reszta musi siedzieć w ciasnych pomieszczeniach. Mogą wyjść do ogrodu, do altanki na papierosa, pooglądać pociągi, bo budynek należy do PKP, chłopaki obok mają tory. I to wszystko. Mietka szlag trafia: przecież to jest jak spacerniak, tylko krat nie ma. Po cholere mu taka przerwa w karze, z jednego więzienia do drugiego trafił? Latem można było jeszcze wyjść na spacer, na ryby, do lasu, rodzinę odwiedzić. Z drugą falą to się skończyło.

Marek, co razem z Mietkiem dopala papierosa pod altanką, ma 66 lat. I różne choroby, więc wirus to by był dla niego wyrok. Każdy by chciał wyjść, oprócz Mietka mieszka tu jeszcze trzydziestu innych. Andrzej, lat 57, też by odwiedził wnuki, dzieci, pojechał na działkę. A widział ktoś przepisy, które im nie pozwalają wyjść? A widział ktoś tego wirusa? Nie wiadomo, komu i czemu ma to służyć. Ile można z nudów ziemniaki obiecać albo przeglądać internet na komórce? Dzwonić do synów w Holandii i pod Toruniem? Mimo uwięzienia Marek ze schroniska nie wyjdzie: ulica to jest picie, a po rozwodzie już przechrzął chyba wszystko. Z dwojga złego lepsza cela.

Kierownik Monar-Markot w Toruniu Zbigniew Grzesiak rozkłada bezradnie ręce: no tak, zamknął schronisko, ale jakie miał wyjście? Tutaj średnia wieku to jest ponad 50 lat, wirus byłby zabójczy.

– Ja nie narażę zdrowia wszystkich, żeby sobie paru panów mogło pospacerować. No niestety.

Grzesiak ma podpisaną umowę z kilkunastoma gminami na opiekę nad bezdomnymi. Gminy po wielkich bojach zgadzają się zrobić testy, ale zwykle bronią się, bo to czas i koszty.

jako bezrobotnego, albo załatwić mu skierowanie przez gminny ośrodek pomocy społecznej. – To koszmarna biurokracja – mówi posłanka.

Wszelkie sprawy urzędowe w pandemii się wydłużyły. – Trzeba się umówić, by złożyć wniosek o dowód osobisty. Potem się czeka, żeby go odebrać. Razem wychodzą ze dwa miesiące – opowiada Adriana Porowska, szefowa Kamilińskiej Misji Pomocy Społecznej.

Wiceminister rodziny i polityki społecznej Stanisław Szwed odpowiedział posłance, że opieka nad bezdomnymi to zadanie własne gminy. Ministerstwo wydało wytyczne, w których czytamy, że bezdomni muszą najpierw spędzić 10 dni w miejscu odosobnienia, zanim będą mogli zamieszkać w schronisku. W każdym mieście muszą być też izolatoria dla bezdomnych z podejrzeniem koronawirusa. A noclegownie mają działać przez całą dobę, czyli *de facto* mają zamienić się w schroniska. Wszystko po to, by mieszkańcy nie krążyli w tę i z powrotem. Jak samorządy mają to załatwić? Na to pytanie ministerstwo nie odpowiada.

– Absurdalna sytuacja: bezdomny jest „własnością” gminy, a jego wirus – rządu. Właściwie czemu samorządy mają same

→ W schronisku przygotowali miejsce do kwarantanny dla nowo przybyłych. Dwuosobowy pokój. Chociaż wytyczne ministerstwa mówią, że bezdomni na kwarantannie powinni mieć swoją łazienkę, to kierownik pyta: no gdzie? Nowego budynku, nawet kontenera, nie postawi, bo raz, że nie ma za co, a dwa, że tu jest teren kolejowy i nie wolno mu nic dobudowywać.

Jest jeszcze jeden problem – pandemia zawiesza właściwie walkę z bezdomnością. Przecież w schronisku ludzie mają przebywać czasowo, żeby się usamodzielnili. Kierownik tłumaczy takiemu: „Weź się za siebie, podejmij pracę, za jakiś czas wyjdiesz z tego”. A teraz okazuje się, że mieszkańcy mają nie wychodzić, więc kierownik sugeruje w drugą stronę: „Sorry, siedź tu, nie wychodzimy”. Widać potężną sprzeczność.

– Zimy to ja sobie nie wyobrażam – opowiada Grzesiak. – Ja w jednym momencie mogę na kwarantannę położyć dwie osoby. Może być ciężko, jeżeli w jednym momencie gminy przyślą np. 10 osób. Materacy na ziemi nie położyć, bo nie mogę wprowadzić nieprzetestowanej osoby. Będę musiał ich odesłać albo szukać innych rozwiązań.

Albo to, albo ulica

Jeszcze w październiku ministerstwo ogłosiło nową edycję programu „Pokonać bezdomność”. Organizacje dostały od 50 do 150 tys. zł, łącznie 17 mln w całym roku. Pieniądze mają być przeznaczone m.in. na profilaktykę i aktywizację.

Wszystko super, myśli Adriana Porowska z Kamilińskiej Misji, ale jest jeden problem: pieniądze muszą być wydane do 31 grudnia. Tego roku. Poza tym nie rozwiążą podstawowego problemu, bo nie da się za nie na szybko dobudować pokoiów do kwarantanny.

Warszawa ma ten sam problem co inne miasta – straż miejska podejmuje bezdomnego i zaczyna się gorączkowe

W schronisku ludzie mają przebywać czasowo, słyszą:

„weź się za siebie,
podejmij pracę”.

**A teraz okazuje się,
że mieszkańcom
nie wolno wychodzić.**

pytanie: nawet, jeśli go przetestujemy, to gdzie ma czekać na wynik? Na kupie liści? Dochodziło do tego, że strażnicy wozili bezdomnego w tę i z powrotem, aż coś się wymyśli.

W końcu Porowska zorganizowała miejsce na kwarantannę w schronisku w Ursusie. Mieszkańców z jednego pokoju przeprowadziła do ich kolegów. Mają ciasno, ale dają radę, a sześć łóżek zwolniło się dla nowych osób. Testy udało się zorganizować od prywatnych darczyńców. Jest nawet miniizolatorium dla osoby z podejrzeniem wirusa – jeden pokój z połowym łóżkiem i osobną łazienką. Porowska pieniądze z ministerstwa najchętniej przeznaczyłaby na etat dla nowego pracownika, bo ktoś przecież musi się tymi osobami na kwarantannie zajmować. A co, jeśli są na wózkach i trzeba ich wykąpać? Ale tego plan resortu rodziny nie przewidywał.

W pandemii jak na dłoni widać błędy systemu. Domy Pomocy Społecznej dostają 3500 zł dotacji do każdego mieszkańca, schroniska dla bezdomnych – raptem 800. W DPS-ach jest dwudziestu pracowników, a w schronisku dla 80 osób w Ursusie dziewięciu. W jednym momencie czterech trafiło na kwarantannę, więc można sobie wyobrazić, ile pracy zważyło się na głowę pozostałym.

Dostęp do leczenia, trudny dla ludzi w kryzysie bezdomności jeszcze przed pandemią, teraz staje się trudny ekstremalnie. Jeden z panów na terapię alkoholową idzie już czwarty miesiąc. Najpierw czekał na test, potem był covid na oddziale, teraz znowu na coś tam czeka.

Dyrektor Porowska ma sygnały od medyków ulicznych: panowie i panie, którzy od miesięcy, lat korzystali z pomocy, nagle znikają. Co się z nimi dzieje? Nie wiadomo. Wyjechali z miasta, wyszli z bezdomności, zmarli czy śpią po krza-

kach? Porowska jest przekonana, że to nie koniec znikania.

Bezdomni w Ursusie mogą normalnie opuszczać schronisko, bo dyrektorka nie widzi się w roli klawiszka. Ciężko zapanaować nad panami, z których duża część nie wierzy w pandemię. Najpierw schronisko było podzielone na pół – jedna klatka schodowa dla „niedowiarków”, druga dla tych, co obawiają się o życie. Grupy szybko się wymieszały, bo zmęczeniu izolacją zaczęli przyznawać: „Wolę umrzeć, niż żyć jak w więzieniu”.

Warszawa zainwestowała w miejsca buforowe, czyli pomieszczenia, gdzie bezdomni przechodzą dziesięciodniową kwarantannę. Specjalne kontenery reklamował na Facebooku były już wiceprezydent Paweł Rabiej. W miejsce buforowe zamieniono też noclegownię na Białołęce.

Po tym, jak Patryk stracił mieszkanie, wędrował między dworcami a ogrzewalnią, w której nocami koczują bezdomni i w której kradną na potęgę. W autobusie rozdającym żywność powiedział mu o buforze na Białołęce. Działal w ten sposób, że najpierw czekałeś, aż uzbiera się komplet osób. Patryk czekał tydzień, jak już wypełniło się schronisko, to dopiero wszystkich zamknęli na dziesięć dni. Przez ten czas bufor nie przyjmował nowych osób. Patryk zapamiętał jogurty i suchy chleb na śniadanie, jakieś zupy na obiad, bez dokładki. Bardzo dużo osób nie wytrzymało. Posiedzieli na buforze dwa, trzy dni i wychodzili. Albo jak usłyszeli, że trzeba siedzieć dziesięć dni na miejscu, to zawracali spod bramy. Każdy miał swoją wymówkę, ale prawda jest taka, że jak mają siedzieć w zamknięciu, to wolą ulicę.

– Zawsze była, jest i będzie grupa, która nie jest w stanie zamknąć się na 24 godziny, bo nie wytrzyma. Dla takich osób, uzależnionych od alkoholu, były noclegownie. Teraz noclegowni prawie nie ma, więc ci ludzie zostają sami – mówi Porowska.

Ale noclegownia w Warszawie działa w najlepsze, mimo wytycznych ministerstwa. A to oznacza ogromne ryzyko w pandemii. Łatwo sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli wirus rozprzestrzeni się po sali pełnej piętrowych łóżek i 50 mężczyzn.

Albo to, albo ulica. Lepszego sposobu na razie nikt nie wymyślił. Zostają działki, pustostany czy namioty gdzieś nad Wisłą. I trzymam kciuków, że wszyscy dadzą sobie jakoś radę. © BARTOSZ JÓZEPIAK



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



WOJTEK JARGIŁO / PAP

Budżet na jednej nodze

MAREK RABIJ

Czas na trudną rozmowę o systemie podatkowym – skoro po pandemii staniemy przed koniecznością spłaty gigantycznego deficytu.

WLIPCU PRZYSZŁEGO ROKU POLSKI podatek dochodowy świętować będzie 30. urodziny. Zrozumiałe w takiej sytuacji podsumowania będą się działy w szczególnym momencie – wiele wskazuje na to, że dzięki szczepionce paraliżująca gospodarkę pandemia znajdzie się latem w odwrocie. Pozostanie, bagatela, uprzątnięcie bałaganu, jaki koronawirus wywołał na rynku pracy, a nade wszystko w finansach większości krajów rozwiniętych.

Deficyt polskiego sektora finansów publicznych liczony według metodologii unijnej (dokładniejszej od krajowej, której bliżej dziś do kreatywnej księgowości niż rzetelnych obliczeń) wyniesie w tym roku ponad 270 mld zł, czyli 12 proc. PKB. W przyszłym roku – jak piszą w niedawnej prognozie specjaliści z Towarzystwa Ekonomistów Polskich – rząd nie będzie już mieć tyłu pilnych wydatków, ale gospodarka nadal będzie potrzebować stymulacji, co pochłonie kolejne 140 mld zł.

Już za rok na rachunku, jaki zostawi nam pandemia, każdy z Polaków mieć będzie blisko 11 tys. zł do spłaty.

W tej chwili rząd nie myśli o podwyżkach podatku dochodowego – zapewnił kilka tygodni temu minister finansów Tadeusz Kościński, ale od razu zaznaczył, że w sytuacji, w jakiej znajduje się budżet, możliwe będą podwyżki innych danin. Od stycznia w życie wejdzie m.in. opłata cukrowa i tzw. podatek od deszczówki (czyli w żargonie ustawodawczym opłata za „zmniejszenie naturalnej retencji terenowej”, która następuje na skutek „robót lub obiektów budowlanych trwale związanych z gruntem”). Niemal pewny wydaje się scenariusz, w którym rząd, idąc po linii najmniejszego oporu, zacznie dokręcać fiskalną śrubę tym, o których względy przez najbliższe trzy lata nie musi zabiegać. W pewnym sensie będziemy temu sami sobie winni, bo przez 30 lat przyzwyczailiśmy rządzących, że nie najgo-

rzej odnajdujemy się w roli gotowanej powoli żaby.

Podatek godziwy – to znaczy?

Choć w polskim systemie od początku istnienia wprowadzono ponad setkę nowelizacji, jego struktura i mechanizmy nie uległy właściwie zmianie: nadal faworyzuje bogatszych. Niechcący przyznał to sam resort finansów, który po połączeniu baz PIT i ZUS był wreszcie w stanie dokładniej szacować tzw. klin podatkowy. W 2017 r. – jak podało ostatnio ministerstwo – podatnik zarabiający mniej niż 30 tys. zł brutto rocznie oddał państwu w formie podatków i składek 24 proc. dochodu. Dla zarabiających między 30 a 50 tys. rocznie wskaźnik ten wyniósł 29,9 proc., a osoby o dochodach między 50 a 100 tys. zł musiały oddać państwu 32,9 proc. zarobionych pieniędzy. Najbogatsi, o dochodach powyżej pół mln zł rocznie, oddali tymczasem w podatkach i składkach jedynie 21,7 proc. – głównie dzięki legalnym formom optymalizacji podatkowej, na czele z formułą jednoosobowej działalności gospodarczej.

Jeśli dodatkowo wziąć pod uwagę zjawisko, które ekonomiści nazywają malejącą krańcową użytecznością dochodu (w dużym skrócie: im więcej się zarabia, tym mniejszy udział w zarobkach mają bieżące wydatki na obłożoną VAT-em konsumpcję), okaże się, że dysproporcja między zarobkami a obciążeniami podatkowymi jest w Polsce jeszcze wyższa. ➔

→ W przypadku najgorzej sytuowanych osób o dochodach do 10 tys. zł rocznie skumulowane obciążenie daninami publicznymi sięgać może obecnie ponad 60 proc.

Badanie, które Polski Instytut Ekonomiczny przeprowadził w październiku, świadczy o tym, że istnienie tej dysproporcji wreszcie dotarło do opinii publicznej. Ponad 1,2 tys. ankietowanych z próby reprezentatywnej poproszono o odpowiedź na pytanie, ile ich zdaniem winna wynosić godziwa stawka podatku dla osób w pięciu różnych progach dochodowych. Dolny wyznaczały zarobki do 2,6 tys. zł, górny zaś co najmniej 21,2 tys. zł miesięcznie. Wyniki ankiety potwierdziły, że większość chciałaby systemu podatkowego lepiej dopasowanego do głębokości kieszeni obywateli. Uśredniona stawka podatku dla zarabiających mniej niż 2,6 tys. zł miesięcznie zdaniem badanych powinna wynosić 6,8 proc. – zamiast obecnych 17 proc. W przypadku

dwóch kolejnych progów dochodowych, ustalonych przez autorów badania na 5,3 i 7,1 tys. zł miesięcznie, godziwe obciążenie podatkowe ankietowani oszacowali odpowiednio na poziomie 12,3 i 15,4 proc. – czyli także poniżej obowiązującej 17-procentowej stawki. Zarabiający co najmniej 10,6 i 21,2 tys. zł miesięcznie powinni według uczestników badania oddawać fiskusowi odpowiednio 18,5 i 21,4 proc. zarobków.

Subiektywne przekonanie o zbyt dużych obciążeniach podatkowych jest oczywiście tak powszechne, że nie wymaga komentarza. Warto za to podkreślić, że godziwy system podatkowy zdaniem większości Polaków nie sprowadza się do żądania wysokich danin dla najbogatszych. Chcemy raczej dokładniejszego dopasowania obciążeń do zarobków i zwłaszcza ochrony najslabiej zarabiających. Aż 44 proc. uczestników badania chciałoby np. zwolnienia z podatku dochodowego osób zarabiających pensję minimalną.

Więcej progresji

Zmiany, jakie w ostatnim trzydziestoleciu nastąpiły w systemie podatkowym, szły dokładnie w odwrotnym kierunku. Zamrożenie kwot wolnych od podatku, „tymczasowa” podwyżka stawki VAT (niebawem ta tymczasowość osiągnie już 10 lat) – wszystko to pogłębia dysproporcje między obciążeniem daninami najbogatszych i resztą społeczeństwa. Urzędnicy resortu finansów rzecz jasna zdają sobie z tego sprawę. To działanie z pełną premedytacją, obliczone na sięgnięcie do kieszeni najliczniejszych grup podatników. W 2016 r. dochód powyżej miliona złotych rocznie zadeklarowało fiskusowi zaledwie 21 962 podatników. Tymczasem dochodem w przedziale 10–30 tys. zł mogło wykazać się ponad 10,3 mln osób.

Jeśli więc w nadchodzących miesiącach podwyżki podatków są nie do uniknięcia, trzeba koniecznie porozmawiać o ich uczciwszym rozłożeniu, aby nie zatopiły tych, którzy i tak już z trudem utrzymują się na powierzchni. Większa progresja podatkowa, ograniczenie grona beneficjentów jednoosobowej działalności gospodarczej, wreszcie zmiana matrycy VAT i umiejętnie skrojony podatek katastralny, symboliczny dla posiadaczy jednej nieruchomości i dotkliwszy dla właścicieli większej liczby mieszkań – to nie program „nowoczesnego bolszewizmu”, ale implementacja rozwiązań stosowanych od dawna w wielu krajach Europy.

Udział wpływów podatkowych w produkcie krajowym brutto oscyluje dziś w Polsce na poziomie 35,1 proc., czyli poniżej średniej unijnej, która wynosiła (jeszcze z uwzględnieniem Wielkiej Brytanii) 40,2 proc. Jest więc przestrzeń na podwyżkę danin. Oczywiście nie spodoba się żadnej grupie społecznej, ale warto rozważyć ją przeprowadzić, po to choćby, żeby jej sens i potrzebę dostrzegły osoby o najniższych dochodach. Jeśli w 1997 r. Polska przeznaczała na pomoc społeczną 18,3 proc. PKB, to w 2017 r. udział tych wydatków spadł do 16,4 proc. Wszystko w imię rozwoju gospodarki. Warto jednak pamiętać, że państwo z systemem podatkowym skonstruowanym wyłącznie pod wymagania budżetu i dużego biznesu, z wyłączonym modulem solidaryzmu społecznego, szybko upodabnia się do sprintera, który próbuje biec na jednej nodze.

© P MAREK RABIJ

Pani Profesor Annie Wolff-Powęskiej

szczerze wyrazy współczucia

z powodu śmierci

Męża

składają

**ZARZĄD I PRACOWNICY
WYDAWNICTWA POZNAŃSKIEGO**

POŻEGNANIA

Pani Profesor Annie Wolff-Powęskiej

wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia

w tych trudnych chwilach, po stracie

Męża

składają

**DOROTA I WOJCIECH
PAWŁOWSCY**

JACEK

Podsiadło

Psy



PSÓW W TAMTYCH CZASACH BYŁO DUŻO. Stały na łańcuchach obok zawsze dokładnie wylizanych misek, pilnowały obejść, drapały się bez końca. Pospolite kundle, anioły pozamykane w osobnych jestestwach, każdy w ciepłym, kudłatym sobie. Chłopiec marzył o własnym psie. Już on by zadbał o wszystko, o miskę i o pchły. Pies odwodziłby mu się patrzyeniem w oczy, łaszeniem się i pozwalaniem na pieszczoty. Ale nie wolno mu było mieć psa. Matka nie pozwalała.

Matka, kiedy się brała do katowania dzieci, korzystała ze stałego repertuaru rytualnych, kwiecistych zapowiedzi. Dawno, dawno temu pewnie się nimi delectowała, ale z czasem one się zużyły, wytarły, straciły znaczenie. Repertuar był wymyślny, ale skąpy. „Bede łoła, aż krew będzie sikała po ścianach”. „Łeb urwe i psom rzuce”. Bóg obdarzył ją hojnie nierozumieniem świata i nic nie wiedziała o dzieciach i o psach. Gdyby się wzięła do bicia chłopca na oczach jego psów, rozszarpałyby ją tak dokładnie, że jej resztki zmieściłyby się w jednej z jej ohydnych nylonowych pończoch. Bo chłopiec, któremu nie wolno było mieć psa, miał psa, i to niejednego. Była to jego tajemnica.

Chłopiec lubił patrzeć na zwierzęta. Po prostu patrzeć. Na krowę, na konia, na kota. Zwierzęta miały wdzięk, którego u ludzi się nie usłyszy. Szczęśliwie nie brakowało w tamtych czasach psów bezpieczeństwa. Urywały się z łańcuchów albo ich właściciele przepili wszystko i puszczali wolno czworonogi, które nie miały już czego pilnować. I od małego chłopiec miał w zwyczaju łączyć z nimi. Najpierw żeby tylko patrzeć. Ale kiedy się długo patrzy na psa, to potem chce się go pogłaskać.

Z udomowieniem psa trochę człowiekowi zeszło. Kiedy go porzucić, pies dziczeje szybko, ale nie da się w miesiąc całkowicie odwrócić procesu trwającego tysiące lat. Bezdomny pies już jest dziki, już się zachłusnął swobodą, a jeszcze nie zapomniał bliskości i tęskni za nią, każdy zdradzony to rozumie. I kiedy za takim psem zaczyna chodzić chłopak, pies jest zdezorientowany. Pokazuje zęby, warczy i szczeka, bo zdążył już parę razy oberwać kijem albo kamieniem. Ale nie odchodzi też tak całkiem. Stoi w bezpiecznej odległości i czeka, choć nie wie na co.

Zwykle było tak, że najpierw chłopiec gwizdał, żeby zwrócić na siebie uwagę psa. Zbliżał się, przy czym przemawiał tak długo, aż pies przestawał powarkować, a zaczynał przekrzykiwać głowę. To był bardzo dobry znak. Potem było dużo cmokania i udawania, że się je. Chłopiec podnosił do ust pustą dłoń, głośno mlaśkał i ciamkał powietrze, po czym wysuwał też pustą dłoń w stronę psa, mówiąc coś zachęcającego w rodzaju: „Oj, jaka dobra kielbasa”. Niektóre psy od razu widziały, że to oszustwo. Ale inne dawały się nabrać. Ręka

ich kusiła. Stawiały uszy, węszyły i powoli jednak podchodziły. Trzeba było być bardzo cierpliwym. I warto było. Jeśli w końcu pies dotykał nosem dłoni albo sam pozwalał się dotknąć, można było mieć pewność, że za pięć minut będzie już trwała zabawa w najlepsze, z czochraniem, podskokami i gryzieniem na niby.

Po pewnym czasie wszystkie niczyje psy w okolicy były jego. Spotykał się z nimi na końcu dużego podwórza w gąszczu porzeczek i malin, w rowie wzdłuż Zakanala, którym kiedyś odpływały ścieki z Cukrowni, ukrywał je w piwnicy albo na budowie. Dokarmiał je ukradkiem, a Matka się cieszyła, że synowi tak wzrósł apetyt na bułki z margaryną. Chyba tylko raz Matka przyłapała go z takim przybłędą, ale nic wielkiego z tego nie wynikło. Pies uciekł, a za pół godziny wrócił. Psy jakby wiedziały, że kiedy w okolicy pojawia się to gderliwe, otyłe coś o nienaturalnie donośnym głosie, nie ma się co afiszować ze swoim istnieniem. Olewały tę wielkość.

Wolne życie nigdy nie jest bezpieczne. Psy pojawiały się w życiu chłopca nagle i nagle znikały. Jedynym, który tak żył się z chłopcem, żeby doczekać się imienia, był Hopi. Bardzo duży, biały, choć brudny, z obwisłymi wargami. Chłopiec zaczytywał się wtedy książkami o Indianach i imię psa było imieniem indiańskim. W Hopim to było niezwykle, że nigdy nie było wiadomo, z której strony wyświetli się na horyzoncie, nigdy nie przychodził tą samą Drogą. To też było wspaniałe: wyjść na dwór, gwizdnąć ze dwa razy, a potem wyglądać to na Droge, to na pola od Cukrowni, to przez płot Zagrody na działki sąsiadów. I kiedy już się ukazał, patrzeć, jak to szczęśliwe bydlę pędzi z językiem na brodzie, żeby spotkać się z drugim szczęśliwym bydlęciem i żeby ich szczęście stało się podwójne. Chwile tuż przed spotkaniem chyba były nawet przyjemniejsze od samego spotkania.

Na koniec filmu o tym pomyśleń, któremu się wydawało, że rozumie niedźwiedzie, a potem niedźwiedzie zeżarły go razem z jego dziewczyną, Werner Herzog pokazuje widzom z bliska niedźwiedzie oblicze, a sam przemawia z offu. Mówi, że nie widzi w oczach niedźwiedzia tego, co widział w nich jego bohater. „Grizzly Man”. Widzę w tych oczach tylko zimną obojętność natury, mówi Herzog. Prawie się z nim zgadzam. To tak jak z widzeniem barw. Też widzę w tych oczach tylko obojętność, ale ja widzę ją ciepłą. Wydaje mi się, że zwierzęta ułatwiają człowiekowi spotkanie z samym sobą, doskonałą jego samotność. I chwila, kiedy się patrzy w oczy zwierzęcia, to chwila tuż przed tym spotkaniem, niepewnym, w zamiarze ewentualnym. ©

W Sądzie Rejonowym w Przysusze, w I Wydziale Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 51/19, toczy się postępowanie z wniosku Asekuracja sp. z o.o. z siedzibą w Sopocie, o stwierdzenie nabycia spadku po Tomaszu Henryku Kwaśniaku, s. Zdzisława i Feliksy, ur. 15 marca 1974 r. w Opocznie, a zm. 21 kwietnia 2013 r. w Drzewicy.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców Tomasza Henryka Kwaśniaka, aby w terminie 3 miesięcy od opublikowania ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili swój interes prawny, gdyż w przeciwnym razie Sąd pominie ich jako spadkobierców.

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!



* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	



PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	



PREZENT!

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



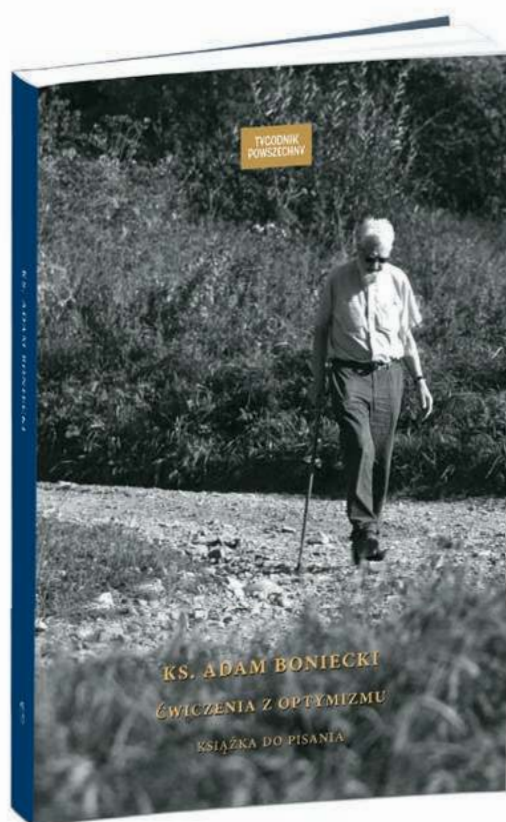
PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



Dołącz do grona naszych Prenumeratorek i Prenumeratorów i ciesz się wyjątkowym prezentem

„Ks. Adam Boniecki.
Ćwiczenia z optymizmu.
Książka do pisania”
– to wyjątkowy notes
z fragmentami wypowiedzi
księdza Bonieckiego
ilustrowany zdjęciami
autorstwa Grażyny Makary
i z prywatnego archiwum
bohatera książki.



Jak go otrzymać?

1. Już dziś zamów lub przedłuż roczną, półroczną lub kwartalną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.
2. Możesz to zrobić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate lub przez wpłatę na konto – cennik i szczegółowe zasady znajdziesz na sąsiedniej stronie.
3. „Książkę do pisania” otrzymasz razem z wydaniem „TP” 3/21 (17 stycznia 2021) – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książkę w limitowanej ofercie otrzymają osoby, które 3 stycznia 2021 r. będą miały aktywną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”*.

* Nie dotyczy Prenumeratorów, którzy swój egzemplarz otrzymali z tym wydaniem

Życie ks. Adama Bonieckiego to długie pasmo podróży, przeprowadzek, wyjazdów i rozstań. Czasami planowanych, ale równie często nagłych i dramatycznych. Jak zachować optymizm i pogodę ducha? Jak nie poddać się zwątpieniu? Czy Bóg ma poczucie humoru? Ten zbiór cytatów pozwala nieco lepiej zrozumieć, jaką receptę na szczęśliwą wędrówkę przez życie posiadał redaktor senior „Tygodnika Powszechnego”.

Michał Olszewski, redaktor tomu

WYDAWCA:



PARTNER:



PARTNER MEDIALNY:



Kamilla Gibas: Fundacja Szczęśliwej Drogi to miejsce, w którym młodzi ludzie z domów dziecka rozwijają skrzydła. Poznają swoje mocne strony i zmierzają do samodzielnej dorosłości. Czują się docenieni i zmotywowani.

Tu zachwycamy się



zdjęcie – Bind Up Photo

Kamilla Gibas, z wykształcenia prawniczka, jest założycielką i prezeską Fundacji Szczęśliwej Drogi.

Grzegorz Nurek: Fundacja Szczęśliwej Drogi w grudniu obchodzi będzie jubileusz – pięciolecie istnienia. Jak zaczęła się Państwa działalność?

Kamilla Gibas, prezes Fundacji: Zaczęło się od historii jednego z wychowanków domu dziecka, w którym byłam wolontariuszką. Chłopak osiągnął pełnoletniość dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia. Dla niego nie była to ekscytująca chwila, a moment, w którym musiał opuścić jedyne bezpieczne miejsce w swoim życiu. Wyszedł z domu dziecka z jedną reklamówką, bez jakichkolwiek perspektyw i planów. Okazało się, że przez trzy dni przychodził pod okna placówki, a młodsze dzieciaki wynosiły mu jedzenie. Został sam.

Zrozumiałam, że młodzież po wyjściu z placówek często ogląda świat przez szybę, nie uczestniczy w pełni w życiu społecznym. Nie otrzymują do tego właściwych narzędzi, które ich rozbudzą i wyniosą z domu. Celem Fundacji Szczęśliwej Drogi jest zapobieganie takim tragediom poprzez edukację.

Co było dalej?

Musieliśmy stworzyć miejsce, gdzie młodzi ludzie dostaną kompleksowe wsparcie oparte na innowacyjnych metodach pracy oraz nowoczesnych technologiach. Od pierwszego dnia działalności stawiamy na pracę w chmurze, aby móc skupiać się na merytorycznej pracy z dziećmi. Nie narzucamy im odgórnego, standardowego programu działań. Skupiamy się na poznaniu każdego dziecka i stworzeniu indywidualnych relacji. Potem dobieramy konkretne działania tak, by umożliwić naszym podopiecznym rozkwit i zbudowanie pewności, że ich talenty są wielką wartością.

Jak młodzi ludzie mogą trafić do Fundacji?

Sposobów jest wiele. Organizujemy spotkania w domach dziecka, informacje o naszej działalności przekazują wychowawcy, pracownicy socjalni, a podopieczni zachęcają swoich znajomych. Dzieciaki mogą do nas napisać, zadzwonić, a nawet wejść prosto z ulicy. Jesteśmy dla nich otwarci każdego dnia.

Pracujemy z młodzieżą w wieku 14-17 lat, przebywającą w placówkach, a także z młodymi ludźmi, którzy je opuszczają i są w procesie usamodzielniania do 26. roku życia. W tych grupach są też młode matki oraz osoby niepełnosprawne.

Od czego zaczyna się praca z nowymi podopiecznymi?

Młodzież z domów dziecka często ma łatkę gorszych uczniów. Gdy przychodzi do nas, już na wejściu słyszą, że są niepowtarzalne, kochane i potrzebne. Mamy takie hasło: „tu zachwycamy się każdym dzieckiem”.

Najpierw przeprowadzamy liczne testy, które pokazują mocne strony dzieciaków. Może się okazać, że ktoś miał problemy w szkole tylko dlatego, że jest kinestetykiem i żeby zapamiętywać, musi się ruszać, zamiast siedzieć w ławce. Zdarza się, że dzieci nie chcą wierzyć w swoje osią-

gnięcia: świetne wyniki IQ uzyskał na przykład chłopak, który dwukrotnie powtarzał klasę ze względu na matematykę. To najdobitniej pokazuje, jak bardzo na sukces dziecka wpływa to, co dzieje się wokół niego.

Co się dzieje po tej analizie?

Przychodzi czas na indywidualną pracę z asystentami usamodzielniania i udział w warsztatach. Asystenci budują silne więzi z dziećmi. To ułatwia wspólne planowanie, a także naukę na sukcesach i błędach.

Organizujemy korepetycje i zajęcia z najlepszymi tutorami, programowania uczą wolontariusze z Microsoft Polska, w a w siedzibie PwC odbywają się warsztaty z poszukiwania pierwszej pracy.

Bardzo ważne jest także wsparcie podopiecznych w zidentyfikowaniu ich celów i marzeń – wielu wychowanków domów dziecka ma z tym problemy. Asystenci pomagają im zrozumieć, że to, co robią dzisiaj, ma wpływ na ich przyszłość i warto inwestować w siebie.

Nasze autorskie warsztaty, czyli Akademia Umiejętności i Mogę Lepiej, to z kolei okazja na naukę umiejętności przydatnych w codziennym życiu. Uczymy radzenia sobie ze sprawami urzędowymi, ale i gotowania, efektywnego uczenia się, a także planowania domowego budżetu, z czym przed wyjściem z domu dziecka nie mają styczności.

Wszystko to robicie w swoich siedzibach w Warszawie i Łodzi?

Pracujemy hybrydowo, i stacjonarnie, i zdalnie. Formuła zależy od potrzeb naszych podopiecznych. Ważnym elementem są także wyjazdy terapeutyczne.

Tegoroczny obóz był wyjątkowy, bo udało się go zorganizować mimo pandemii. Przez dziesięć dni dzieciaki uczyły się planowania i realizacji celów, aby zwieńczyć to wielkim rejsiem w łodziach, które własnoręcznie zrobiły z kartonów! Zobaczyły, że nie możliwe po prostu nie istnieje.



Informacje o zbiórce na świąteczne upominki dla podopiecznych Fundacji: szczęśliwejdrogi.org/zbiorki/zbiorka-na-prezenty-swiateczne
Do 20 grudnia można też dokonywać wpłat na konto:
73114020040000340275964920



każdym dzieckiem

Obóz to czas intensywnej pracy, budowania relacji, przełamywania własnych barier i otwierania się na nowe. Wszystko to owocuje zaangażowaniem w pracę przez cały kolejny rok.

A jak wygląda praca z pełnoletnimi podopiecznymi?

W starszej grupie więcej pracujemy indywidualnie. Asystent usamodzielniania jest często jedynym dorosłym, który jest wciąż obecny w życiu młodego człowieka.

Pomagamy w zdobyciu mieszkania i uczymy, jak prowadzić gospodarstwo domowe. Dofinansowujemy kursy zawodowe, organizujemy staże. Wspieramy w poszukiwaniu pracy. Szczególną opieką otaczamy młode mamy. Uczestniczą w grupie wsparcia i zajęciach z umiejętności rodzicielskich. Jeżeli ich praca koliduje z opieką nad dzieckiem, staramy się zapewnić pomoc opiekunki.

Dużym wyzwaniem jest praca z osobami z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu lekkim, dla których nie ma rozwiązań systemowych, a potrzebują oni znacznie większego wsparcia.

Jaki jest najważniejszy cel w pracy z podopiecznymi? Co jest wyznacznikiem ich sukcesu?

Celem Fundacji jest przekazać narzędzi dających prawdziwą samodzielność i niezależność. Dlatego sukcesem jest dla nas moment, w którym przestajemy być potrzebni, a nasz podopieczny z podniesioną głową i pełną odpowiedzialnością rusza własną drogą.

Na Waszej stronie internetowej można znaleźć informację, że pomogliście już ponad 450 podopiecznym. Czy może Pani opowiedzieć historie kilku z nich?

Jednym z naszych pierwszych podopiecznych był Michał. Trafił do nas z lekką niepełnosprawnością intelektualną. Gdy go poznałam, jego lokum było w koszmarnym stanie. Nie miał pracy ani orzeczenia o nie-

pełnosprawności. Rok wcześniej wyszedł z domu dziecka. Mieszkanie socjalne stracił, bo zaufał złym ludziom, którzy urządzili sobie w nim melinę. Miał około 15 tys. zł długów. Kolega kupił na niego telefon, ktoś wcisnął mu na ulicy odpłatny kurs językowy, dostał mandaty za brak biletów komunikacji miejskiej.

Pomagaliśmy krok po kroku. Odnowiliśmy orzeczenie, dostał pracę jako ochroniarz. Pojawił się wolontariusz, na co dzień pracownik korporacji, też Michał. Miał tylko pomóc odmalować mieszkanie, ale szybko się zaprzyjaźnili. Do dziś spędzają ze sobą dużo czasu. Ta relacja bardzo Michała zmieniła. Inaczej się ubiera, poszerzył zasób słownictwa. Ostatnio zamieszkał z dziewczyną, radzą sobie. W pomoc Michałowi zaangażowanych było kilkanaście osób, ale przyniosło to efekt. Dzisiaj Michał ma 26 lat i jest wolontariuszem Fundacji, naszą złotą rączką.

Przypomina mi się też historia Moniki. Wychowywała się w domu dziecka. W wieku siedemnastu lat zaszła w ciążę. Powiedziała swojej asystentce usamodzielniania, że nie wie, czy chce urodzić to dziecko. Obiecaliśmy jej, że nigdy nie będzie sama i może liczyć na nasze wsparcie. Zaufała nam, postanowiła, że urodzi. Towarzyszyliśmy jej w okresie ciąży, przy porodzie pomagała zaprzyjaźniona położna. Teraz Monika jest fantastyczną mamą. Ukończyła szkołę fryzjerską, znalazła pracę, ma mieszkanie. Rozkwitła. Gdy pierwszy raz przyszła z synkiem do Fundacji, obie się popłakałyśmy.

Jak pandemia wpłynęła na Waszą pracę?

Pandemia to trudny czas dla naszych podopiecznych, dlatego konieczne jest jeszcze większe zaangażowanie asystentów usamodzielniania, terapeutów i psychologów. Spotkania, osobiste lub zdalne, są dużo częstsze. Podczas pierwszego lockdownu udostępniliśmy dzieciakom w Łodzi

sprzęt i przestrzeń do nauki zdalnej w bezpiecznych warunkach, z czego chętnie korzystały.

Jakie macie Państwo plany na najbliższą przyszłość?

Koniec roku to czas podsumowań. Mamy tradycję, że na Święta każdy z podopiecznych dostaje osobisty list od swojego asystenta usamodzielniania. Znajduje się w nim podsumowanie tego, jak wiele razem osiągnęli.

Działalności edukacyjnej nie zawieszamy nawet w przerwie świątecznej! W tym roku chcielibyśmy podarować wychowankom lekcję zarządzania budżetem i dokonywania wyborów. Żeby zrealizować ten plan, potrzebujemy jednak pomocy z zewnątrz – jako Fundacja działamy dzięki wsparciu i zaufaniu wspólników ludzi.

By obdarować wszystkich dwustu wychowanków, stworzyliśmy specjalną zbiórkę funduszy, do której każdy może dołożyć swoją cegiełkę. Będziemy wdzięczni za wsparcie dla naszych dzieciaków! Z uzbieranych środków zostaną zakupione karty podarunkowe, aby same mogły zdecydować, w jaki sposób z nich skorzystać.

Rozmawiał Grzegorz Nurek



zdjęcie – Grzegorz Górski

POLITYKA ZAMIAST PRAWDY

Sprawa kard. Groëra sprzed 25 lat to przykład nieprzejrzystego, nieudolnego i tragicznego w skutkach traktowania przestępstw seksualnych za pontyfikatu Jana Pawła II.

EDWARD AUGUSTYN



HISTORIĘ TECZKI, KTÓRĄ KARD. RATZINGER kazał odłożyć do archiwum, mówiąc do współpracowników, że „wygrała druga partia”, znają chyba wszyscy. Papież Franciszek opowiedział ją na zaimprowizowanej konferencji prasowej w samolocie, 5 lutego 2019 r., w drodze powrotnej z Abu Zabi. Przywołał ją *ad hoc*, jak wiele innych przykładów, którymi lubi ilustrować swoje myśli, a które nie zawsze w szczegółach odpowiadają faktom. Tym razem dodał, że chodziło „o dokumenty na temat pewnej organizacji zakonnej, w której panowało zepsucie seksualne i ekonomiczne”. Pewnie dlatego wszyscy połączyli jego opowieść ze sprawą Maciela Degollado, założyciela Legionistów Chrystusa, seksualnego przestępcy, przez lata bezkarnie gwałcał dzieci i wykorzystującego kleryków. Wygląda na to, że wszyscy się pomylili.

Uderzająco podobnie brzmiącą historię opowiedział dziewięć lat wcześniej kard. Christoph Schönborn. W jego opowieści sprawa, o której losach zdecydowała „inna partia”, dotyczyła zarzutów wobec kard. Hansa Hermanna Groëra, byłego arcybiskupa Wiednia. W jej rozwiązanie Schönborn był osobiście zaangażowany. To historia, która jest dobitnym przykładem nieprzejrzystego, nieudolnego i tragicznego w skutkach traktowania przestępstw seksualnych za pontyfikatu Jana Pawła II. I która pozostawia więcej wątpliwości niż dwie pozostałe, dużo głośniejsze afery: Maciela Degollado i kard. Theodore’a McCarricka.

Ks. prof. Paul Zulehner, były dziekan Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Wiedeńskiego, mówi w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym” (zob. powszech.net/groer) jeszcze dosadniej: brak kary, a nawet formalnego dochodzenia wobec kard. Groëra to wyłączna odpowiedzialność Jana Pawła II. Wszyscy, którzy domagali się bardziej zdecydowanych działań, słyszeli z Watykanu jedną odpowiedź: nikt nie ma prawa osądzać kardynała, tylko sam papież.

Kardynalski anschluss

Historię Groëra opisaliśmy w „Tygodniku” w 2002 r. (zob. powszech.net/groer; wcześniejsze teksty – z lat 1995-96 nie są dostępne w internecie). Przypomnijmy jej najważniejsze etapy. Urodzony w 1919 r., wyświęcony podczas wojny ks. Hans Groër został w 1946 r. prefektem (wychowawcą) i nauczycielem religii w prowadzonej przez diecezję wiedeńską szkole dla chłopców w Hollabrunn, miasteczku położonym 50 km na północ od stolicy Austrii. Był też opiekunem duchowym Legionów Maryi, organizacji zrzeszającej katolików świeckich, oraz duszpasterzem skautów. Ale bardziej dał się poznać dopiero dzięki pracy w sanktuarium w Maria Roggendorf, z którego uczynił znane centrum pielgrzymkowe. W 1974 r. wstąpił – wraz z grupą ok. 30 swoich „duchowych synów” – do zakonu benedyktynów. W opactwie w Göttweig, gdzie złożył śluby wieczyste i przyjął imię Hermann, spędzał jednak niewiele czasu, pochłonięty organizacją pracy sanktuarium i zakładaniem nowych klasztorów.

W 1986 r. został niespodziewanie mianowany arcybiskupem Wiednia po odchodzącym na emeryturę kard. Franzu Königowi, który przez ponad 30 lat konsekwentnie realizował soborowe reformy, przez co uznawano go za liberała. Dwa lata później będzie już kardynałem.

W Watykanie ceniono organizacyjne zdolności Groëra, pobożność maryjną, konserwatywne poglądy i surowe obyczaje. Ks. Helmut Schüller, były uczeń Groëra, a później rzecznik ofiar seksualnej przemocy duchownych w diecezji wiedeńskiej, mówi „Tygodnikowi”, że Jan Paweł II widział w benedyktyńskim mnichu duszpasterza, który założył w Austrii popularne centrum pielgrzymkowe oraz doprowadził do stanu duchownego i życia zakonnego wiele młodych mężczyzn i kobiet. To imponowało papieżowi (cała rozmowa: zob. powszech.net/groer).

Gdy wiosną 1995 r. Groër pomstuje w liście pasterskim na moralny upadek austriackiego społeczeństwa, w sposób szczególnie piętnując „grzech sodomii”, do redakcji popularnego tygodnika „Profil” zgłasza się Josef Hartmann, były uczeń z Hollabrunn, który opowiada o seksualnym wykorzystywaniu przez ówczesnego wychowawcę – aktualnie kardynała. Wybuchł skandal.

Kardynał odrzuca oskarżenia mediów, porównując je do wkroczenia Wehrmachtu do Austrii w 1938 r. A potem milknie na trzy lata. Początkowo podobną linię obrony przyjmują inni biskupi, zrównując ataki na kardynała z nazistowską, antykościelną propagandą. Z czasem zmienia zdanie (przynajmniej część z nich).

Moralna pewność

Watykan zachowuje ostrożność. Z jednej strony już w kwietniu 1995 r. mianuje Christopha Schönborna koadiutorem (biskupem, który przejmie diecezję po ustąpieniu ordynariusza), z drugiej – jeszcze we wrześniu, na tydzień przed złożeniem przez kardynała dymisji – papież wysłał do austriackiego episkopatu list, w którym dziękuje obu kardynałom Wiednia – emerytowanemu Königowi i ustępującemu Groërowi – za „hojną i wierną posługę”. Napisze w nim także: „Musielście ostatnio przejść surową próbę z powodu brutalnych ataków na dobre imię niektórych z was. Najpierw czcigodny arcybiskup Wiednia, a potem inni biskupi zostali publicznie oskarżeni, bez zważania →

PATRICK HERTZOG / AFP / EAST NEWS



Watykan, Wielki Czwartek, 8 kwietnia 2004 r.

→ nie tylko na kardynalską, ale także ludzką godność. (...) »Uderzę pasterza, a rozproszą się owce stada« (Mt 26, 31). Tymi słowami sam Chrystus przepowiedział ciosy, jakie musi ponieść zgromadzony wokół niego Kościół. (...) W przypadku Kościoła w Austrii chcę mieć nadzieję, że próba zniszczenia nie zakończy się sukcesem, ponieważ większość wiernych wie, jak docenić hojną pracę ich pasterzy, i nie pozwoli, aby chwasty podejrzewania, krytyki i niezgody zdominowały naszą społeczność».

Emerytowany kardynał zostaje przeorem założonego przez siebie klasztoru w Maria Roggendorf. Ale jego nazwisko wraca na pierwsze strony gazet w styczniu 1998 r., gdy mnich Udo Fischer informuje, że był molestowany przez Groëra w benedyktyńskim klasztorze i że już w 1985 r. bezskutecznie informował opata o niegodziwym zachowaniu ojca Hermanna. Do Austrii przysłany zostaje wizytator apostołski, amerykański benedyktyn Marcel Rooney. Wyniki wizytacji nigdy nie zostały upublicznione. Czterech biskupów – w tym Schönborn – informuje konferencję episkopatu i Watykan, że mają „moralną pewność” co do prawdziwości zarzu-

tów stawianych kardynałowi. Rzym zaleca Groërowi unikanie publicznych wystąpień i opuszczenie kraju – kardynał wyjeżdża do klasztoru cysterek w Goppeln pod Dreznem. Ale już jesienią wraca, by osiaść w innym, również przez siebie założonym klasztorze siostr w Marienfeld. Umiera w 2003 r. W mowie pogrzebowej kard. Joachim Meisner z Kolonii porównuje go do Szymona z Cyreny, który pomagał nieść krzyż Chrystusowi.

Miłosierdzie i sprawiedliwość

Trudno się spodziewać, by Watykan szukał dziś odpowiedzi na pytanie, dlaczego po tak poważnych i uprawdopodobnionych zarzutach (wykorzystywanie seksualne nastolatków) Groëra nie tylko nie spotkała żadna kara, ale nawet nie wszczęto oficjalnego dochodzenia w jego sprawie. Raport, podobny jak przy aferze McCarricka, zapewne nie powstanie: Austriacy powoli zapominają o tamtych wydarzeniach, a papieża Franciszka tym razem nikt nie oskarża (jak w sprawie amerykańskiej) o zaniedbania. Nikomu w Watykanie nie zależy też na wysuwaniu oskarżeń pod adresem Jana Pawła II,

który – jak się wydaje – niemal do końca darzył Groëra szacunkiem i sympatią.

Wyrazem takiej życzliwości było choćby imienne podziękowanie mu podczas wizyty papieża w Austrii w czerwcu 1998 r. (trzy lata po ustąpieniu kardynała z urzędu i w czasie jego „zesłania” do Niemiec). Mimo usilnych zabiegów Schönborna Jan Paweł II nie odstąpił od przygotowanego przez nuncjusza dopisku do przemówienia, wygłoszonego do biskupów w czasie obiadu kończącego pielgrzymkę. Udało się jedynie usunąć ten fragment z wersji przekazanej mediom.

Kilka miesięcy wcześniej, tuż po zakończonej wizytacji kanonicznej w Austrii, papież przyjął Groëra na prywatnej audyencji. Zaprosił go też na konsystorz, podczas którego kardynalski biret dostawał Schönborn, zmuszony w ten sposób do pocałowania ręki Groëra, od którego przyjmował kiedyś święcenia biskupie.

Milczenie oskarżanego kardynała (dopiero po trzech latach w mało przekonujący sposób poprosił o wybaczenie, choć bez przyznania się do winy) oraz papieska życzliwość pozwalają postawić hipotezę, że Jan Paweł II mógł znać grzechy Groëra,

Nie przebiliśmy się

KS. HELMUT SCHÜLLER, BYŁY RZECZNIK PRAW OFIAR W ARCHIDIECEZJI WIEDEŃSKIEJ:

Apelowałem, by Rzym wyjaśnił sprawę kardynała Groëra. Niestety tak się nie stało.

WOJCIECH PIĘCIAK:

Uczył się Ksiądz w szkole w Hollabrunn, gdzie pracował Hans Hermann Groër.

HELMUT SCHÜLLER: Był moim nauczycielem religii. Patrząc wstecz sędzę, że był osobowością głęboko podzieloną wewnętrznie. My, uczniowie, postrzegaliśmy go jako postępowego pedagoga i ciekawego duszpasterza. To było jedno jego oblicze. Wtedy nie wiedziałem, że miał też inne. Nie byłem świadom, że niektórzy z nas byli jego ofiarami.

Ksiądz nie miał takich doświadczeń?

Nie. Mój ojciec był wysoko postawionym funkcjonariuszem policji i nie wykluczałbym, że wobec mnie Groër był po prostu ostrożny.

Do tej szkoły chodził też Josef Hartmann, który w 1995 r. pierwszy publicznie oskarżył Groëra o molestowanie.

Znam Hartmanna, jest kilka lat ode mnie młodszy. Został niejako sprowokowany do zabrania głosu przez Groëra, który wystosował list pasterski

potępiający zepsucie. Po tym Hartmann skontaktował się z tygodnikiem „Profil” i tak cała sprawa się zaczęła. Niestety to, o czym mówił Hartmann i potem także inni, nie było przedmiotem kościelnego śledztwa, choć kard. Schönborn naciskał na to w Rzymie. Nie przebił się. Za to w 1996 r. powołał w archidiecezji nową instytucję: urząd rzecznika praw ofiar nadużyć seksualnych.

Ksiądz był jego pierwszym szefem. Jako jeden z pierwszych w całym Kościele sformułował Ksiądz wytyczne, jak traktować kwestię takich nadużyć.

Budowałem ten urząd od podstaw, razem z zespołem fachowców. Zajmowaliśmy się wszystkimi przypadkami takich nadużyć w archidiecezji. Pojawiały się też oskarżenia wobec Groëra. Dlatego podejmowałem co i rusz próby, aby

sprawa emerytowanego już wtedy kardynała została wyjaśniona przez Rzym. Ale tak się nie stało.

Jak ocenia Ksiądz

prawdziwość zarzutów?

Do dziś są głosy, że kardynał padł ofiarą nagonki.

Po rozmowach z tymi ludźmi uważam ich relacje za bardzo wiarygodne. Ponieważ nie było śledztwa, muszę poprzestać na moim przekonaniu. Ale nie jestem w tym sam: kard. Schönborn i jeszcze kilku biskupów oświadczyło publicznie, że mają pewność, iż zarzuty są wiarygodne. ©P Rozmawiał

WOJCIECH PIĘCIAK

HELMUT SCHÜLLER

(ur. 1952) był wikariuszem generalnym archidiecezji wiedeńskiej.

Cały wywiad na stronie: powszech.net/groer

ale uznał jego dalsze gorliwe i pobożne życie, a zwłaszcza wstąpienie do zakonu, za wystarczającą pokutę. W świetle obowiązujących przepisów przestępstwo się przedawniło. Została wina moralna, a to problem, z którym Kościół świetnie potrafi sobie radzić. Z perspektywy instytucji, która ma własne prawo (a jego naczelną zasadą jest zbawienie dusz) oraz doktrynę o przebaczeniu, zachowanie papieża da się zrozumieć. Z punktu widzenia osób pokrzywdzonych, którym należy się sprawiedliwość i zadośćuczynienie, albo z perspektywy wspólnoty wiernych, oczekujących od swoich pasterzy wiarygodności i prawdy – jest to już nie do pojęcia.

Dodajmy też, że otwarte stawianie zarzutów kardynałowi nie mieściło się w ówczesnych schematach kościelnego postępowania (formalnie stało się to możliwe dopiero w 2016 r., po ogłoszeniu przez Franciszka *motu proprio* „Come una madre amorevole”). Działania czterech biskupów domagających się powołania komisji do wyjaśnienia oskarżeń były traktowane niemal jak schizma: po ich komunikacie o moralnej pewności co do prawdomówności ofiar zostali przez Watykan wezwani do pojednania się „ze swoim bratem, emerytowanym arcybiskupem Wiednia”.

Biskupie balanse

Ks. Zulehner mówi dziś „Tygodnikowi”, że klęska Groëra zagrażała całej polityce personalnej Watykanu wobec Austrii. W 1985 r. były nuncjusz w Wiedniu, bp Mario Cagna, przygotował raport, bardzo krytyczny wobec kard. Königa. W Watykanie panowało przeświadczenie, że biskupi austriaccy wymknęli się spod kontroli, nastąpiła niepożądana demokratyzacja Kościoła oraz sekularyzacja wspólnoty. Słowa wiedeńskiego profesora potwierdza nam anonimowo jeden z wysokich urzędników Watykanu, który zauważa, że nominacje biskupie lat 80. miały na celu odwrócenie liberalnych tendencji w wielu episkopatach. – W małych krajach, takich jak Austria czy Holandia, wystarczyło mianować trzech-czterech nowych konserwatywnych biskupów, by Kościół wrócił na obrany przez Watykan kurs. W sprawach Austrii – mówi nasz rozmówca – bliskim doradcą Jana Pawła II był kard. Alfons Stickler, papieski archiwista i bibliotekarz (wbrew pozorom to w kurii rzymskiej ważna i zaszczytna funkcja), wy-

W świetle obowiązujących przepisów przestępstwo się przedawniło.

Została wina moralna,

a to problem, z którym Kościół świetnie potrafi sobie radzić.

bitny legalista, z którego pomocy Jan Paweł II korzystał najpierw przy tworzeniu nowego kodeksu prawa kanonicznego, potem przy reformie kurii rzymskiej.

Ks. Zulehner uważa podobnie, dodając jeszcze, że zwolenników przetasowania sił w austriackim Kościele było o wiele więcej. Oprócz Sticklera do ostrych krytyków Königa należał kard. Achille Silvestrini, prefekt Kongregacji ds. Nadzwyczajnych, oraz bp Marian Jaworski, przyszły kardynał, przyjaciel papieża, zaangażowany w sprawy austriackie i mający wiele kontaktów w tym kraju. Na obsadę biskupich stolic próbowała też wpływać austriacka arystokracja i politycy chrześcijańskiej demokracji, krytyczni wobec kard. Königa, który nie wspierał ich tak, jak by chcieli, i na równi z nimi traktował socjaldemokrację – największego politycznego rywala chadeków. Oczekiwali, że kard. Stickler odwdzieczy się za hojne datki na remont watykańskiej biblioteki, wspierając odpowiednich kandydatów na biskupstwo.

Wszystko wskazuje, że właśnie w taki sposób biskupem został Groër i kilku innych księży stojących w opozycji do kard. Königa. Nasz rozmówca w Watykanie mówi, że do archidiecezji wiedeńskiej szukany był ks. Kurt Krenn, przyjaciel bp. Jaworskiego i Polaków. Jego awansowi miał sprzeciwić się Joseph Ratzinger, który Krenna znał jeszcze z czasów wspólnej pracy na uniwersytecie w Ratyźnie. Kandydatura upadła, ale nie na długo – Krenn został biskupem rok później, a w przyszłości również i on będzie musiał odejść po pedopornograficznym skandalu w jego seminarium duchownym.

W 1986 r. na arcybiskupstwo wiedeńskie mianowano więc benedyktyńskiego mnicha, którego życiorys zrobił na papieżu dobre wrażenie. Była to propozycja zaskakująca i – jak pokazała przyszłość – nie do końca sprawdzona (opat z Gött-

weig, do którego już rok wcześniej trafiła skarga na zachowanie Groëra, przyznał po latach, że nikt nawet nie prosił go o opiniowanie podwładnego).

Papieski błąd

Wróćmy do kard. Schönborna i jego opowieści o zwycięstwie „drugiej partii”, prawdopodobnie powtórzonej później, z niewielkimi zmianami, przez Franciszka. 28 marca 2010 r. w austriackiej telewizji publicznej kardynał opowiedział historię z 1995 r., gdy Benedykt XVI, wtedy kardynał i prefekt Kongregacji Nauki Wiary, domagał się powołania komisji dochodzeniowej w sprawie Groëra: „Ratzinger powiedział mi wtedy ze smutkiem – wspominał Schönborn – że zwyciężyła inna partia”.

Wszystko wskazuje, że takich starć – z jednej strony Ratzinger i Schönborn, z drugiej zwolennicy dyskretnych rozwiązań – było więcej. Jedno z nich opisują w książce „Dzień sądu” Gianni Valente i Andrea Tornielli (dziś dyrektor watykańskich mediów). Odbłyło się 18 maja 1998 r., w dniu 78. urodzin Jana Pawła II:

„Przy stole zasiadają kardynałowie Angelo Sodano, Joseph Ratzinger, Joachim Meisner, Christoph Schönborn i nuncjusz w Austrii, arcybiskup Donato Squicciarini. Podczas obiadu rozważa się pomysł wydania ogólnikowej deklaracji zamiast prawdziwego rozpoznania sprawy Groëra. Ostatecznie kończy się na niczym. Właśnie podczas tego obiadu dochodzi do starcia między Sodianem i Schönbornem. Kardynał Ratzinger, choć nie zgadza się we wszystkim z opinią arcybiskupa Wiednia, staje po jego stronie”.

Dla wszystkich – pewnie włącznie z papieżem – stało się już jasne, że mianowanie Groëra biskupem i kardynałem było błędem. Zdawano sobie sprawę z tragicznych konsekwencji, do jakich ten błąd doprowadził: w Austrii następowały masowe odejścia z Kościoła, rósł w siłę ruch Wir sind Kirche, który zebrał podpisy pół miliona wiernych domagających się poważnych reform nie tylko administracyjnych, ale także w zakresie nauczania. Mimo to formalne dochodzenie w sprawie kardynała (które mogło skończyć się przeniesieniem do stanu świeckiego, skoro zarzuty dotyczyły m.in. nakłaniania wykorzystywanych seksualnie osób do spowiedzi u swego oprawcy) nie mieściło się w głowie kard. Sodano i jego sojuszników. Szukali rozwiązania →

→ „dyplomatycznego” – dyskretnego wycofania Groëra z życia publicznego, odesłania go do klasztoru, wyciszenia sprawy i zrzucenia winy na media.

Kosztowne rozwiązanie

Jan Paweł II wiedział, jakie zarzuty ciążyą na Groërze. Otrzymał jasne i wyczerpujące informacje. Być może nie uwierzył w nie. Jeśli jednak w przypadku kard. McCarricka czterech biskupów świadczyło na korzyść hierarchy (co dziś wykorzystuje się do umniejszania odpowiedzialności papieża), tym razem czterech biskupów, różnych orientacji – od liberalnych po mocno konserwatywnych – informowało papieża o wiarygodności oskarżeń. Trudno uznać to za atak na Kościół i spisek złych mocy.

Za dwa lata Jan Paweł II będzie prosił o przebaczenie za każde zło wyrządzone przez katolików w dawnych i obecnych czasach. Za cztery – powie do biskupów amerykańskich, że „nie ma miejsca w stanie kapłańskim i życiu zakonnym dla tych, którzy krzywdzą nieletnich”. Jednak na razie dla jednego z nich – kard. Groëra – okazuje się tak miłosierny, że aż pobłażliwy. Wybiera rozwiązanie, które miało zminimalizować straty wizerunkowe, kosztem prawa poszkodowanych do prawdy i zadośćuczynienia. Na pewno był przekonany, że kieruje się dobrem Kościoła. Choć dziś widzimy to zupełnie inaczej.

Po aferze austriackiej przyszły kolejne – choćby Maciela Degollado i Theodore’a McCarricka. Trudno w tej sytuacji szukać dla papieskich działań (lub niepodjętych przez niego decyzji) usprawiedliwienia, mówiąc – jak niektórzy – o jego ufności i łatwowierności. Przypadek Groëra powinien być ostrzeżeniem, że nie ma osób – bez względu na stanowisko czy zasługi – których można być absolutnie pewnym. Że błędne decyzje wpisane są w ryzyko pracy każdego, nawet najbardziej świętego, jeśli zarządza tak olbrzymią i scentralizowaną instytucją. Że każdy zarzut należy uczciwie wyjaśnić – w trosce o dobre imię tak oskarżającego, jak oskarżanego. I że zasadę, którą po tylekroć się powtarzało – „prawda nas wyzwoli” – trzeba najzwyczajniej w świecie wprowadzać w życie.

© P EDWARD AUGUSTYN

Współpraca: WOJCIECH PIĘCIAK



MARCIN MAZUR

Msza w pustej katedrze św. Jerzego w londyńskiej diecezji Southwark, 30 listopada 2020 r.
Zdjęcie wykonane w ramach projektu „W oczekiwaniu na powrót”.

Czas próby

PATRYCJA BUKALSKA

Władze Wielkiej Brytanii z powodu pandemii narzuciły twarde restrykcje na wspólnoty religijne. Nie spotkało się to z dobrym przyjęciem.

KOŚCIOŁY ZOSTAŁY UTRWALONE NA zdjęciach. Jest w nich gra światła i cienia, są strzeliste łuki i długie nawy, są duchowni sprawujący liturgię. Jest coś ulotnego, nierealnego. I przejmującego smutnego – na zdjęciach nie ma wiernych. Księża są osamotnieni. „W oczekiwaniu na powrót” to projekt fotograficzny prowadzony przez Marcina Mazura, fotografa prymasa Anglii kard. Vincenta Nicholasa oraz Konferencji Episkopatu Anglii i Walii.

Każde z 28 zdjęć robionych każdego dnia lockdownu pokazuje wybrany kościół podczas mszy. „To projekt o oczekującym, ale zarazem czuwającym i modlącym się Kościele” – mówi ks. Bartosz Rajewski, opiekujący się w Londynie parafią polską i angielską. Kościół tej angielskiej został uwieczniony na jednym ze zdjęć.

W czasie restrykcji obejmujących cały listopad wierni mogli odwiedzać kościoły tylko na prywatną modlitwę.

Kościół utracony

– Parafia angielska posiada własną świątynię, z której wierni mogli korzystać, co też chętnie czynili. Natomiast naszą polską, żyjącą w diasporze wspólnotę lockdown dotknął totalnie. Zostało zniszczone niemal w całości wszystko, co budowaliśmy przez ostatnie lata – opowiada ks. Rajewski. – Przede wszystkim nie mogliśmy korzystać ze świątyni, którą od niemal 80 lat wynajmowaliśmy od angielskich oratorianów. Wiemy już, że nie będziemy mogli korzystać z tego miejsca aż do całkowitego zniesienia restrykcji. W tym czasie awaryjnie korzystaliśmy z kościoła udostępnionego nam przez siostry asumpcjnistki oraz z kościoła anglikańskiej parafii, za którą również jestem odpowiedzialny. To jednak dwa różne miejsca, w różnych częściach Londynu.

Tak działała polska parafia w okresie pomiędzy lockdownami – wiosennym i jesiennym. W listopadzie nawet to nie było możliwe.

Ks. Rajewski nie ukrywa, że ten czas i dla niego, i dla parafian był trudny. Jak jednak zaznacza: – Niekiedy warto przeżyć takie katharsis, by docenić to, czego na co dzień się nie zauważa. Dzięki doświadczeniu bólu po stracie kościoła mogę szczerze przyznać, że dopiero dzisiaj naprawdę rozumiem słowa psalmisty: „Doprawdy, dzień jeden w przyby-

kach Twoich, Panie, lepszy jest niż innych tysiące”.

Miejsce do modlitwy

– Mam mieszane uczucia, jeśli chodzi o zamknięcie kościołów. W zasadzie nie powinno się tego robić – zastanawia się Catherine Lack, emerytowana pastorka Kościoła anglikańskiego. Jej zdaniem w kościołach i uświęconych miejscach jest coś skłaniającego do modlitwy (jak w wierszu T.S. Eliota „Little Gidding” – mówi), a wiele osób tej modlitwy w lockdownie potrzebowało bardziej. W małych angielskich wsiach – a właśnie w takiej mieszka Lack – kościoły pełnią też inne funkcje, są często miejscami spotkań i ośrodkami życia społecznego.

– Gdy w naszej wsi kościół został w lecie ponownie otwarty, frekwencja była niesamowita – podkreśla pastorka. Jednocześnie przyznaje, że wielu duchownych lub ich bliskich jest w grupie wysokiego ryzyka. – Czułabym się okropnie, gdyby ktoś zachorował na COVID-19 po moim nabożeństwie. Pod pewnym względem dobrze, że prawo jasno określiło zakaz – mówi.

Nie wszyscy jednak przyjęli restrykcje ze zrozumieniem. Biskupi Kościoła katolickiego poprosili o podanie dowodów, które przemawiały za taką decyzją władz. Podobnie zareagowała wspólnota muzułmańska, zarzucając rządowi brak konsultacji.

Przedstawiciele kilku wyznań – katolicyzmu, anglikanizmu, judaizmu, islamu, hinduizmu – skierowali do premiera Borisa Johnsona list podkreślający, że nabożeństwa pomagają zachować nadzieję i są prowadzone z zachowaniem reżimu sanitarnego. Pod koniec listopada podobny list, wzywający do otwarcia kościołów, podpisała grupa kilkudziesięciu parlamentarzystów, wśród nich emerytowani duchowni: „Bożonarodzeniowe przesłanie nadziei jest potrzebne bardziej niż kiedykolwiek w tym roku, który przyniósł ciemne dni tak wielu ludziom”.

Natomiast ponad stu chrześcijańskich duchownych zdecydowało się na skierowanie zakazu do sądu, twierdząc, że narusza on prawo człowieka do wolności religijnej.

Diennik „Guardian” opublikował artykuł o tajnych nabożeństwach, które miały być organizowane w stodółach czy kawiarniach. To prawda, że do łamania zakazu dochodziło – np. policja musiała

prosić o przerwanie nabożeństwa ewangelików w północnym Londynie; dodajmy jednak, że pozwoliła, by 15 osób pozostało w budynku, a drugie tyle uczestniczyło w nim na zewnątrz. Nie może być jednak mowy o schodzeniu Kościoła do podziemia. – Mam kontakt z księżmi tak polskimi, jak i angielskimi, a także anglikańskimi. Nie spotkałem się, by ktokolwiek organizował tajne nabożeństwa. Pytałem o to wielu duchownych – mówi ks. Rajewski. – W mojej ocenie pisanie o jednostkowych przypadkach jako o zjawisku jest manipulacją i wodą na młyn tych wszystkich, którzy rzeczywiście chcieliby sprawować tajne nabożeństwa.

Wiosna, lato i znów to samo

Wiosenny lockdown był szokiem dla wszystkich, w całkowitym zamknięciu trzeba było szybko znaleźć rozwiązania. – Wielu duchownych nie było zbyt biegłych w nowych technologiach, ale musieli zacząć je stosować – mówi pastorka Lack. Z tych doświadczeń skorzystano także po poluzowaniu restrykcji, gdyż posługa i tak nie wróciła do stanu sprzed pandemii.

W wielu miejscach wirtualne msze sprawdziły się bardzo dobrze. – Wiem o przynajmniej trzech parafiach, w których się to udało. W jednej była nawet większa frekwencja niż przed lockdownem. Moja przyjaciółka jest ateistką, wyszła za mąż za chrześcijanina. Zdecydowanie woli nabożeństwa na Zoomie, bo nie czuje się wykluczona w chwili komunii. Dla niej takie uczestnictwo jest łatwiejsze niż fizyczne w kościele – opowiada Lack.

Msze na Zoomie mogą mieć też jednak inne skutki. Pastorka mówi, że po letnim zniesieniu restrykcji jedna z parafii z udaną liturgią online nie wróciła jeszcze do nabożeństw w kościele. I ta obawa – że powrót do świata realnego z wirtualnego może okazać się trudny – dzielona jest też przez innych duchownych. Podobnie jak ta, by nabożeństwo nie zamieniło się w rodzaj telewizyjnego show.

Zadania Kościoła

Czas pandemii mimo restrykcji daje szczególne szanse do działania lokalnych wspólnot. – To jest czas Kościoła. Dzisiaj to właśnie parafie powinny pokazać, że można na nie liczyć – mówi ks. Rajewski, mając na myśli np. posiłki dla potrzebujących, pomoc w zrobieniu zakupów czy choćby kontakt telefoniczny.

Lack zwraca uwagę na jeszcze jeden istotny aspekt pandemii: solidarność. – Dla katolików kościół nie istnieje bez mszy. Dla wielu innych Kościołów, np. baptystów, komunია jest mniej istotna. Anglikanie są w tej kwestii pośrodku. Dla mnie jednak komunია jest bardzo ważna – mówi, wyjaśniając, że w czasie pandemii odbyło się wiele burzliwych dyskusji o tym, jak sprawować liturgię online, o jej teologicznych i praktycznych aspektach. Podkreśla, że będąc pastorką, mogła sama sprawować liturgię dla siebie: – Nie zrobiłam tego jednak, bo chciałam być solidarna ze świeckimi.

Ks. Rajewski: – Od samego początku uznaliśmy, że nie zaangażujemy się w organizowanie transmisji mszy i nabożeństw online. Wszyscy doświadczamy bólu i tęsknoty spowodowanej przez niemożność uczestniczenia w Eucharystii. Ale możemy teraz solidarnie doświadczyć tego, czego doświadczają nasi bracia i siostry w tak wielu zakątkach świata, np. w Amazonii, którzy czasem przez wiele miesięcy nie mają dostępu do Eucharystii czy spowiedzi.

Świąteczne dekoracje

W Wielkiej Brytanii trwają przygotowania do Bożego Narodzenia. W przydomowych ogródkach pojawiają się świąteczne dekoracje, światełka i renifery. Wszyscy przyjęli z ulgą, że jednak będą mogli spotkać się z bliskimi (choć z pewnymi ograniczeniami co do liczby osób). Osoby wierzące cieszą się, że kościoły znów są otwarte. Catherine Lack będzie mogła ponownie uczestniczyć w nabożeństwie w swoim kościele na wsi. Gdy to nie było możliwe, brała udział w mszy online w jednym z londyńskich kościołów. Zaznacza, że muzyka i kazania są tam na niezwykle wysokim poziomie. – Zastanawiam się, czy ciężko będzie mi wrócić do naszego wiejskiego kościoła? – żartuje.

Ks. Bartosz Rajewski liczy, że jego polska parafia pw. św. Wojciecha zacznie znów funkcjonować, że uda się ją odbudować. – To otwarta na każdego wspólnota ludzi wierzących, wątpiących i poszukujących. Mamy nadzieję, że wkrótce nasze życie wróci do normy i znów będziemy budować taki właśnie Kościół w centrum Londynu.

Na razie brytyjski rząd potwierdził, że dozwolone będzie śpiewanie kolęd – na zewnątrz. A także jasełka, z zachowaniem reżimu sanitarnego. ©P

Poza słowami

KS. PROF. JÓZEF NAUMOWICZ, AUTOR KSIĄŻKI „NOWA FILOKALIA”:

Modlitwa nie jest sprawą łatwą – ulegamy rozproszeniu, powracają stare urazy, albo zaczynamy myśleć o przyszłości.

PIOTR SIKORA: Simone Weil napisała kiedyś, że „uwaga absolutnie bez domieszki jest modlitwą”. Zgodziłby się Ksiądz z nią?

KS. JÓZEF NAUMOWICZ: Jak najbardziej. Patrząc na modlitwę z perspektywy „Filokalii”, zbioru tekstów o życiu duchowym, zwłaszcza o modlitwie, w którym zebrano fragmenty dzieł najważniejszych autorów duchowych wschodniego chrześcijaństwa. Jej pełny tytuł brzmi: „Filokalia ojców neptyckich”. Przymiotnik ten pochodzi od słowa *nepsis* – „uwaga”, „uwaga”. Uwaga jest nie tylko podstawą modlitwy. Już sama uwaga, skupienie na Bogu, jest modlitwą. Ojcowie filokaliczni często powtarzają, że nie musimy modlić się wargami. Zgodziliby się też zapewne ze św. Augustynem, że modlitwą jest samo pragnienie Boga.

Pism Augustyna, pisarza zachodniego, nie znajdziemy w „Filokalii”. Ale Ksiądz Profesor wydał ostatnio „Nową Filokalię” – własny wybór z oryginalnego zbioru, uzupełniony fragmentami pism innych starożytnych autorów.

Tak, chciałem z tego wielkiego dzieła (oryginalna „Filokalia” zawiera ponad 60 pism) wydobyć treści najbardziej uniwersalne i pomocne dla każdego w drodze rozwoju modlitwy, i przedstawić w sposób bardziej systematyczny. Dodałem też kilku autorów, którzy nie znaleźli się w oryginalnej „Filokalii”, a którzy mogą przemówić do współczesnego człowieka. Jednym z nich jest św. Augustyn.

W kontekście modlitwy Augustyn często parafrazował psalm: „Niech moje pragnienie wznosi się do Ciebie”. Bo pragnienie Boga to skupienie się na Nim. Ta intencja jest kluczowa. Pisarze z „Filokalii” ostrzegają, by nie skupiać się na sobie, na swoich osiągnięciach ani na pragnieniu osiągnięcia czegoś, odmie-

rzaniu swego postępu duchowego. Tym bardziej – by nie skupiać się na „ilości” modlitwy.

Ostatecznie chodzi o modlitwę nieustanną, do której wzywa Nowy Testament. Pytano: jak to zrobić, skoro trzeba jeść, spać, pracować? Modlić się można przy pracy bardzo prostej. A co, gdy mamy bardziej złożone obowiązki? Jednym z rozwiązań było odwołanie się do pragnienia. Jeśli u podstaw naszych czynów leży pragnienie Boga, pamięć o Bogu – to są one modlitwą niebezpośrednią. Nie chodzi przy tym o pamięć psychologiczną, jakieś świadome myśli o Bogu – lecz o podstawę czynów, słów, myśli.

Skoro chodzi o modlitwę nieustanną, czy można uznać za modlitwę uważne robienie tego, co właśnie się robi – zgodnie ze wspomnianą zasadą Simone Weil?

Z perspektywy „Filokalii” można by tak powiedzieć, z tym zastrzeżeniem, że u początku i końca działania, które jest modlitwą, stoi Ten, który jest większy od nas. U Simone Weil tak było, choć nie zawsze to wyrażała głośno. Punktem wyjścia duchowości filokalicznej jest zawsze Bóg. Uwaga nie musi wiązać się z psychologicznym napięciem. Przy lekturze ojców coraz bardziej uderza mnie, że bardziej chodzi o coś przeciwnego – nie tyle, żeby się natężyć, co raczej puścić, uwolnić się od siebie i się otworzyć. Uzyskać wewnętrzną wolność. Nawet nie zapamiętać nad sobą – to byłoby natężeniem siebie. Wewnętrzna wolność jest możliwa, bo nie płynie z moich własnych sił, jest darem Boga. Duchowość filokaliczna jest *expressis verbis* chrześcijańska, więc wprost mówi o Bogu i łasce Boga. Nam pozostaje otwarta czujność.

Z drugiej strony oczekiwanie nie oznacza całkowitej bierności. W teologii wschodniej ważne jest pojęcie synergii – współdziałania, współaktywności. Bóg nas szuka, pragnie – ta świadomość jest



WIKIPEDIA / DOMENA PUBLICZNA

ważna, ale rodzi odpowiedź. Oczekiwanie czynne.

Modlitwa nie jest sprawą łatwą. Bardzo łatwo ulegamy rozproszeniu. Gdy zaczynamy się modlić, nachodzą nas różne myśli, powracają stare urazy albo zaczynamy myśleć o przyszłości. W modlitwie jest ważne, by odciąć się od przeszłości, nie wybiegać w przyszłość.

Ale jak to zrobić?

To właśnie jest główny temat „Filokalii”. Nie tyle modlitwa, co owa *nepsis*, wewnętrzne skupienie. Skupienie, które jednak nie polega na wewnętrznym napięciu, ale na wewnętrznej wolności, byciu wolnym od tego, co nam przeszkadza w drodze do Boga.

Jak to zrobić? Jedną z takich poleceń od IV wieku, albo i wcześniej, zasad jest wybranie z Pisma cytatów, które można przywoływać, gdy nachodzą nas myśli, albo co gorsza to, co Ewagriusz z Pontu nazwał namietnościami (*pathos*) – czyli poruszenia, które są „chore”, które wprowadzają w nas nieporządek. Gdy Jezus był kuszony, cytował słowa Pisma przeciwne tym pokusom. Ewagriusz napisał dzieło „Antirrheticus”, („Mówienie przeciwko”), gdzie zgromadził cytaty biblijne przeciwne rozmaitym pokusom



Hans Memling „Siedem radości Marii”, olej na desce, 1480 r.

[o „metodzie antyretycznej” mówił na tych łamach o. Szymon Hiżycki OSB: powszech.net/hizycki/]. Jeśli bowiem jakaś zła myśl we mnie się usadowiła, to nie tylko myśli, ale i serce odchodzi od tego, co najważniejsze – od bycia w bliskości z Bogiem.

W rozproszeniach chodzi o wszelkie myśli czy tylko o złe? Czy np. wspomnianie dobrych chwil albo planowanie dobrych przyszłych czynów to też rozproszenia?

Rzeczywiście, tu jest różnica. Jedną z ważniejszych postaw dla ojców filokalicznych jest wdzięczność Bogu. Jest wdzięczność za to, że się po prostu istnieje, ale jest też taka, która opiera się na pamięci konkretnego dobra. Ważne jednak, by nie pozostawać w myślach o przeszłych rzeczach, lecz by odnosić je do obecnego teraz Boga. Zdecydowanie gorsze są urazy, które powracają w myślach podczas modlitwy. Uważność, straż serca i umysłu, jak mówili ojcowie pustyni, polega na tym, by wiedzieć, których myśli nie możemy dopuszczać do siebie, by krążyć wokół nich. Największe rozproszenia powodują te myśli, które wypływają stąd, że nie możemy pogodzić się z przeszłością albo zbyt za-

martwiamy się przyszłością – nie żyjemy wówczas teraźniejszością. Podstawową zasadą w uważności jest, by żyć tym, co robię teraz.

W „Filokalii” często powraca motyw żydowskiej modlitwy „Szema Izrael” – „Słuchaj, Izraelu”. Żydzi, modląc się, zasłaniali sobie oczy. To symbol tego, by nie rozpraszać umysłu i by się zaśłuchać – to wzór skupienia. Drugie zdanie tej modlitwy mówi, by otworzyć całe swoje serce i umysł, całe pragnienie, by miłować Boga. Nie chodzi o rozpraszanie swoich możliwości, ale zaangażowanie w kochanie Boga.

Jak to słuchanie ma się do jednego z głównych motywów „Filokalii” – nauczania o nieustannym powtarzaniu formuły modlitewnej? Mówienie nieustanne może wydać się przeciwieństwem słuchania.

Powtarzanie jednego wezwania służy skupieniu. Nie chodzi w nim bowiem o rozważanie jakiejś treści dotyczącej Boga. Powtarzając wezwanie, nie szukamy nowych myśli, pomysłów, skojarzeń na Jego temat. Jest to modlitwa monologiczna – jednosłowna. Nie chodzi o monolog, ale o skupienie się na prostym wezwaniu („jednym słowie”) i przez

to skupienie się na Bogu, do którego te słowa się odnoszą.

Wezwanie modlitwy Jezusowej brzmi „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznym”. Skupienie i powtarzanie tych słów pozwala mi coraz bardziej przeżywać, że Jezus jest moim Panem, Chrystusem, Zbawicielem, Synem Bożym oraz że w pokorze wierzę w Jego miłosierdzie. Podobnie, gdy mówię wiele razy „kocham cię”, to nie tylko utwierdzam kochaną osobę, że jest kochana, ale i moja miłość się rozwija.

Ważne też, że nie jest to modlitwa wymyślona w którymś wieku, tylko czerpiąca ze słów biblijnych. Jest połączeniem modlitwy kilku osób z Nowego Testamentu, zwłaszcza niewidomego Bartymeusza spod Jerycha, który jest wzorem uważności. Siedzi spokojnie, nie natęży się, a w pewnym momencie odczytuje obecność Jezusa. O to chodzi w uważności. Bartymeusz woła: „Jezusie, synu Dawida (nie wiedział jeszcze, że On jest Synem Bożym), ulituj się nade mną”. Bartymeusz odzyskał wzrok – i my uzyskujemy zdolność widzenia, rozpoznania Bożej obecności w sobie.

Nie tylko słowa, ale przede wszystkim postawa, którą one wyrażają, ma źródło biblijne. Wiara i prośba o miłosierdzie. ➔

→ Skoro chodzi o przejście od wielości rozważań do skupienia na jednym, czy ta formuła modlitewna nie ma zbyt dużo treści, która rozprasza?

Nie należy rozważać treści formuły. Umysł odgrywa w modlitwie swoją rolę, ale nie można zatrzymać się na myśleniu o Bogu. Ideałem jest modlitwa serca – odkrycie obecności, ale i umiłowanie Tego, którego się odkryło. Gdy przeżywamy Jego obecność, słowa stają się mniej ważne. Potrzebujemy jednak czytać Pismo, „Filokalię”, inne dzieła – bo inaczej serce stygnie.

Ale gdy kochamy, ojcowie zalecają, by formułę powtarzać najpierw głośno, później po cichu. A na koniec człowiek milknie.

Może więc warto uprościć formułę, np. do samego imienia „Jezus”? Albo słowa „Bóg” (jak zaleca zachodni średniowieczny mistyk, autor „Obłoku niewiedzy”)?

W perspektywie „Filokalii” lepsze byłoby „Jezu”, „Boże” – aby to miało formę wezwania, skierowania się ku Jezusowi, ku Bogu. No i brakuje tu czegoś bardzo drogiego dla tradycji wschodniej – prośby o miłosierdzie. Stajemy przed Bogiem w postawie pokory, w świadomości nieproporcjonalności między człowiekiem a Bogiem. Dłuższa formuła pomaga zachować taką postawę. Ale możemy używać też innych.

Są w „Filokalii” autorzy, którzy idą jeszcze dalej i mówią o „wołaniu milczeniem”, modlitwie całkowicie wolnej od myśli, nawet tej dobrej. To modlitwa czysta.

Czy nie jest to podobne do coraz popularniejszej praktyki mindfulness, w której chodzi o uważność po prostu, wolną właśnie od nawet prostej formuły, po prostu bycie uważnym, samo „słuchanie”?

Widzę tu podobieństwo. Praktykując powtarzanie formuły musimy w końcu zamilknąć. Powtarzamy ją, gdy pomaga nam w skupieniu na Bogu. Możemy ją powtarzać niemal w każdych warunkach, na przystanku, na spacerze. Ale nie musi nam zawsze towarzyszyć. W „Filokalii” pojawia się słowo *melete* – tłumaczone jako „medytować” – ale oznacza ono nie rozmyślanie, lecz „przeżywanie”. Słowo powraca do nas, ale nie sku-



TOMASZ GZELL / PAP

KS. JÓZEF NAUMOWICZ (ur. 1956) jest duchownym katolickim, birytualistą, profesorem nauk humanistycznych, historykiem literatury wczesnochrześcijańskiej, patrologiem i bizantynologiem. Ostatnio wydał autorski wybór tekstów we własnym przekładzie „Nowa Filokalia. Droga do modlitwy serca” (Esprit, Kraków 2020).

pia na sobie, tylko prowadzi poza siebie, do Boga. Słowo nie jest więc konieczne. Ostatecznie mamy stanąć przed Bogiem w ciszy i wolności od różnych myśli – nie tych, które po prostu przepływają, ale takich, które się w nas zakorzeniają.

Widzę też jednak różnicę pomiędzy uważnością filokaliczną i modlitwą czystą a praktyką *mindfulness*. W modlitwie celem jest zawsze nawiązanie osobistej relacji z Bogiem, odkrycie Jego obecności.

Ale my, chrześcijanie, wierzymy, że rzeczywistość jest wypełniona Bogiem, jest On wszechobecny. Czy koniecznie potrzebne jest świadome nazwanie, że spotykam Boga? Czy to nie jest kolejna myśl? Może warto pozwolić sobie na po prostu uważność na to, co jest, bez nazywania?

Myślę, że można przyjąć taką perspektywę. Ale trzeba być ostrożnym. Możliwa jest uważność, w której nie szuka się nikogo i niczego. Choć i chrześcijańscy mistycy, np. Jan od Krzyża czy Teresa z Avili, mówili o stanie *nada*, „nic” – w którym nie ma żadnej myśli. Jednak w przypadku chrześcijaństwa w tym „nic” jest Bóg. Nie jest to „negatywna” nicość. Trudno to precyzyjnie wyrazić.

Wróćmy więc do kwestii bardziej praktycznych. W obecnej sytuacji – pandemii, stresu – ludzie próbują

odzyskać spokój. Ten temat też pojawia się w „Filokalii”.

Tak, w tej duchowości jednym z kluczowych motywów jest wyciszenie, *hezychia*, które można też określić jako pokój, spoczynek. Ojcowie zwracają uwagę, że nie powinniśmy się obawiać tego, jeśli na modlitwie otrzymujemy pocieszenie, jeśli się dobrze czujemy. Choć oczywiście podkreślają też, że nie to jest celem samym w sobie i jeśli aktualnie tego brakuje, to trzeba wytrwać mimo trudności. Dzięki wytrwałości można otrzymać prawdziwą, głęboką radość.

Dzisiaj często poszukiwanie uspokojenia dokonuje się poprzez powrót do ciała, oddechu.

W tradycji chrześcijańskiej od początku modlitwa traktowana jest jako aktywność całego człowieka. Ważne są np. postawy ciała. W późniejszym okresie niektórzy autorzy „Filokalii” zaczynają łączyć powtarzanie formuły z oddechem albo – jak pielgrzym rosyjski – nawet z biciem serca. Zauważają, że w dążeniu do wyciszenia pomocne jest właściwe otoczenie – półmrok, siedzenie na niskim stołku, opuszczenie głowy i koncentracja na sercu cielesnym, by „sprowadzić umysł do serca” za pomocą oddechu, który przez nozdrza dostaje się do płuc i do krwioobiegu, czyli do serca. Uświadomienie sobie tej drogi oddechu, skupienie na materialnym sercu pomaga w skupieniu na tym, co serce symbolizuje – centrum człowieka. Techniki psychosomatyczne są ważne – ale tylko jako narzędzie, nie są celem. Inni autorzy traktują te rzeczywistości w sposób symboliczny. Chodzi o przejście od rozważania o Bogu (co symbolizuje umysł), do spotkania z Nim (serce).

Modlitwa Jezusowa, modlitwa serca czy nieustanna mogą mieć różne formy. Inna praktyka jest możliwa we własnej „izdebce”, w samotności; inaczej wygląda modlitwa w drodze, inaczej przy prostej pracy fizycznej, inaczej w biurze. Różne muszą być sposoby uzyskiwania skupienia – w samotności i spokoju, albo wśród ludzi. Dzisiaj, gdy przez pandemię jesteśmy zmuszeni do przebywania w domu, być może formy modlitwy praktykowane przez mnichów w celach staną się bardziej popularne. W trudnych warunkach warto korzystać z rozmaitych technik uspokajających i służących skupieniu, ale dobrze, by wiodły do spotkania z Bogiem.

© Rozmawiał PIOTR SIKORA

WOJCIECH

Bonowicz:

Teraz i potem



NIE CHCĘ WRACAĆ DO NORMALNOŚCI. Co to, to nie. Chcę przejść do świata, w którym więcej ludzi będzie miało poczucie sensu tego, co robi.

W miesiącach pandemii na nowo polubiłem spacerować. Częściej dzwonię do znajomych, żeby pogadać, co słychać. Znalazłem też czas na lekturę książek, które zawsze chciałem przeczytać: projektujących inny świat niż ten, który znamy. Chętnie słucham w internecie dyskusji o tym, jak powinna wyglądać polityka, gospodarka i życie społeczne po zwycięstwie nad koronawirusem. Mam nadzieję, że większość z nas już wie lub przynajmniej przeczuwa, że nie powinny wyglądać tak samo. I że np. to, iż nasz system ochrony zdrowia okazał się niewydolny, jest rezultatem nie tylko błędów popełnionych przez obecnie rządzących, ale całego sposobu myślenia o zdrowiu i – szerzej – polityce społecznej. Naszego myślenia. Takie kryzysy, jak obecny, pokazują, jakimi wartościami rzeczywiście żyjemy, a jakie są tylko zapisane na papierze.

W ostatnich miesiącach dokonujemy rozmaitych odkryć. Jedni odkrywają, czego ich dzieci naprawdę uczą się w szkole. Inni odkrywają, że pracę, której poświęcali osiem godzin dziennie, można wykonać w ciągu czterech. Jeszcze inni zdali sobie sprawę, że nigdy nie wychodzą z pracy – że było tak przedtem i jest tak również teraz. Wielu ludzi odkryło, że bez mnóstwa rzeczy mogą się obyć. Niektórzy odkryli, że nic już ich nie wiąże z Kościołem, inni – że chcą w Kościele zostać, ale nie chcą, żeby wyglądał tak, jak do tej pory. Są tacy, którzy odkryli, że mogą być wolontariuszami, i zapukali do starszych sąsiadów. Spora grupa, zwłaszcza młodych, odkryła, że trzeba wyjść na ulice i protestować. Nie wszyscy

wiedzą, co z tymi odkryciami zrobić, ale wszystkich te odkrycia zmieniły. Bardziej lub mniej, ale zmieniły.

Teraz chodzi o to, jacy z tych doświadczeń wyjdziemy. Jest wielu takich, którzy chętnie wróciliby w stare koleiny. Ostatecznie z nowym zawsze wiąże się jakieś niebezpieczeństwo. Lepiej po staremu palić Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. W dodatku z wielu miejsc syczy się w dusze lęk przed jakąkolwiek zmianą. Szczególne zasługi mają tu ci, którzy tropią wszelkiego rodzaju „lewactwo”. Nie jest dla nich problemem, że w dotychczasowym świecie wielu ludzi skazanych było na pracę bez sensu albo że to, co robili, niszczyło ich otoczenie i w konsekwencji również ich samych; problemem jest każdy projekt, który inaczej niż do tej pory rozłożyłby akcenty. Żadnym słowem nie manipuluje się dziś tak bardzo, jak słowem „wolność”. Moja rada: „wolność” sama z siebie niewiele znaczy, ważne w kontekście jakich innych słów się pojawia. Zawsze sprawdzajcie ten kontekst.

Na czym powinniśmy się dziś skoncentrować? Na to pytanie nie ma jednej odpowiedzi. Mnie interesuje – wiem, że ostatnio używam tego pojęcia zbyt często – ludzka nadzieja. Nie uważam, że trzeba ją ratować, uważam, że trzeba ludziom dostarczyć dobrych argumentów za nadzieją, którą jeszcze w sobie mają lub która właśnie się w nich obudziła. Kiedy byłem na studiach, dyskutowało się o kryzysie wielkich utopii. Głównie dlatego, że oglądaliśmy spektakularny upadek jednej z nich. Samo słowo nabrało znaczenia pejoratywnego, wiało od niego smutkiem, grozą, także śmiesznością. Dziś coraz więcej głosów mówi o potrzebie nowej utopii – utopii dla realistów. Utopii, która byłaby zbudowana nie na kłamstwie, wmówieniach czy resentymentach, ale na szczegółowej analizie tego, co – jako społeczeństwa i państwa – robimy źle i jakie mamy możliwości, żeby to naprawić.

Nadzieja będzie nam potrzebna. Najprawdopodobniej niebawem czekają nas kolejne wyzwania, podobne do tego, z którym się zmagamy. Nadzieja, pisze Rebecca Solnit w sławnej książce, tkwi w założeniu, że nie sposób „przewidzieć, co się stanie w przyszłości, i że w tej szczelinie niepewności pojawia się przestrzeń do działania”. Zapewne i tym razem nie wszystko zrobimy, jak należy. Ale możemy przynajmniej spróbować zrobić najlepiej, jak potrafimy. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie z wniosku Doroty Japy, z udziałem Teresy Janusz, o stwierdzenie nabycia spadku po Cecylii Tomczyk c. Władysława i Karoliny, która zmarła w dniu 4 kwietnia 2020 r. w Brzesku. Ostatnim miejscem zwykłego pobytu spadkodawczyni był Okocim. Cecylia Tomczyk w chwili śmierci miała 93 lata. Pozostawiła ona testament, w którym jako majątek pozostały po niej wskazała pieniądze oraz działki ewidencyjne nr 667 i 736 w Okocimiu.

Sąd Rejonowy w Brzesku, I Wydział Cywilny, wzywa wszystkich spadkobierców, aby zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Brzesku, I Wydział Cywilny, w ciągu 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia i udowodnili nabycie spadku po Cecylii Tomczyk, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sygnatura akt I Ns 281/20.

TP W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” DODATEK

Wawel otwarty na nowo

a w nim m.in.

rozmowa z dyrektorem Zamku Królewskiego na Wawelu
dr. hab. ANDRZEJEM BETLEJEM, prof. UJZAMEK
KRÓLEWSKI
NA WAWELU

Zapraszamy do lektury!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIECZNY KANDYDAT

Bułgaria blokuje rozpoczęcie negocjacji, których celem jest włączenie Macedonii Północnej do Unii Europejskiej. Idzie o historię i tożsamość. Znowu.

MARTA SZPALA

GDY W SŁONECZNE MAJOWE POPOŁUDNIE w 2018 r. nad jeziorem Prespa podpisywano porozumienie między Macedonią a Grecją, macedoński premier Zoran Zaew miał powody do dumy. Trwający prawie trzy dekady konflikt, który był główną przeszkodą w integracji Macedonii z Unią Europejską i NATO, został zakończony.

Ceną była zmiana nazwy państwa, które miało się teraz nazywać Macedonia Północna. Udało się natomiast ochronić język i tożsamość: Grecy zaakceptowali używanie określeń „język macedoński” i „Macedończycy”. A że rok wcześniej odsunięto też od władzy pravicową VMRO–DPMNE, ugrupowanie o skłonnościach autorytarnych, to – jak wspomina dziś w rozmowie znajomy ze Skopje – Macedończycy wreszcie mogli we własnym kraju swobodnie oddychać i wierzyć, że droga do Unii stoi przed nimi otworem.

Dziś po tamtej radości nie ma śladu, dominuje złość i rozgoryczenie. Rozpoczęcie negocjacji akcesyjnych z Unią Europejską właśnie zablokowała Bułgaria. Historia zatoczyła koło.

Przed drzwiami Unii

Historia integracji Macedonii Północnej z Unią obfituje w zwroty akcji. Jeszcze na początku XXI wieku kraj ten był prymusem polityki rozszerzenia. Gdy w 2005 r. uzyskał status oficjalnego kandydata do Unii, był postrzegany jako lepiej przygotowany do członkostwa niż Chorwacja, rozpoczynająca wtedy negocjacje. Jednak w tym roku Zagrzeb świętował siódmą rocznicę członkostwa w Unii, a Skopje wciąż czeka. Najpierw trzeba było bo-

wiem spełnić dodatkowe warunki. Potem eskalował spór z Grecją. Aby wymusić na Macedonii zmianę nazwy państwa, w 2008 r. Ateny zablokowały jej integrację z Unią i NATO.

Rządząca już wtedy od ponad dwóch lat VMRO–DPMNE premiera Nikoły Gruewskiego postawiła wszystko na jedną kartę – nacjonalistyczną. Miało to wiele negatywnych skutków. Stosunki ze wszystkimi sąsiadami były najgorsze w historii, a napięte relacje z albańską mniejszością (jedna czwarta obywateli) zagrażały stabilności wewnętrznej i spójności państwa. Za to w Skopje zaroilo się od pomników i budowli mających przypominać (a może uświadamiać) narodowi jego antyczną przeszłość.

Gdy potem okazało się, że tajne służby podsłuchiwały ponad 20 tys. osób – głównie przeciwników politycznych Gruewskiego – społeczeństwo powiedziało: dość. Tym bardziej, że przy okazji wyszła na jaw skala korupcji, przemocy wobec oponentów i fałszerstw wyborczych ze strony partii rządzącej. W 2017 r., po dwóch latach ulicznych protestów, władzę przejęła lewica pod przywództwem premiera Zorana Zaewa.

Priorytetem nowego rządu była poprawa relacji z sąsiadami i odblokowanie procesu integracji z Unią i NATO. Na pierwszy ogień poszła Bułgaria: latem 2017 r. podpisano traktat o przyjaźni, dobrośsiedzkich relacjach i współpracy. Dawał on nadzieję na poprawę stosunków między oboma państwami, na intensyfikację współpracy gospodarczej i budowę wygodnych połączeń transportowych, które zbliżyłyby Sofię i Skopje. Na

ten moment Bułgarzy czekali od prawie 30 lat.

Tęsknota za Macedonią

W 1992 r. Bułgaria była pierwszym państwem, które uznało niepodległość Macedonii. Niektórzy wręcz twierdzą, że przekonała do tego również Rosja. Decyzja ta była jednak podyktowana postrzeganiem przez Sofię Macedonii jako drugiego państwa bułgarskiego, które w wyniku zawirowań historii zostało oddzielone od macierzy.

Macedonia to bowiem dla Bułgarii miejsce szczególne: mityczne kresy, gdzie sięgały granice średniowiecznego państwa bułgarskiego cara Symeona. Wielu Bułgarów ma tam rodzinne korzenie. W przeszłości o ten region Sofia rywalizowała z Grecją i Serbią.

Jak mówi mi Vessela Czernewa z bułgarskiego oddziału Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych, zaangażowanie Bułgarii w wojny bałkańskie w 1913 r. oraz obie wojny światowe było podyktowane chęcią odzyskania kontroli nad obszarem dzisiejszego państwa macedońskiego. To doprowadziło Bułgarię do sojuszu w czasie II wojny światowej z nazistowskimi Niemcami. Wszystkie te trzy wojny Bułgaria ostatecznie przegrała.

Wielu Bułgarów wierzy, że gdyby nie serbski ekspansjonizm i przywódca Jugosławii Josip Broz Tito, wówczas Macedonia i Bułgaria byłyby jednym państwem. To jugosłowiańska inżynieria społeczna miała doprowadzić do wykształcenia się odrębnego narodu, dla którego skodyfikowano specjalny język. Bo według Buł-



GEORGI LUCOVSKI / EPA / PAP

Uczestnik antyrządowego protestu z wizerunkiem Goce Delczewa, jednej z głównych postaci antyosmańskiego powstania w 1903 r., o którego pochodzenie spierają się rządy Bułgarii i Macedonii Północnej. Skopje, 15 września 2020 r.

garów aż do 1944 r. nie było ani Macedończyków, ani języka macedońskiego. Takie postrzeganie sąsiada leży u podstaw dzisiejszych problemów w relacjach obu państw.

Kim byli Macedończycy?

Dziś wzajemne relacje komplikuje dodatkowo fakt, iż w podręcznikach szkolnych używanych w Macedonii Północnej wydarzenia, które miały miejsce na terenach zajmowanych obecnie przez to państwo, traktuje się jako część wyłącznie własnego dziedzictwa. Macedończycy mieli tu być od zawsze, podczas gdy Bułgarzy przybyli na Bałkany jako obce nomadyczne plemię. W konsekwencji bohaterów należących także do bułgarskiego panteonu traktuje się jako Macedończyków we współczesnym rozumieniu tego słowa.

Dotyczy to całej historii, ale sytuacja robi się naprawdę skomplikowana, gdy debata dotyczy walk z Imperium Osmańskim na przełomie wieków XIX i XX. Czy ówczesni bojownicy z Wewnętrznej Macedońskiej Organizacji Rewolucyjnej (WMRO) używali określenia „macedoński” w odniesieniu do

regionu, jaki zamieszkiwali, a w rzeczywistości byli Bułgarami? Czy też używanie takiego określenia było jednak świadectwem odrębnej już tożsamości etnicznej?

Jak mówi mi dr Spasimir Domaradzki, politolog z UW, po upadku komunizmu Bułgaria nie miała szansy na poważną debatę o własnej historii – szczególnie o trudnych momentach, jak charakter bułgarskiej okupacji obecnej Macedonii w latach 1941-44. Podobnie zresztą takiej autentycznej szansy nie miała Macedonia Północna.

Porozumienie z 2017 r. tworzyło podstawy do wspólnej refleksji nad przeszłością. Powołano wspólną komisję, która miała wypracować akceptowalną dla obu stron wersję historii; następnie wersja ta miała być włączona do programu nauczania. Początki były obiecujące: uzgodniono sporne kwestie dotyczące cara Symeona i świętego Nauma. Po raz pierwszy wspólnie uczczono pamięć Gocego Delczewa, przywódcy ruchu wyzwolenieckiego, który jest bohaterem obu narodów. Jednak kolejne kroki okazały się trudniejsze.

Skomplikowała się też sytuacja w samej Macedonii Północnej. Realizacja porozumienia z Grecją i przekonanie społeczeństwa do zmiany nazwy państwa okazały się trudniejsze, niż przewidywano. Nie pomagała też Unia. W Skopje oczekiwano, że wycofanie sprzeciwu Grecji przełoży się na szybkie rozpoczęcie negocjacji akcesyjnych. Tymczasem zastrzeżenia zaczęła zgłaszać Francja, w ogóle krytycznie nastawiona do dalszego rozszerzania Wspólnoty.

W obliczu kolejnego niepowodzenia w Brukseli w grudniu 2019 r. rząd Zaewa podał się do dymisji i szykowano się na przedterminowe wybory. Zbliżenie z Bułgarią zeszło na dalszy plan, prace wspólnej komisji przerwano.

Polityczne gry czy obrona narodu

Podczas gdy rząd macedoński zajęty był przekonywaniem Francji – ostatecznie wycofała ona zastrzeżenia, co pozwoliło Radzie Unii podjąć w marcu 2020 r. decyzję o rozpoczęciu negocjacji – sytuacja w Bułgarii zaczęła przyjmować wyjątkowo niekorzystny dla Macedonii obrót.

→ Zarówno bułgarski prezydent Rumien Radew, jak też wicepremier i minister obrony Krassimir Karakaczanow dostrzegli w relacjach z Macedonią Północną swoją szansę. Jeden na punktowanie premiera Bojko Borisowa za rzekomo zbyt ustępstwa, a drugi na odbudowę popularności poprzez odwołanie się do rozpowszechnionych w Bułgarii antymacedońskich resentymentów.

W rezultacie w październiku 2019 r. bułgarski rząd przyjął instrukcję zawierającą warunki, które musi spełnić Macedonia, aby Sofia wyraziła zgodę na zorganizowanie pierwszej konferencji międzyrządowej, która oznacza praktyczne rozpoczęcie negocjacji. Choć wtedy to wydarzenie zbagatelizowano, był to zwiastun tragedii, która miała nastąpić.

Wspólna czy bułgarska?

Niektóre z bułgarskich warunków były powtórzeniem zapisów z porozumienia z 2017 r. czy tradycyjnych kwestii podnoszonych przez Sofię wobec Macedonii. Przykładem może być żądanie, aby Skopje zaprzestało wspierania mniejszości macedońskiej, która nie jest uznawana przez państwo bułgarskie. Jak tłumaczy mi Zoran Nechev z think tanku Instytut Demokratyczny Societas Civilis, to jest spór wewnątrzbułgarski – między tym państwem a jego obywatelami, którzy przed międzynarodowymi trybunałami domagają się, aby być uznanymi za mniejszość narodową. Obwinianie Skopje o podleganie do tych działań nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Sofia chce też, aby w oficjalnych dokumentach dotyczącym procesu akcesji używano określenia Republika Północnej Macedonii, gdyż nazwa Macedonia Północna miałaby implikować roszczenia terytorialne do tzw. Macedonii Pirińskiej, która należy do Bułgarii.

Trudniejszy do zaakceptowania dla Skopje jest postulat dotyczący używania określenia „oficjalny język urzędowy Republiki Macedonii Północnej” – zamiast po prostu „język macedoński”. Jednak najbardziej problematyczne dla władz macedońskich jest dążenie Bułgarii do ścisłego powiązania postępów prac wspólnej komisji z integracją Macedonii Północnej z Unią. Sofia proponowała nawet, by kwestie te wpisać oficjalnie do ram negocjacyjnych. Dałoby to Bułgarom silne narzędzia, aby wymusić na Macedończykach przyjęcie tej wersji historii, którą Sofia uważa za słuszną.

Dotyczy to przykładowo zastąpienia określenia „bułgarski okupant faszystowski” neutralnym słowem „administracja”. Jednak w Macedonii wciąż żyją ludzie, którzy pamiętają ówczesne represje, przymusową bułgaryzację i eksterminację społeczności żydowskiej. Co więcej, wielu mieszkańców Macedonii z sentymentem wspomina czasy Jugosławii i traktuje pamięć o ruchu antyfaszystowskim jako ważny element macedońskiej tożsamości. Dla nich wersja ich dziejów proponowana przez Bułgarię to relatywizacja faszyzmu i próba wybielania własnej historii.

Tożsamość ceną za członkostwo

Później było już tylko gorzej. Epidemia ujawniła słabości bułgarskiego państwa, latem przez Sofię przetoczyły się ogromne antyrządowe protesty. Skupienie uwagi społeczeństwa na tożsamościowym sporze z Macedonią Północną było więc dla władz w Sofii bardzo wygodne. Doszło do szeregu wystąpień bułgarskich polityków, które były coraz bardziej nie do przyjęcia dla strony macedońskiej. Podkreślano, że jeśli Skopje nie zaakceptuje bułgarskich korzeni swojej tożsamości i języka, to nie ma dla niej miejsca w Unii. Lekceważąco wypominano,

że gdyby nie Tito, Macedonia by nie istniała. Na fakt, że Skopje odmiennie niż Sofia ocenia bułgarską okupację podczas II wojny światowej, reagowano hasłem, że to „antybułgarska mowa nienawiści”.

Jak mówi Zoran Nechev, nikt w Skopje nie kwestionuje, że należy zmienić podręczniki szkolne i krytycznie przyrzeć się własnej historii. Jednak w oczach wielu Macedończyków działania Bułgarii nie mają na celu osiągnięcia kompromisu, lecz jedynie eskalację sporu. Po stronie bułgarskiej nikt nie tonuje dyskusji, a o historii wypowiadają się najbardziej radykalni politycy. W takich warunkach trudno o rzetelną dyskusję o przeszłości.

Stracone szanse

Eskalacja sporu spowodowała, że wszyscy przegrali. Sofia, bo chcąc odzyskać wpływy w Macedonii, utraciła je chyba na zawsze. Nawet jeśli Macedonia Północna zgodzi się na ustępstwa, byle tylko otworzyć negocjacje z Unią, to nie da się niczego wymusić szantażem. Simnid Kacarska z European Policy Institute w Skopje mówi mi, że oba narody nigdy nie były tak odległe jak teraz, a odbudowa dobrych relacji będzie trudna. Jednocześnie pieczołowicie budowany wizerunek Sofii – jako głównego orędownika polityki rozszerzenia Unii i sojusznika Bałkanów Zachodnich – rozsypał się niczym domek z kart.

Wśród Macedończyków dominuje dziś rozgoryczenie. Integracja z Unią miała oznaczać praworządność, sprawiedliwość i dobrobyt. Przeciwnie w imię członkostwa zgodzili się na zmianę nazwy państwa, a teraz mają się wyrzec zarówno języka, jak i własnej tożsamości, które zdołali ochronić przed Grekami? Niepewna jest przyszłość rządu Zaewa – polityka, który wbrew bałkańskim trendom postawił na kompromis, a nie nacjonalizm. Niektórzy mówią, że jest sam sobie winien, bo gdy ustąpił Grekom, Bułgarzy uznali, że też mogą naciskać.

Oba społeczeństwa straciły też szansę na poważną debatę o swojej przeszłości, a cała sytuacja poważnie nadszarpięła wizerunek Unii na Bałkanach. Wbrew brukselskim deklaracjom wdrażanie reform i wyrzeczenia nie oznaczają bowiem integracji z Unią. O tym dotkliwie przekonała się Macedonia Północna.

Słabym pocieszeniem jest dla Skopje członkostwo w NATO – to jedno udało się osiągnąć.

© MARTA SZPALA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 30/17 postępowanie z wniosku Marii Benedyczak o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości położonej w Witaszyczach, oznaczonej geodezyjnie jako działka 1083 o powierzchni 0,07,95 ha, dla której jest prowadzona księga wieczysta KZ1J/00006979/2.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.



ATTILA KISBENEDEK / AFP / EAST NEWS

Utworzony przez protestujących studentów Uniwersytetu Sztuki Teatralnej i Filmowej „żywy łańcuch”, łączący uczelnię z budynkiem parlamentu. Budapeszt, 6 września 2020 r.

Młodzi gniewni, starzy gniewni

DARIUSZ KAŁAN Z BUDAPESZTU

Dla wielu młodych Węgrov Viktor Orbán jest tym, czym dla jego pokolenia byli komuniści: synonimem natrętnej propagandy i ograniczania wolności. Aby wygrywać kolejne wybory, premier musi ich pozyskać. Jak chce to osiągnąć?

CZTERNASTOHEKTAROWA DZIAŁKA, zrujnowany zamek oraz port w Révfülöp nad jeziorem Balaton, dwie wille w stolicy na prawym brzegu Dunaju, nieruchomości w czterech innych miastach, akcje państwowych koncernów MOL i Gedeon Richter warte ok. miliarda dolarów oraz po nad 100 mln dolarów w gotówce: takie prezenty w ciągu ostatnich miesięcy Fidesz, partia Viktora Orbána, podarował Kolegium Macieja Korwina (MCC).

Kolegium to elitarny, zarządzany przez prywatną fundację ośrodek kształcenia dodatkowego dla uzdolnionych uczniów i studentów z Węgier oraz krajów ościennych. Założone w 1996 r. przez biznesmena Andrása Tombora z myślą o wyszukiwaniu i szlifowaniu talentów, Kolegium przez ponad 20 lat pomagało

w formowaniu przyszłych elit politycznych i gospodarczych.

Tombor szybko zbliżył się do Fideszu. W czasie pierwszego rządu Orbána (1998–2002) był członkiem grupy doradczej ds. bezpieczeństwa w jego kancelarii. Potem jego nazwisko przewijało się w kilku aferach i transakcjach ludzi partii. Stał się jedną z szarych eminencji kręcących się wokół Fideszu. Jednak Kolegium, mimo konserwatywnego profilu, cieszyło się dobrą opinią jako centrum rozwoju intelektualnego i profesjonalna kuźnia kadr państwowych.

Teraz przeciwnicy Orbána przekonują, że hojność jego partii oraz to, że w lipcu na czele fundacji MCC stanął Balázs Orbán (sekretarz stanu w kancelarii premiera; zbieżność nazwisk przyrodniczych), oznacza, że Fidesz chce prze-

kształcić MCC w szkołę indoktrynującą nowe lojalne wobec partii elity – i odzyskać popularność wśród młodzieży studenckiej.

Bo Fidesz, który 32 lata temu został założony jako ruch młodzieżowy przez studentów wydziału prawa Uniwersytetu im. Loránda Eötvösa (ELTE), traci poparcie wyborców poniżej 30. roku życia.

– Orbán wie, jak ważne są sieci osobistych kontaktów, budowane w czasach studenckich – mówi mi Dániel Oross, członek zespołu Aktywistów Fiatalok z Węgierskiej Akademii Nauk, który od lat bada preferencje wyborcze młodych. – Jeśli teraz dał tak duże pieniądze na MCC, jego intencje są jasne. Pozyskanie młodych jest ważne, bo to właśnie oni mogą okazać się jęczyzkiem u wagi w wyborach w 2022 r.

Zagrożone poparcie

Naturalnie nie jest tak, że poparcie dla Fideszu spada dramatycznie.

W badaniu przeprowadzonym przez ośrodek badawczy Median po wyborach parlamentarnych w 2018 r. – Fidesz wygrał je z taką przewagą, że trzeci raz z rzędu zdobył większość konstytucyjną – okazało się, że 37 proc. wyborców między 18. a 29. rokiem oddało głos na partię rządzącą. To był dobry wynik, choć najniższy ze wszystkich grup wiekowych. Raził zwłaszcza w zestawieniu z sondażami z poprzednich lat.

Zespół Aktywistów Fiatalok wskazuje, że w pierwszej dekadzie XXI w. Fidesz zagospodarował właściwie całe pokolenie: w 2000 r. popierało go 49 proc. młodych, w roku 2004 – 59 proc., a cztery lata później – 66 proc., przy czym wtedy popularność rządzących socjalistów spadła w tej grupie wiekowej do 18 proc. Powodem były niesławne taśmy Ferenca Gyurcsány, ówczesnego premiera, na których przyznał: „kłamaliśmy rano, nocą i wieczorem”, oraz brutalne rozgonienie protestów antyrządowych przez policję.

Jednak po 2018 r. partia Orbána niespodziewanie straciła w wyborach samorządowych kilka dużych miast, w tym Budapeszt, Eger i Pecz, czyli główne ośrodki uniwersyteckie. Inne istotne miasta studenckie, Segedyn, od prawie dwu dekad jest rządzone przez socjalistów.

Ostatnim zmartwieniem Orbána jest trwająca od końca sierpnia okupacja Uniwersytetu Sztuki Teatralnej i Filmowej (SzFE) w Budapeszcie. Studenci

→ i wspierający ich nauczyciele sprzeciwiają się, jak mówią, przejęciu szkoły przez rząd [patrz „TP” nr 40/2020 – red.].

Najmłodszy wyborcy, którzy urodzili się pod koniec lat 90. i na początku nowego stulecia, nie pamiętają życia innego niż pod władzą Orbána. Obca jest im jego legenda bojownika o wolność sprzed roku 1989, który uwolnił energię swojego pokolenia. Wzruszają ramionami, gdy przypomina im się, że Fidesz był partią młodych demokratów zapatrzonych w Zachód i zaczytanych w liberalnych filozofach. Oni widzą starszego pana, który snuje historie o obronie chrześcijańskiej cywilizacji i zawłaszcza kolejne obszary ich życia.

Wytęczenie ścieżki sukcesu

Wśród studentów Fidesz jest obecnie drugą najpopularniejszą partią (badanie Aktiv Fialalok), tuż po opozycyjnym Momentum, założonym ponad trzy lata temu przez centrowych aktywistów.

– Od kilku miesięcy politycy Fideszu uwodzą młodych, ale nie są w tym wiarygodni. Np. zaczęli mówić, że zrównoważony rozwój i ekologia to nie hasła lewicy, lecz także konserwatystów. Oczywiście nie robią nic, aby wprowadzić je w życie – mówi mi Anikó Paróczai, radna z ugrupowania Momentum w XIX dzielnicy Budapesztu.

Paróczai uważa, że inwestycje w Kolegium Korwina to próba kupienia studentów. – W ten sposób partia władzy chce dostarczać młodym sieć kontaktów i oferty pracy. Tak więc jeśli nawet nie zgadzasz się z Fideszem, trudno będzie ci się oprzeć, jeśli dostaniesz propozycję atrakcyjnej i stabilnej pracy w ministerstwach, sądach albo innych sektorach państwa – mówi Paróczai.

Wartością nauki w Kolegium Korwina są nieformalne relacje. Wykładają tam najlepsi prawnicy, przedsiębiorcy, akademicy i dziennikarze z obu stron barykady oraz wpływowi politycy. Na początku roku akademickiego Tombor zabiera ich wszystkich do swojej winnicy w Tokaju. Po zakończeniu nauki dba, by zostać z absolwentami w kontakcie.

Opowiada nauczyciel z Kolegium: – W MCC nie ma żadnej ideologii. Na spotkaniach z VIP-ami studenci zadają krytyczne pytania. Nie rozmawiam z nimi o polityce, ale mam wrażenie, że są wystarczająco inteligentni i wnikliwi, by

Najmłodszy wyborcy, którzy urodzili się pod koniec lat 90. i na początku XXI wieku,
nie pamiętają życia innego niż pod władzą Orbána.

nie dać się nikomu zmanipulować, bez względu na to, czy chodzi o narrację liberalną czy konserwatywną. Są bardzo niezależni.

– W Fideszu jest skrzydło, które za zagrożenie uważa każdego, kto nie zgadza się całkowicie z partią – kontynuuje wykładowca (zastrzegając sobie anonimowość). – Ale inni uznają takie podejście za marnowanie dobrych ludzi, którzy generalnie należą do kręgu prawicowego albo centrowego. Kolegium Korwina to próba dotarcia do nich. Nie przez indoktrynację, lecz wytęczenie ścieżki sukcesu we wszystkich obszarach życia. Oczywiście może stać za tym nadzieja, że nie będą sympatyzować z obozami, które takiej szansy im nie dały.

Odmladzanie partii

Liderzy Fideszu przekroczyli sześćdziesiątkę albo – jak Orbán – wkrótce ją przekroczą. I powoli robią miejsce dla młodszych. Pokolenie 40-latków zajmuje już fotele ministerialne. Są tu także kobiety, jak Katalin Novák (rodzina) i Judit Varga (sprawiedliwość). Lojalny szef MSZ, 42-letni Péter Sziijártó, to z kolei najbardziej znany wychowanek Fidelitas, czyli młodzieżówki Fideszu, która od ponad 20 lat dostarcza kadry aparatowi partyjnemu.

W tym roku rzecznikzką rządu została inna wychowanka Fidelitas, 33-letnia Alexandra Szentkirályi, a młodsza o trzy lata Zsófia Koncz weszła do parlamentu, uzyskując mandat w miejsce zmarłego ojca. Nominację na sekretarza stanu ds. młodzieży w kancelarii premiera otrzymała Zsófia Rácz, 22-letnia studentka prawa. „Byłam zachwycona twoim listem – pisze mi Rácz w długiej mailowej odpowiedzi na prośbę o rozmowę. – To dobra wiadomość, że są dziennikarze tacy jak ty, którzy interesują się węgierską polityką”. Jednak nie znajduje czasu na spotkanie, bo poświęca „całą uwagę i energię walce z pandemią COVID-19”.

Ale wielu młodych, szczególnie tych, którzy mają doświadczenie życia na Zachodzie, odrzuca wszechobecna polityzacja i rządowa propaganda w mediach. Na nich nie działa straszenie Gyurcsánym i Sorosem. – Nie chcemy mieszać się do polityki. Właśnie o to w tym wszystkim idzie! – mówił mi we wrześniu Mihály Csernai, 23-letni student pedagogiki teatralnej i szef samorządu studenckiego SzFE. – Zależy nam wyłącznie na tym, by ochronić niezależność szkoły. Protestowalibyśmy, gdyby druga strona próbowała zrobić to samo.

W lipcu parlament przyjął ustawę, która przeniosła prawa własności nad uczelniami publicznymi na prywatne fundacje rzekomo po to, żeby zlikwidować państwowy parasol i zreformować przestarzałe programy. Tyle że do rad fundacji, powoływanych nierzadko bez konsultacji z władzami uczelni, delegowano zaufanych ludzi Fideszu albo wręcz jego polityków. SzFE jest jedyną uczelnią, która się zbuntowała.

Co z tym pokoleniem

– Młodzi traktują Fidesz tak, jak my traktowaliśmy Związek Sowiecki – przyznaje z irytacją István Tózsza, profesor geografii z Uniwersytetu Korwina w Budapeszcie. – Są przekonani, że żyją w dyktaturze, co jest absurdem. Brakuje im podstawowej wiedzy historycznej, literackiej i geograficznej. Dodatkowo są manipulowani przez ludzi starszych od nich, niechętnych Fideszowi.

Tózsza przekonuje, że młodzi nie są straceni dla Fideszu. Jego zdaniem po prostu muszą dorosnąć: – Sam byłem liberałem za młodu. Potem człowiek chce rodziny, stabilizacji. W wieku dojrzałym atrakcyjny jest konserwatyzm.

To narracja stale obecna w mediach rządowych. Protestujący z SzFE słyszeli o sobie, że są sterowani przez opozycję i opłacani przez Sorosa. Porównywano ich do komunistycznych bojówkarzy. Po szesznarocznych wyborach, gdy bliscy władzy komentatorzy uznali, że to przez młodych Fidesz stracił Budapeszt, współzałożyciel partii Zsolt Bayer nazwał wchodzące w dorosłość pokolenie „najbardziej ekstremalnym, chorym, zdezorientowanym, zdeprawowanym, zindywidualizowanym w świecie zachodnim”.

Pytam Tózsza, jak to możliwe, że takie pokolenie miałooby wyrosnąć pod okiem Fideszu, który od dekady kontroluje sys-

tem nauczania, narzucając uczniom coraz bardziej prawicową wizję historii i nacjonalistyczne lektury. I dzieli się edukacją z Kościołami (ewangelickim i katolickim), szczególnie na prowincji; tylko w latach 2010-14 liczba szkół kościelnych wzrosła o 68 proc.

– Z USA i Europy Zachodniej przychodzą nowe trendy, które szybko zyskują popularność i robią młodzieży zamieszanie w głowach – ucina profesor.

„Wstydzicie się!”

W podobnym tonie zwolennicy Orbána przekonują, że dziś bycie buntownikiem oznacza sprzeciw wobec Netfliksa, YouTube’a czy Instagrama (na których Fidesz radzi sobie słabo) i publiczne manifestowanie wartości konserwatywnych. Albo wręcz dumy z dokonań władzy. Dóra Zelenka, młoda prawicowa publicystka, zeszłej jesieni ogłosiła manifest pod wymownym tytułem: „Obudźcie się, młodzi!”.

„Wstydzicie się! Macie wszystko! A kiedy głosujecie, przychodzi nienawiść. Jednak, drodzy młodzi, gdyby nie Fidesz i Viktor Orbán, z pewnością nie mielibyście tak godnego pozazdroszczenia życia. Nie mielibyście na nie czasu, bo w wieku 18 lat musielibyście iść do pracy, żeby zapłacić rachunki za gaz, prąd i resztę. Musielibyście pracować na kilka zmian. Tak jak nasi rodzice za czasów Gyurcsány’a” – pisała.

Dziś Zelenka jest gwiazdą Pesti TV, nowego kanału tworzonego dla młodych przez pracowników Pesti-Srácok: prawicowego i bliskiego rządowi portalu internetowego.

– Oglądanie ich to doświadczenie perwersyjne – mówi Dániel Oross z Węgierskiej Akademii Nauk. – Robią wielkie *show* z afer w szeregach opozycji, sugerując, że to główne problemy kraju. Odbiorcą tej telewizji jest twardy zwolennik Fideszu, przekonany, że sprawy toczą się dobrze, tylko opozycja przeszkadza.

Czy to przesłanie dotrze do młodych z dużych miast? – Raczej utwierdzi ich w przekonaniu, że Fidesz to nie ich bajka – uważa Oross.

A czy ma rację, zobaczymy za dwa lata.

© DARIUSZ KAŁAN



Imo w nieformalnym obozowisku Campobello di Mazara, sierpień 2020 r.

Dziś nam trzeba pięciu

TEKST I ZDJĘCIA ANNA MIKULSKA Z SYCYLII

Żyją w szałasach skleconych z płacht i desek, w obozowiskach na obrzeżach sycylijskich miasteczek. Pracują zwykle nielegalnie, ale policja nie robi problemów. Włochy potrzebują taniej siły roboczej.

TRZYDZIESTOLETNI IMO JEST WE WŁOSZACH od czterech lat. Jak inni migranci, przepłynął Morze Śródziemne. Od tego czasu – bez umowy i za najniższą stawkę – pracuje na sycylijskich plantacjach. Mówi, że nie stać go na powrót do rodzinnego Senegalu.

Rozmawiamy w obozowisku koło miasteczka Campobello di Mazara. Gdy Imo tłumaczy, jak wygląda życie robotnika rolnego, dosiada się Amin (imię zmienione). Mężczyzna kuleje – opowiada, że potracił go samochód. Pokazuje dokumenty. Jest w nich wszystko: nazwisko kierowcy, który spowodował wypadek, numer rejestracyjny wozu. Ale nic z nimi nie może zrobić, bo nie ma ubezpieczenia ani pieniędzy na prawnika. Sprawca nie poniósł konsekwencji, o wypadku zapomniano. Został tylko Amin, z kulawą nogą.

Na łasce plantatorów

Imo i Amin to jedni z tysięcy imigrantów zatrudnianych sezonowo – oficjalnie nielegalnie, lecz w praktyce za wiedzą lokalnych władz – we włoskim przemyśle rolniczym. Właściciele plantacji nie obchodzi, co się z nimi dzieje, gdy tygodniami nie ma pracy. Owoce i warzywa, które

zbierają na Sycylii i w południowych Włoszech, trafiają później do europejskich supermarketów. Także do Polski.

Kluczową rolę w zatrudnianiu migrantów odgrywa system nazywany *caporalato*. Pośrednicy (*caporali*), którzy w większości sami są imigrantami, ściągają do pracy kolejne osoby. Otrzymują za to część ich wynagrodzenia. Sami pracują na zlecenie właścicieli plantacji. W praktyce – czasem lokalnej mafii.

– *Caporale* przyjeżdża do nas i mówi: dziś potrzebujemy pięciu. Jutro przyjedzie i zabierze do pracy dziesięcioro. Reszta zostaje – opowiada Ibrahim, którego spotykamy w obozowisku przy miejscowości Cassibile na południu Sycylii. – W ten sposób mijają mi tu kolejne lata. Znamy, którzy zostali w kraju, nie wierzą mi, że tak wygląda moje życie. Są pewni, że w Europie pieniądze leżą na ziemi.

Ibrahim dotarł tu łodzią przez Lampedusę. Przez pierwszych pięć lat pracował na kontrakcie: – Gdy przyjechałem z Gwinei w 2011 r., ośrodek dla migrantów był przepiękny. Włochy dawały możliwość legalnej pracy na plantacjach, by się nas pozbyć z tych ośrodków. Ale gdy umowy się kończyły, kazano nam załatwić sobie



→ prawnika, żebyśmy mogli je przedłużyć. A na niego nikogo nie stać – opowiada, siedząc na plastikowym krześle. Za nim jego szałas, zbudowany z desek, koców i płacht. Takich prowizorycznych domów w obozowisku jest kilkadziesiąt, ale większość pustych – imigranci sezonowo przenoszą się do innych regionów Włoch.

Pracownikami plantacji zostają najczęściej ci, którzy uciekają z ośrodka azylowego lub latami oczekują na rozpatrzenie wniosków o pobyt. Ibrahim pracuje bez dokumentów. Nigdy jednak nie miał problemów z policją. Panuje tu ciche przyzwolenie na obecność imigrantów – tak długo, jak godzą się na warunki pracy.

Caporalato się opłaca

Pierwszym, który problem nagłośnił, był Yvan Sagnet. Przyjechał do Włoch na studia inżynierskie. Gdy skończyło mu się stypendium, zaczął dorabiać przy zbiorach. W 2011 r. stanął na czele pierwszego masowego strajku imigranckich pracowników we Włoszech. Bunt trwał dwa miesiące, wzięło w nim udział tysiąc osób.

Strajk był początkiem działalności NoCap: organizacji, której założycielem i prezesem jest Yvan. Jej celem jest walka z wyzyskiem obcokrajowców na plantacjach. Są wśród nich migranci z Maroka i Afryki Subsaharyjskiej, jak i ze wschodniej i środkowej Europy, w tym Polacy.

– Dzięki NoCap problem został upubliczniony, ale wyzysk trwa nadal. Ludzie

żyją w koczowiskach kontrolowanych przez *caporali*, bez bieżącej wody. Pracują po 10-12 godzin, za 2-3 euro za godzinę. Sami muszą płacić 5 euro za transport na miejsce. Pośrednicy dostają połowę ich wypłaty – wylicza Yvan.

W dużej mierze dzięki tamtemu strajkowi od 2016 r. *caporalato*, jako forma wyzysku, jest oficjalnie uznawane za proceder nielegalny. W tym kontekście we Włoszech mówi się też o współczesnym niewolnictwie.

Na stronie internetowej polskiej fundacji La Strada, zajmującej się zwalczaniem wyzysku, czytamy: „Handel ludźmi w celu zmuszania do pracy/praktyki niewolniczej/obozy pracy (...) wiąże się z następującymi działaniami: ciągłym przekraczaniem czasu pracy, złymi warunkami zamieszkania, niską płacą lub jej całkowitym brakiem, nieprzestrzeganiem prawa pracy, brakiem ochrony socjalnej, brakiem umowy i ubezpieczenia, ograniczeniem lub pozbawieniem wolności, pozbawieniem dokumentów”. Wszystko to znajdziemy we włoskim przemyśle rolniczym.

– Państwowom opłacają się nielegalni pracownicy. Co prawda nie płacą podatków, ale nie są też ubezpieczeni. Nic nie kosztują, a produkują. W dodatku wielu z nich uważa, że tak po prostu ma być – mówi Irena Dawid-Olczyk, prezeska La Strady.

Skąd się bierze wyzysk

Według FLAI-CGIL, włoskiego związku zawodowego pracowników rolnych,

nawet 100 tys. z nich, głównie obcokrajowców, jest szantażowanych w miejscu pracy i żyje w tragicznych warunkach. Dochodzenie przeprowadzone w 2017 r. w związku ze śmiercią sudańskiego pracownika na plantacji na południu kraju ujawniło powiązanie dwóch największych włoskich producentów przetworów pomidorowych – Cirio i Mutti – z dostawcami wyzyskującymi pracowników.

– Ludzie godzą się na takie warunki pracy ze strachu, ale też z braku alternatywy. Nie tylko nieuregulowany status, lecz też kryzys i rasizm sprawiają, że trudno jest znaleźć inną pracę i żyć normalnie – wyjaśnia Yvan Sagnet.

Jego zdaniem system produkcji działa jak naczynia połączone. Konsument chce kupować jak najtaniej. Jeśli supermarket chce zaoferować niskie ceny, musi kupować tanio od rolnika. Rolnik jest zmuszony sprzedawać warzywa jak najtaniej. Musi ciąć koszty, ale prąd, woda czy benzyna mają ustalone ceny, niezależne od niego. Na czym więc oszczędzać? Na pracownikach, którzy nie mają wyboru. Tak rodzi się wyzysk.

Pytamy, czy dla dyktatu niskich cen jest inne rozwiązanie. Yvan Sagnet: – Po pierwsze, chodzi o zmianę myślenia konsumentów. Po drugie, trzeba informować o tym, dlaczego możemy kupować tak tanio i kto za to płaci cenę. Wiem, że etyczne produkty są droższe, ale jeśli zaopiebowanie na nie będzie rosła, ceny spadną.



W przetwórni La Vita Bio w Chiaramonte Gulfi. Sycylia, sierpień 2020 r.

Na sąsiedniej stronie: plantacje pomidorów w południowej Sycylii. Włochy, sierpień 2020 r.

10 centów na butelce

Jest jeszcze jeden sposób na obniżenie cen produktów wytwarzanych w etyczny sposób: skrócenie łańcucha produkcji.

– Jeśli zapytasz Yvana, ile firm produkujących sos pomidorowy na Sycylii ma certyfikat NoCap, odpowie, że tylko jedna. To my – mówi Lisa Persiani z firmy La Vita Bio. – W 2019 r. do pracy przy zbiorach zatrudniliśmy 15 osób. Gdyby dołączyły inne firmy, moglibyśmy zapewnić legalne zatrudnienie 300 pracownikom.

Firma produkuje przede wszystkim sosy pomidorowe, ale też pasty warzywne i pesto. Przetwory opierają się na własnych uprawach. Warzywa są zbierane rano i szybko docierają do przetwórni, gdzie zaczyna się produkcja.

Pytamy Lisę o współpracę z NoCap. – Yvan najpierw znalazł kupców, czyli hipermarkety, które wierzą w ten projekt i tym samym tworzą i polecają linie produktów wolne od wyzysku. NoCap znajduje dom i transport dla pracowników oraz wsparcie w zdobyciu dokumentów. My po prostu dajemy im uczciwe wynagrodzenie. Kto za to wszystko płaci? Konsument. Decyduje jego wybór w sklepie – tłumaczy Lisa.

Projekt zaczął się w Puglii, regionie południowych Włoch słynącym z produkcji rolnej i borykającym się z problemem nielegalnej pracy. W podobnej sytuacji jest teraz Sycylia.

Walka cenowa, jak przekonuje Lisa, odbywa się między dużymi producentami. Różnica 10 eurocentów na bu-

telce pozwala zapłacić za pomidory i dać sprawiedliwą pensję pracownikom. Ale żeby wszystko działało, konsument musi chcieć zapłacić trochę więcej za to, że wierzy w pewną ideę, a supermarket, z tego samego powodu, zarobić trochę mniej.

– Naprzeciwko nas siedzibę ma firma, która produkuje rocznie 15 mln butelek, my produkujemy mniej niż milion. Nie jesteśmy dla nich konkurencją, tworzymy za to alternatywę dla wielkich producentów – tłumaczy Lisa Persiani.

La Vita Bio jest jedyną firmą na Sycylii, która gwarantuje, że jest wolna od *caporalato*. Nie oznacza to, że wszyscy pozostali producenci są uwikłani w nielegalną współpracę z pośrednikami. Niektórzy pracownicy będą mieć szczęście i trafią na godne warunki pracy. Inni nie.

Szukając lepszego życia

Gospodarczy kryzys wywołany epidemią zmusił włoski rząd do poszukiwania sposobów, by zatrudnić więcej osób w rolnictwie. Od kilku miesięcy producenci mogą zatrudnić migrantów z nieuregulowanym statusem, co otwiera im drogę do legalizacji pobytu.

Korzysta z tego La Vita Bio. Gdy firma może przyjąć do pracy nowe osoby, NoCap zajmuje się organizacją dokumentów. Dbą też o godne warunki życia pracowników.

W miejscowości Vittoria jest La Casa Evangelica Valdese di Vittoria – dom prowadzony przez Kościół ewangelicki,

w którym za darmo mieszka niemal stu imigrantów oczekujących na decyzję w sprawie legalizacji ich pobytu lub przyznania statusu uchodźcy. Kościół ewangelicki współpracuje z NoCap i La Vita Bio, dzięki czemu imigranci otrzymują całonocną pomoc w zdobyciu dokumentów, mieszkania i pracy.

– Sposób przyjmowania uchodźców i migrantów w naszym kraju się nie sprawdza. Jeśli ludzie mieszkają w przeznaczonych ośrodkach, gdzie jest tylko jeden tzw. mediator kulturowy, to nie ma szans, żeby mogli się swobodnie wyrazić – opowiada Andrea Gentile z Domu Ewangelickiego. – Poza tym to niewiarygodne, że nie istnieje dla nich legalny sposób na dostanie się do Europy.

Andrea twierdzi, że w tym momencie żadna włoska ambasada w Afryce nie pozwala ludziom przyjechać tutaj legalnie. – Dla nas nie ma różnicy między tzw. migrantem ekonomicznym a uchodźcą – przekonuje. – Uważamy, że prawo do emigracji w poszukiwaniu lepszego życia powinni mieć także ci, którzy uciekają przed ubóstwem spowodowanym kryzysem ekonomicznym czy zmianami klimatycznymi. Nikt nie opuszcza swojego kraju, jeśli może żyć w nim godnie.

Marzenie Edwina

Jednym z mieszkańców domu w Vittorii jest Edwin, 25-latek z Nigerii. Po półtora roku od przybycia do Włoch dostał ochronę międzynarodową. Mówi, że jego koledzy czekają po dwa-trzy lata.

Oczekując na decyzję, cały czas pracował, głównie przy zbiorach. – To ciężka praca, spędzasz długie godziny w upale. Ale ludzie nie mają wyboru, albo idą pracować na pole, albo nie pracują wcale – stwierdza Edwin. I dodaje: – Gdy mam umowę, znam swoje prawa, jestem traktowany jak obywatel.

Dzięki kursom językowym Edwin dobrze mówi po włosku. Zarabia też na tyle, aby co miesiąc wysyłać pieniądze swojej rodzinie do Nigerii.

Edwid ma pewne marzenie: – Nie zamierzam pracować całe życie przy zbiorach. Chcę ułożyć sobie życie we Włoszech, założyć sklep z afrykańskimi produktami spożywczymi. Mam nadzieję, że się uda.

© ANNA MIKULSKA

Współpraca: BARTOSZ RUMIENIŹYK

Tekst powstał dzięki grantowi Minority Rights Group International.



PABLO E. PIOVANO / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Po ośmiu miesiącach surowych restrykcji emocje w Argentynie eksplodowały wraz z wiadomością o śmierci Diego Maradony. Tłumy czekały w kolejce do pałacu prezydenckiego w Buenos Aires, by oddać hołd piłkarzowi. 26 listopada 2020 r.

Stan wyczerpania

MAGDALENA BARTCZAK
Z SANTIAGO DE CHILE

Ameryka Południowa to region świata wyjątkowo mocno dotknięty pandemią. Chorują ludzie, a wraz z nimi całe systemy państwowe.

W DNIU, GDY ODSZEDŁ NIEŚMIERTELNY Diego Maradona, nikt w Argentynie nie wątpił, że pożegnają go tłumy. Piłka nożna zawsze była tu świętością, a on bogiem. Trumnę z ciałem legendarnego piłkarza wystawiono w pałacu prezydenckim, do którego od świtu ustawiały się wielokilometrowe kolejki. Po południu doszło do zamieszek: na wieść o zamknięciu pałacu zrozpaczeni kibice zaczęli forsować

barierki, aby znaleźć się jak najbliżej drzwi.

Niespokojny był też kondukt żałobny, odprowadzający „boskiego Diega” na cmentarz. Towarzyszyły mu auta, motocykle i biegnący za karawanem ludzie. Próbowali dotknąć trumny, rzucali kwiaty, szaliki i piłkarskie koszulki.

Mariana, młoda architektka mieszkająca z mężem i dziewięcioletnim synem w Buenos Aires, oglądała fragment relacji z pogrzebu w telewizji. Ostatnie pożegnanie Maradony transmitowały wszystkie argentyńskie stacje, a wieści o pandemii i pogłębiającym się kryzysie na chwilę zeszły na drugi plan.

Gdy Mariana o tym mówi, w jej melodyjnym głosie słychać ulgę. Potem jednak głęboko wzdycha i opowiada o własnej prywatnej żałobie. We wrześniu odszedł jej dziadek, którego zabrał koronawirus. – Nie mogliśmy go odpowiednio pożegnać – wspomina. – Pogrzeb skromny, na cmentarzu było nas tylko pięcioro. To w ogóle nie było w jego stylu, dziadka wszyscy znali jako duszę towarzystwa.

Wieczna kwarantanna

W październiku w Buenos Aires zaczęto łagodzić większość obostrzeń. Ale wcze-

śniej obowiązywał tu *lockdown*, który Argentyńczycy określili ironicznie „wieczną kwarantanną” – *cuareterna*. Restrykcje dotyczące opuszczania domów i przemieszczania się (tylko za przepustką) obowiązywały w stolicy oraz w całej prowincji, zamieszkaną przez ok. 40 proc. społeczeństwa, od 11 marca aż do końca października. W międzyczasie były przedłużane przez prezydenta Alberta Fernández 15 razy.

Właśnie to, zdaniem Mariany, było najtrudniejsze. Ciągłe poczucie zawieszenia i niepewność. Oraz świadomość, że zamknięcie gospodarki tylko trochę pomogło powstrzymać rozwój pandemii, bo w lipcu wskaźniki zakażeń i tak poszybowały. Ten wzrost tłumaczy się m.in. poczuciem zmęczenia restrykcjami: po paru miesiącach Argentyńczycy mieli dość zamknięcia, a proporcjonalnie do przedłużania obostrzeń przybywało osób omijających prawo. Wiele z nich nie miało innego wyjścia: podobnie jak miliony mieszkańców tego regionu, pracują nieformalnie, bez umów i ubezpieczenia, a możliwość funkcjonowania w izolacji jest w takich okolicznościach fikcją.

W związku z rosnącym rozluźnieniem społecznym, ograniczonym testowaniem

i brakiem strategii śledzenia kontaktów, sytuacja wymknęła się spod kontroli. W najbardziej krytycznym czasie odsetek pozytywnych testów sięgał tu nawet 60 proc. Według oficjalnej statystyki dotąd wirusem SARS-CoV-2 zaraziło się ponad 1,4 mln, z czego zmarło prawie 39 tys. Argentyńczyków.

– Teraz jest lepiej, ale był czas, że już nie dawaliśmy rady. Przede wszystkim finansowo i psychicznie. Zdalna nauka naszego synka trwa niemal od początku roku szkolnego, od połowy marca, gdy zamknęły szkoły. W maju mąż stracił pracę i dopiero niedawno znalazł dorywcze zlecenia, więc przez kilka miesięcy byliśmy na moim utrzymaniu – mówi Mariana, która od prawie dziewięciu miesięcy pracuje z domu.

Los jej męża podzieliły niemal 4 mln ludzi (w 45-milionowym kraju). Według danych Argentyńskiej Izby Usług i Handlu od końca marca zamknęło się lub ogłosiło upadłość dwa razy więcej małych i średnich przedsiębiorstw niż podczas kryzysu, który dotknął kraj w 2001 r. Ekonomści szacują, że do końca roku co szósty mieszkaniec kraju znajdzie się na granicy ubóstwa.

W całej zresztą Ameryce Południowej pandemia uderzyła w gospodarkę z siłą tsunami: z danych organizacji CEPAL wynika, że pracę straciło dotąd ponad 47 mln ludzi (na 423 mln mieszkańców kontynentu). Oraz że region będzie potrzebował co najmniej dekady, aby odrobić gospodarcze straty z tego roku.

Zmęczone demokracje

Nawiązując do aktualnej kondycji Ameryki Południowej, hiszpański politolog Manuel Alcántara Sáez ukuł określenie „zmęczonych demokracji” (*democracias fatigadas*) – wskazując, że tutejsza demokracja była głęboko wyczerpana jeszcze przed nadejściem pandemii, co uczyniło ją wrażliwą na związane z nią problemy.

W przypadku Argentyny kryzys stanowi kontynuację zapaści, w jaką wpadła ona już wcześniej. Rządzący do grudnia 2019 r. prezydent Mauricio Macri pozostawił po sobie gospodarkę w ruinie, boleśnie niedofinansowany system opieki zdrowotnej i sfrustrowane społeczeństwo, które często wychodziło na ulice, protestując przeciw rządowi.

Doświadczanie masowych i wyczerpujących emocjonalnie demonstracji stało się zresztą wspólne dla wielu południo-

woamerykańskich krajów. W 2019 r. obok Argentyńczyków protestowali też mieszkańcy Boliwii, Ekwadoru, Kolumbii i Chile. Powody zwykle były podobne: buntowano się przeciw korupcji i bezkarności polityków, niechcianym reformom, pogłębiającym się nierównościom. W niektórych wypadkach manifestacje trwały miesiącami, stanowiąc potężny i trudny do poskromienia wybuch kumulowanego od lat społecznego niezadowolenia i gniewu.

Ten stan zmęczenia doskonale widać w Chile, pokiereszowanym przez kryzys trwający od października 2019 r. Demonstracje, zamieszki i starcia protestujących z brutalną policją doprowadziły do zmian (m.in. referendum konstytucyjnego w październiku tego roku, w którym znacząca większość głosujących opowiedziała się za nową ustawą zasadniczą), ale też do politycznego chaosu i ekonomicznej stagnacji. Podłamały także – wątpliwe już wcześniej – zaufanie Chilijczyków do rządu prezydenta Sebastiana Piñery.

W pandemicznych miesiącach zaufanie wobec polityków jeszcze bardziej zmalało, czego efektem była również dymisja ministra zdrowia Jaimego Mañalicha, oskarżonego o zatajanie liczby śmiertelnych ofiar COVID-19. I choć w ostatnich miesiącach sytuacja sanitarna wydaje się być w Chile pod kontrolą – testów przeprowadza się najwięcej w Ameryce Łacińskiej, liczby zgonów znacznie spadły, a od września dzienna suma zakażeń nie przekracza dwóch tysięcy – to widać, że społeczne zaufanie trudno będzie odbudować.

Spółeczeństwo na lodzie

– Ten rok zapowiadał się bardzo owocnie. Byłem współautorem scenariusza serialu i pracowałem przy popularnym spektaklu, z którym w 2019 r. zjechaliśmy całe Chile. Wyglądało na to, że to będzie mój najbardziej pracowity czas od dawna – opowiada Nicolás. Aktor, scenarzysta i asystent reżysera, dziś nie pracuje w żadnym ze swoich zawodów. Od 16 marca kina, teatry, sale koncertowe i muzea są w Chile zamknięte; wstrzymano wiele produkcji i innych projektów kulturalnych. Nieliczne placówki zaczęto otwierać na nowo dopiero pod koniec listopada.

– Z produkcji serialu zrezygnowano jeszcze przed pandemią. A potem, gdy zamknięto teatry, było jasne, że nic już nie zagramy. Z dnia na dzień zostałem

bez pracy. Moja partnerka na szczęście dalej jest zatrudniona jako scenarzystka i mieliśmy oszczędności, które pomogły nam przetrwać. Ale było ciężko, z dwójką dzieci i poczuciem niepewności jutra. W dodatku moi rodzice zakazili się wirusem i spędzili niemal dwa miesiące w szpitalu. Nie dość więc, że straciłem pracę, to bardzo bałem się o ich życie – mówi Nicolás, a jego łagodna, uśmiechnięta twarz poważnieje.

– Na szczęście oboje z tego wyszli, a ja w maju znalazłem coś, z czego utrzymuję się do dziś – Nicolás ciągnie swoją opowieść. – Znajoma, która prowadzi sklep z rzeczami do domu, dekoracjami i dodatkami, zaproponowała mi pracę przy dostarczaniu produktów klientom. Potem poleciła mnie koleżance, ona poleciła mnie dalej. I tak to wszystko zaczęło się kręcić, stworzyłem własną aplikację do zamówień „*Actor de reparto*” [po hiszpańsku oznacza to „aktora drugoplanowego” i zarazem „aktora-doręczyciela” – red.]. Pomogłem też paru znajomym aktorom, którzy tak jak ja zostali na lodzie. Teraz nie mogę się opędzić od klientów i na tyle tę pracę polubiłem, że nie wykluczam pozostania w tym fachu. A poza tym pracuję nad filmem, który kręcimy w domu. Będzie to więc typowa produkcja z czasów pandemii – dodaje już z uśmiechem.

Poza kulturą, która w skrajnie neoliberalnym systemie chilijskiej gospodarki nie jest i nigdy nie była dla władzy priorytetem, największą gospodarczą ofiarą pandemii stała się turystyka. Kraj pozostawał zamknięty dla cudzoziemców od 16 marca do 23 listopada, a przemieszczanie się między niektórymi regionami nadal jest ograniczone. Pracę straciły tym samym tysiące ludzi: linia lotnicza LATAM znalazła się na skraju upadłości, wiele firm autokarowych i agencji turystycznych przestało istnieć, hotele opustoszały. Niektóre z nich zamieniono w tzw. rezydencje sanitarne dla osób zakażonych.

Według oficjalnych danych w Chile dotąd zakaziło się 552 tys., a zmarło 15 tys. osób.

Rewolta w środku zarazy

Pandemia skupiła w sobie jak w soczewce problemy, z jakimi Chile zmaga się od lat. Paradoksalnie poszła tu ramię w ramię z rewoltą, uzasadniając wiele postulatów demonstrantów. Z kolei w sąsiednim Peru stała się jednym z powodów, dla których ludzie wyszli na ulice. Wystrzyżła

→ bowiem konflikt społeczny, który wybuchł niedawno w tym andyjskim państwie.

– To największe protesty w naszej historii. Niewykluczone, że gdyby nie covid, nigdy by ich nie było – opowiada Paul, dziennikarz mieszkający w stołecznej Limie. Ogromna i gęsto zabudowana metropolia stała się jednym z najmocniej dotkniętych przez wirusa miejsc w 32-milionowym Peru, gdzie według oficjalnych danych na COVID-19 zmarło 36 tys. ludzi.

– Znaleźliśmy się w sytuacji niespotykanego wcześniej stresu. Głównie z powodu niewydolności służby zdrowia, najbardziej surowych restrykcji na kontynencie i rosnącego kryzysu – tłumaczy Paul. – Ale pomimo tego wszystkiego mieliśmy wrażenie, że rząd się o nas troszczy. Martín Vizcarra był najpopularniejszym prezydentem od dekad, cieszył się zaufaniem, które w tych miesiącach jeszcze wzrosło. Pomiedzy nim a społeczeństwem wytworzyła się więź, którą porównałbym do ojcowskiej relacji. Sytuacja była zła, ale czuliśmy, że władza ma przynajmniej dobre intencje.

Kiedy więc 9 listopada prezydenta odsunięto od władzy pod zarzutem podejrzenia o korupcję, wielu Peruwianczyków potraktowało ten *impeachment* jako zamach stanu – i postanowiło mu się sprzeciwić. Szacuje się, że w protestach wzięło udział 4 mln ludzi, a trwały one ponad trzy tygodnie. W tym burzliwym czasie dwukrotnie doszło do zmiany głowy państwa: odwołanego przez parlament prezydenta zastąpił Manuel Merino, on zaś po paru dniach ustąpił na rzecz Francisca Sagastiego, należącego do jedynej partii, której posłowie głosowali wcześniej przeciw odwołaniu Vizcarrę. Tymczasowy



Protesty przeciwko rządowi Sebastiana Piñery. Santiago de Chile, 4 września 2020 r.

prezydent ma sprawować władzę do najbliższych wyborów, zaplanowanych na kwiecień 2021 r.

Gdy pytam Paula o doświadczenie pandemii, nie pozostawia on złudzeń, że w jego ojczyźnie, podobnie jak w większości państw regionu, ma to ogromny związek z klasą społeczną, do jakiej się należy: – Wiem, że żyję w społecznej bańce. I mam ten luksus, że mogę pracować, nie wychodząc z domu. Znam w moim środowisku osoby, które straciły pracę, ale wiem, że większość ludzi ucierpiała dużo bardziej. Nie mają oszczędności czy innych form wsparcia pozwalającego przetrwać ten czas.

– Zresztą różne inne sytuacje związane z pandemią też pokazują siłę społecznych przywilejów – dodaje dziennikarz. – Wystarczy porównać, jak kontroluje się przestrzeganie zakazu zgromadzeń w *barrios altos* [dzielnicach zamieszkałych przez wyższą klasę średnią – red.] oraz w *barrios marginales* [uboższych częściach miasta]. W tych pierwszych policja nie interweniuje niemal wcale, nawet przy najbardziej hucznych imprezach. A w tych drugich egzekwuje prawo z całą swoją bezwzględnością.

Zmiany na horyzoncie

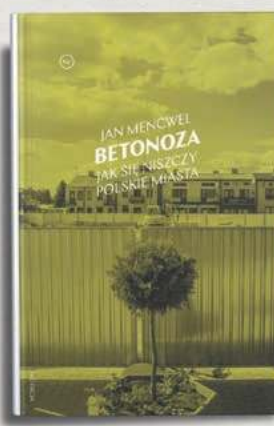
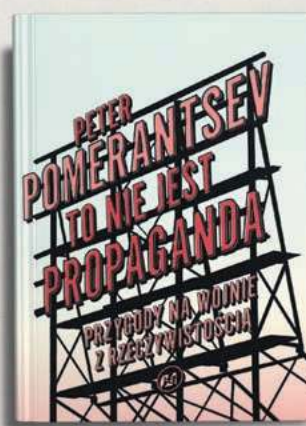
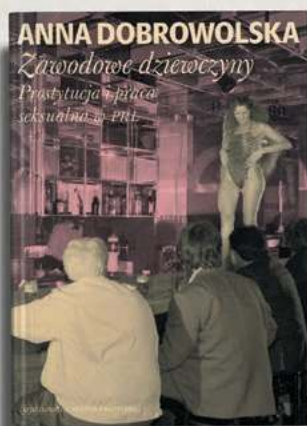
Dla Peru, tak jak dla całego kontynentu, najtrudniejsza pod względem rozwoju pandemii była zima, która na południowej półkuli trwa mniej więcej od końca czerwca do końca września. Wraz z nastaniem cieplejszych miesięcy w większości państw zaczęło się luzowanie restrykcji. Choć teraz trwa debata, kiedy nadejdzie druga fala i jak mocno uderzy.

Taka dyskusja pojawiła się ostatnio również w Brazylii – drugim po USA kraju świata, gdzie na COVID-19 zmarło najwięcej ludzi (w Brazylii to 174 tys.). Możliwe, że rząd prezydenta Jaira Bolsonaro, lekceważącego wirusowe zagrożenie i sprzeciwiającego się obostrzeniom, zapłaci za ten dramat polityczną cenę. Sygnał spadku poparcia już widać: w wyborach samorządowych, których druga tura odbyła się 29 listopada, kandydaci z prezydenckiej formacji ponieśli klęskę. „Obskuranci nie mają przed sobą przyszłości. Nasze miasto postawiło na umiarkowanie i wiarę w naukę” – powiedział w pierwszym wystąpieniu po swojej reelekcji Bruno Covas, burmistrz São Paulo z Brazylijskiej Partii Socjaldemokratycznej i zarazem główny przeciwnik Bolsonaro w sporze o podejście do epidemii.

Tymczasem prezydent Brazylii idzie śladem Donalda Trumpa i utrzymuje, że wybory sfalszowano. I choć trudno oceniać, jakie będą kolejne etapy tej rozgrywki, jedno jest pewne: nie można wykluczyć, że ten trudny rok doprowadzi do ważnych politycznych przetasowań, a Bolsonaro powtórzy kiedyś los swego sprzymierzeńca z Waszyngtonu.

© MAGDALENA BARTCZAK

REKLAMA



→ WYDAWNICTWO KRYTYKAPOLITYCZNA.PL

znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja i dobrych księgarniach



Ulicą Świętojańską przechodzi pochód ze zwłokami Zbigniewa Godlewskiego, który zginął w okolicy przystanku SKM Gdynia Stocznia, 17 grudnia 1970 r.

EDMUND PEPLIŃSKI / PAP

GRUDNIOWE SALWY

17 grudnia 1970 roku wczesnym rankiem babcia zbudziła moją mamę, najstarszą z rodzeństwa. „Strzelają, trzeba kupić chleba” – powiedziała.

JAN SZKUDLIŃSKI

PÓŁ WIEKU TEMU PRZYSTANEK SZYBKIEJ Kolei Miejskiej Gdynia Stocznia był pułapką.

Torowisko w tym miejscu rozlewa się szeroko. Aby wydostać się z peronu, trzeba wejść schodami na długi pomost wznoszący się nad trakcją. Z pomostu zejście możliwe jest tylko na jego krańcach: z jednej strony schodami na ulicę, która w 1970 r. nosiła nazwę Czerwonych Ko-

synierów (dziś Morska), a z drugiej na przedwojenny wiadukt drogowy, którym ulica Marchlewskiego (dziś Janka Wiśniewskiego) – przechodząca potem w ulicę Czechosłowacką (dziś al. Solidarności) – prowadziły ku odległej o 500 metrów bramie Stoczni im. Komuny Paryskiej. Codziennie rano szły tędy tysiące ludzi, dowożonych kolejkami SKM. Poranną zmianę zaczynali o szóstej.

Także peron był zwykle zatłoczony: przystanek był wówczas miejscem, gdzie wysiąść musiał każdy – właśnie tu zmieniło się wówczas napięcie prądu zasilającego kolejki i pasażerowie pragnący podróżować dalej musieli się przesiadać.

Tak więc w zwykły dzień roboczy od strony Wejherowa i od strony Gdyni Głównej na peron z obu stron wjeżdżały co kilka minut zatłoczone skład

→ z których wysiadali wszyscy pasażerowie. Większość wchodziła po schodach na kładkę, by skierować się ku stocznii. Pozostali przechodzili na drugą stronę peronu, oczekując na dalszą podróż.

Jednak 17 grudnia 1970 r., między piątą a szóstą rano, było inaczej. Liczba ludzi na peronie i pomoście nieustannie rosła, gdyż kierujący się ku swemu zakładowi stocznioyzy za wiaduktem napotykali kordon żołnierzy i wozów bojowych. Było jeszcze całkiem ciemno, więc z peronu wojskowa blokada nie była dołkownie widoczna.

A wojska nie brakowało: kordon wokół stoczni utworzył tego ranka 32. Pułk Zmechanizowany, przerzucony tu z Kołobrzegu. Łącznie kilkadziesiąt czołgów i wozów pancernych oraz kilkuset żołnierzy z ostrą amunicją. Tłoczący się ludzie nie mieli możliwości się wycofać, zbliżali się więc coraz bardziej ku kordonowi i czołgom. Wojsko wzywało do zatrzymania się. Wkrótce padły strzały – i padły pierwsze ofiary w Gdyni.

Fasada i kulisy

Skąd w ogóle wojsko przed stoczną? Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy cofnąć się o kilkanaście dni.

Scentralizowana i zideologizowana gospodarka PRL przechodziła w końcu lat 60. kolejny kryzys. Dwa lata nieurodzajów doprowadziły do spadku produkcji żywności. W normalnych warunkach mechanizmy rynkowe pozwoliłyby zrównoważyć tę różnicę. Jednak w centralnie planowanej gospodarce PRL wszystkie decyzje skupiały się w Warszawie, na biurku Władysława Gomułki, pierwszego sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Władający autorytarnie krajem Gomułka dopiero co osiągnął, jak pisze historyk Jerzy Eisler, wielki dyplomatyczny sukces: oto po trudnych negocjacjach 7 grudnia 1970 r. podpisano w Warszawie układ między PRL a Republiką Federalną Niemiec. Zachodnioniemiecki kanclerz Willy Brandt uznawał swym podpisem powojenne granice Polski. W tej sytuacji Gomułka czuł się wystarczająco pewnie, by wprowadzić w życie drastyczną podwyżkę cen żywności.

Dziś wydaje się absurdem, że władze państwa zajmują się wysokością cen w sklepach. W PRL tak to jednak działało. A konkretniej, tak miało działać w teorii. Bo mimo tysięcy referatów, rapor-

tów i wniosków uchwalanych na kolejnych posiedzeniach partyjnych, uparcie działać nie chciało. Polacy żartowali, że w normalnej gospodarce zbiera się plony, a w gospodarce socjalistycznej zbiera się plenium (obrazy władz partyjnych).

Tymczasem w ściśle cenzurowanym i niemal całkowicie upaństwowionym dyskursie publicznym malowano obraz krajiny mlekiem i miodem płynącej. Ledwie w ostatni piątek przed ogłoszeniem podwyżki gdański „Dziennik Bałtycki” prezentował statystyczne dowody na to, że „mimo wielu – czasem poważnych – trudności występuje wyraźna tendencja ciągłej poprawy warunków życiowych”. Wśród tych dowodów przytoczono np. spadek „wskaźnika zagęszczenia izb mieszkalnych” z 1,38 do 1,34 osoby na pomieszczenie.

Taka propaganda coraz bardziej odbiegała od realiów. Własne mieszkanie było trudne do zdobycia, wymagało zapisania się do spółdzielni mieszkaniowej i oczekiwania na przydział, oparty na niejasnych zasadach. Zakupy żywności wymagały stania w kolejkach.

Obniżka, czyli podwyżka

Ogłoszenie podwyżki pojawiło się w sobotnich wydaniach gazet – po to, aby ludzie nie mogli od razu wykupić towaru po starych jeszcze cenach.

W „Dzienniku Bałtyckim” datowanym na 13-14 grudnia zamieszczono je na pierwszej stronie. Oczywiście w tekście nie mówiono o „podwyżce”, lecz o „zmianie cen detalicznych niektórych artykułów spożywczych i przemysłowych”. I tak czytelnicy mogli dowiedzieć się, że od poniedziałku zapłacą o 19,2 proc. mniej za radia przenośne i samochodowe, o 10,3 proc. mniej za maszyny do szycia, o 21 proc. mniej za magnetofony.

Kontynuowany na drugiej stronie, komunikat głosił jeszcze więcej pozytywnych wieści: oto o 22 proc. potanieć miało obuwie („niektóre rodzaje kozaczków ze skaju”), a rajstopy elastyczne o 30 proc. Nie zapomniano o panach: o 38 proc. spadała cena żyletek Polsilver. Listę zamyka papa asfaltowa (minus 26,6 proc.). Razem obniżka cen objąć miała 40 grup towarów.

Potem nastąpiły wieści mniej przyjemne. Oto na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem władza podnosiła ceny mięsa średnio o 17,6 proc., ryb o 11,7 proc., dzemów o 36,8 proc., maki o 16 proc., pieczywa o 12 proc., makaronu

o 15,3 proc. Lista wymienionych artykułów spożywczych liczy 14 pozycji, nie które rozbito na podrodzaje.

U progu zimy podnoszono też ceny drewna, węgla i koksu. A także ceny jakościowych tekstyliów i skózanego obuwia („niektórych rodzajów”, jak pocieszano). Licząc 46 pozycji listę grup drożących towarów zamyka pasta do zębów Nivea i zasypka dla dzieci (wzrost o 15,7 proc.).

Komunikat opatrzone komentarzami. Deklarowano więc zasiłki dla najbiedniejszych i umorzenie spłat ostatnich rat w przypadku przedmiotów nabytych, jak byśmy to dziś nazwali, na kredyt. Deklarowano: „Kwota podwyżek cen tylko w nieznacznym stopniu przewyższa sumę obniżek cen i korzyści ludności [rozstrzelenie oryginalne – red.] z tytułu dodatków do zasiłków rodzinnych”.

Słowem: obywatele nie mieli się czego obawiać. Ani oburzać, bo, jak głosił komunikat: „Przewidywana zmiana struktury konsumpcji już w końcu roku 1971 spowodować powinna pełne zbilansowanie strat i korzyści ludności związanych z obecną zmianą cen detalicznych”.

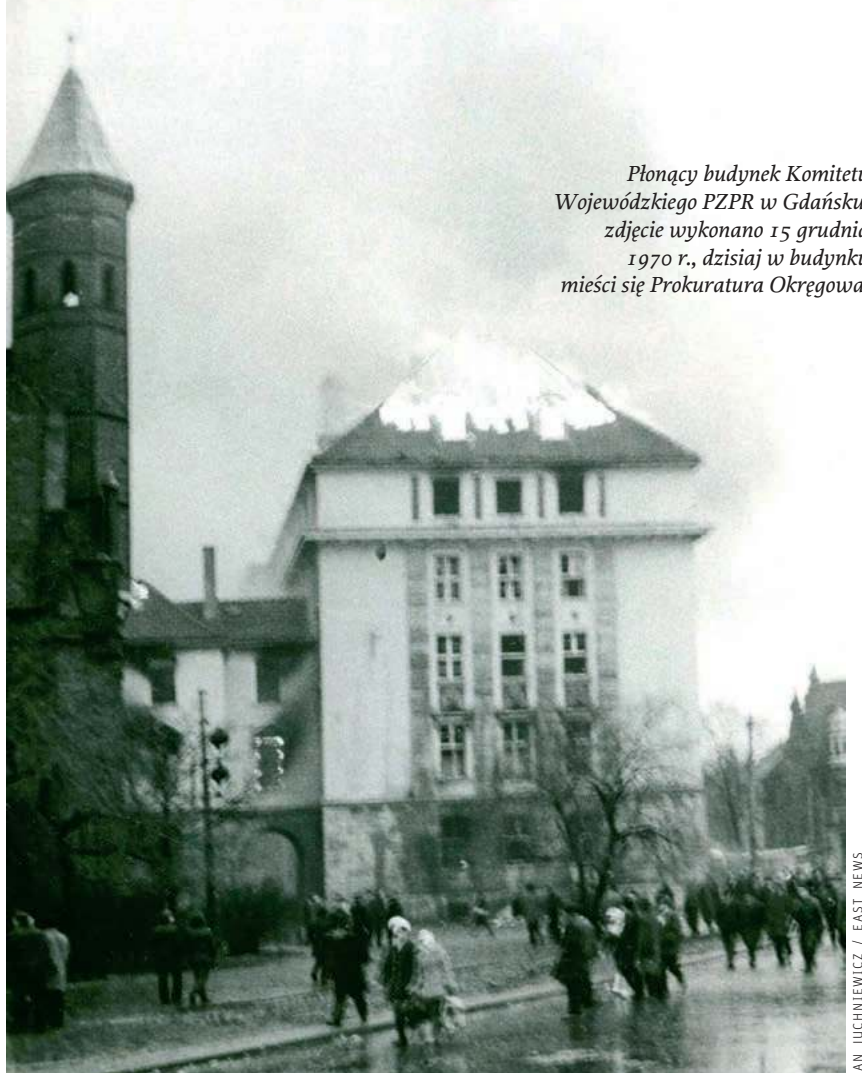
„Mazurek” i „Międzynarodówka”

Obywatele jednak nie uwierzyli w to zbilansowanie strat. Potrafili natomiast oszacować, co będzie dla nich oznaczała „zmiana struktury konsumpcji”.

Pierwsze strajki, protesty i pochody robotników – do których dołączali przechodnie, uczniowie i studenci – kierujące się pod siedziby PZPR zaczęły się w poniedziałek 14 grudnia. Przebieg wydarzeń jest znany – na podstawie oficjalnej dokumentacji i relacji uczestników zrekonstruowali go historycy. Do największych protestów doszło w Gdańsku, Gdyni, Szczecinie i Elblągu. Mniejsze odbyły się także w innych miastach.

Dziś można dostrzec tendencję do postrzegania niekiedy tych wydarzeń jako kolejnego zrywu „Polaków przeciw komunistom”. Jednak w opisach historyków i relacjach zwraca uwagę fakt, że jakaś, może nawet znaczna część protestujących zwracała się raczej przeciwko „wypaczeniom” systemu, w który wielu mimo wszystko wciąż wierzyło. Wśród pieśni śpiewanych przez protestujących był oczywiście „Mazurek Dąbrowskiego” oraz „Boże, coś Polskę”. Ale również chętnie śpiewano pieśni robotnicze, zwłaszcza „Międzynarodówkę” (dziś chyba doszczę-

*Płonący budynek Komitetu
Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku,
zdjęcie wykonane 15 grudnia
1970 r., dzisiaj w budynku
mieści się Prokuratura Okręgowa.*



JAN JUCHNIEWICZ / EAST NEWS

nie skompromitowane, za sprawą ich instrumentalizowania przez władze PRL).

Nie powinno to dziwić. W 1970 r. wielu Polaków pamiętało, że II Rzeczypospolita dla licznych obywateli nie była dobrym miejscem do życia. Pamiętano chroniczne bezrobocie i niedożywienie przechodzące w głód. Pamiętano arogancję sanacyjnej władzy i odmawianie krytykom prawa bytu. Jak wspominał dziesięć lat po Grudniu '70 przedwojenny działacz PPS, który uczestniczył w grudniowych protestach: „Przed wojną takich biedaków jak ja (...) wyzywano i odsądzano od czci i wiary jako tzw. »żydokomunę«”.

Mój dziadek opowiadał o przedwojennych latach w Gdyni nie z perspektywy kuracjusza czy mieszkańca modernistycznych kamienic w centrum miasta, lecz osieroconego wcześniej przez ojca chłopca z robotniczej dzielnicy, zmuszonego od najmłodszych lat do ciężkiej pracy. Choć więc dziadek komunizmu chronicznie nienawidził, przyznawał niejednokrotnie, że „za sanacji” o wieczorowym technikum i wieczorowych studiach inżynierskich nie mógłby marzyć.

Dlatego nie powinien dziwić fakt, że wielu Polaków nadal wierzyło w system deklarujący oddanie władzy w ręce robotników i chłopów – uznając niesprawiedliwość i arogancję władz PRL za „wypaczenia” wciąż możliwe do usunięcia.

Gniew na ulicach

W grudniu 1970 r. władze PRL nie okazywały litości. Protesty tłumiono brutalnie. Do zbuntowanych miast kierowano znaczne siły milicji i wojska, niekiedy z odległych garnizonów. „Bito na oślepi, kogo popadnie – wspominał uczestnik protestu. – Zobaczyłem przed sobą wściekłe oczy (...) funkcjonariusza zasłonięte maską z pleksy, miał w ustach pianę”.

Brutalność milicji, użycie pałek, petard i gazu wobec protestujących w Gdańsku podsyliły gniew. Na ulice wychodziło coraz więcej ludzi. Jak wspominał inny protestujący: „Znalazłem »rasową« kostkę bruku (...) i rzuciłem – nie wiem, z jakim skutkiem, ale rzuciłem i chciałem trafić człowieka”.

Gniew protestujących kierował się głównie przeciw partii rządzącej. Już

14 grudnia w Gdańsku usiłowano podpalić gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Nazajutrz w mieście ogłoszono strajk powszechny, a na ulicach doszło do eskalacji. Protestujący żądali uwolnienia aresztowanych. Jednocześnie dochodziło do rozbijania i rabunku sklepów. Dziś wiemy, że mogło to być inspirowane przez prowokatorów ze Służby Bezpieczeństwa (ich obecność jest pewna, ale wyznaczone im zadania pozostają niejasne).

Część rabujących rzucała się na alkohol, pijąc go na miejscu lub wynosząc, okradziono też sklep jubilerski i futrzarski. Inne światło na te wydarzenia rzuca cytat z jednej z relacji: „Widzę starszą kobietę wynoszącą z rozbitego sklepu siatki z cukrem, mąką i innymi artykułami”. Grudniowe rabunki, z racji na propagandę władz i jej zdolność do fałszowania dokumentacji, pozostaną zapewne najtrudniejszym do oceny aspektem tych wydarzeń.

Pierwsze ofiary

15 grudnia w Gdańsku spodziewano się już ataków milicji. Mirosław Piepka wspominał, że stoczniovcy przyszli do centrum miasta „w kaskach, roboczych ubraniach (...), każdy trzymał w ręku kawałek rury, łomu, pręta. Zdarzały się też kilofy i młoty. Maszerowali prosto pod gmach partii”.

Tego dnia protestującym udało się podpalić Komitet Wojewódzki. Ludzie nie dopuszczali do budynku straży pożarnej, jeden z jej wozów spalono. Broniący budynku milicjanci poddali się tłumowi i zostali odprowadzeni w eskorcie stoczniovców.

Na ulicach padły też ofiary śmiertelne. Jeden z milicjantów (funkcjonariusz ZOMO, Zmotoryzowanych Odwodów MO; dziś mówi się na takie oddziały policji: formacje zwarte) zastrzelił młodego stoczniowca Józefa Widerlika – po czym został zabity przez tłum. Historyk Robert Chrzanowski, badający losy wszystkich ofiar Grudnia, pisze, że zomowiec ten dwa lata wcześniej został napadnięty, ciężko pobity i okradziony m.in. z broni służbowej. Mogło to mieć wpływ na jego zachowanie. Broni użyli jednak także inni milicjanci.

Na ulice skierowano też pierwsze oddziały wojska, z zadaniem odblokowania płonącego budynku KW PZPR, ale przyniosło to jedynie natężenie chaosu i przemocy. Tego dnia w Gdańsku zginęło

→ łącznie sześć osób, w tym co najmniej jedna rozjechana przez wojskowy transporter opancerzony.

Kierowanie do tłumienia demonstracji wojska z ciężkim sprzętem było przeszeniem się o tragedię. Trzeba pamiętać, że wśród protestujących większość miała za sobą obowiązkową służbę wojskową. Umieli posługiwać się bronią ręczną, nie jeden umiał jeździć transporterem i czołgiem. Albo strzelać z zainstalowanego na nich uzbrojenia. Stąd wydawane żołnierzom surowe rozkazy niedopuszczania do utraty broni i sprzętu – powtórzone i zaostbrane jeszcze po tym, jak w Gdańsku demonstranci opanowali przejściowo transporter TOPAS.

Po „tamtej stronie”

Tymczasem wychodzący na bieżąco „Dziennik Bałtycki” tylko zdawkowo wspominał o „emocjonalnych wystąpieniach” oraz o „awanturach i burdach” w mieście. Wspomnienia rodzinne przejmująco dowodzą, jak trudno było o informację.

Moja mama, studiująca wówczas na Politechnice Gdańskiej, jeszcze w środę 16 grudnia była na zajęciach, które odwołano dopiero w południe. Ponieważ zawieszono kolejki SKM, mama z narzeczonym (moim ojcem) musiała iść pieszo do odległej o 6 km Oliwy, skąd autobusami można było wrócić do Gdyni. Ojciec pojechał dalej, kursującą od stacji Gdynia Stocznia kolejką, do rodzinnego domu w Rumi.

Choć wiadano o trwających w mieście protestach – i widziano na ulicach milicję oraz wojsko – to informacja o skali wydarzeń była dla większości mieszkańców niedostępna. Telefonów nie było wówczas w każdym mieszkaniu, zresztą władze je powoływały.

Dlatego ogromna większość mieszkańców nie miała pojęcia o tym, co się dzieje, ani o chaosie decyzyjnym, jaki panował po „tamtej stronie”. Dla zwykłych ludzi władze PRL prezentowały jeden centralnie sterowany monolit, sprawnie dyrygując partią, milicją, armią i propagandą.

Tymczasem, jak wynika z badań prof. Eislera, w Trójmieście znajdowali się wtedy (poza miejskimi i wojewódzkimi władzami PZPR): Zenon Kliszko (specjalny wysłannik Gomułki, członek Biura Politycznego PZPR), Stanisław Kociołek (wicepremier), gen. Franciszek Szlachcic (wiceminister spraw wewnętrznych)

10 lat później robotnicy

– bogatsi o doświadczenia
grudniowej masakry
– nie wychodzili już na ulice,
lecz strajkowali
w swoich zakładach.

i inni decydenci. Do tego dochodzili dowódca Marynarki Wojennej admirał Ludwik Janczyszyn, dowódcy stacjonujących w Trójmieście i przerzuconych do Trójmiasta jednostek wojskowych, dowódca Wojsk Obrony Wewnętrznej gen. Grzegorz Korczyński i szef Sztabu Generalnego armii gen. Bolesław Chocha.

Wszyscy oni mogli wydawać decyzje. Mieli też możliwość przekazywania tych decyzji w różne miejsca. I niestety korzystali z tych możliwości.

Do tego dochodziła – niemożliwa dziś do szczegółowego odtworzenia – rozgrywka w najwyższych władzach państwa, obliczona na obalenie Władysława Gomułki.

Kontrrewolucję należy zlikwidować!

Ten ostatni, wyniesiony do władzy w 1956 r. na fali autentycznego entuzjizmu społeczeństwa, łapiącego oddech po czasach stalinizmu, w roku 1970 nabrał już – wraz z większością swego otoczenia – absolutnego przekonania, że jego władza jest najlepszym, co spotkać mogło Polskę.

W ostatnich latach rządów Gomułka stawał się coraz bardziej apodyktyczny, coraz ostrzej reagował na jakikolwiek sprzeciw. Coraz bardziej odrywał się też od realiów. Była to jedna z przyczyn podjętych jeszcze przed Grudniem '70 intryg wewnątrz PZPR, mających odsunąć go od władzy. Jednocześnie cechy te sprawiły, że protesty robotnicze Gomułka z miejsca uznał za „kontrrewolucję”, którą należy zlikwidować. Taką postawę wykazywali też wierni mu jeszcze członkowie władz.

Gdy więc 16 grudnia wieczorem wicepremier Kociołek, niegdyś I sekretarz PZPR w województwie gdańskim, wzywał stoczniovców do powrotu do pracy, oddział 32. Pułku Zmechanizowanego kierowano już do utworzenia kordonu wokół stoczni. Żołnierzom tłumaczono, jak wynika z szeregu relacji, że w Gdań-

sku i Gdyni „autochtoni” i „mniejszość niemiecka” podburzają ludność, celem oderwania Wybrzeża od Polski. „Ci ludzie żądają uznania mniejszości narodowej niemieckiej w Gdańsku (...), chodzą z transparentami domagającymi się Gdańska jako wolnego miasta. (...) tłum ludzi wyreżyserowany politycznie, inspirowany tłum” – wspominał słowa swych dowódców jeden z żołnierzy.

Wygląda na to, że oskarżanie mieszkańców Gdańska o proniemieckie sympatie – celem wzbudzenia do nich niechęci – ma w Polsce długie i ponure tradycje.

Ludzie pobici

Effekt jest znany. W czwartek 17 grudnia, wczesnym rankiem, napierający tłum został ostrzelany przez żołnierzy. Jedną z ofiar – 18-letniego Zbigniewa Godlewskiego – poniesiono na wyjętych z baraku drzwiach przed budynek Miejskiej Rady Narodowej. Tam demonstrantów atakowali milicjanci, zabijając kilka kolejnych osób.

W przedwojennym, modernistycznym budynku Miejskiej Rady (obecnym Urzędzie Miejskim w Gdyni) milicja i ZOMO urządziły katownię. Bestialsko bito tu protestujących i ludzi przypadkowo złapanych. W pościgu za demonstrantami zomowcy próbowali nawet wdrzeć się do szpitala w Gdyni, aby aresztować rannych.

Tego dnia do walk doszło także w Szczecinie, gdzie wojsko i milicja zaabiły kilkanaście osób, oraz w Elblągu. Do pomniejszych wystąpień doszło w wielu innych miastach.

Agresja „stróżów prawa” kierowała się głównie przeciw ludziom młodym. Charakterystyczną cechą były „ścieżki zdrowia” – zmuszanie zatrzymanych do przebiegania między szpalarami bijących ich pałkami i kopiących milicjantów – oraz obcinanie nożem długich włosów, uznawanych (w myśl kampanii propagandowych) za objaw kapitalistycznego zepsucia.

Jeden z aresztowanych wspominał: „Do celi wrzucono jakąś postać. Był to młody człowiek w wieku około 20-paru lat straszliwie pobity. Z uszkodzonego łuku brwiowego płynęła krew, na głowie sterczały kępki powyrywanych i skrwa-wionych włosów (...) został wyciągnięty przez milicjantów z tłumu, skopany, pobity pałką (...), ciągnięto go do wozu za włosy i w końcu oszołomiono gazem z dmuchawki”. Skatowanego młodzieńca

wkrótce zabrano na przesłuchanie przez prokuratora, gdzie dowiedział się, że wedle protokołu zatrzymania to on pobił, skopał i zniewazył milicjanta.

Inny zatrzymany w Gdańsku chłopak wspominał po latach, że po „ścieżce zdrowia” trafił z czterema milicjantami do pokoju przesłuchań, gdzie „uprzejmy funkcjonariusz po spisaniu danych i daniu »po pysku« (...) zgasił na moim ramieniu papierosa, potem ten drugi i jeszcze jeden z tych, którzy mnie prowadzali”. Chłopak zapamiętał, że czwarty milicjant tego nie uczynił. „Widocznie był niepalący” – wspominał.

Ręka spod plandeki

W miastach Wybrzeża o tym wszystkim jeszcze nie wiadomo.

17 grudnia wczesnym rankiem babcia zbudziła moją mamę, najstarszą z rodzeństwa. „Strzelają, trzeba kupić chleba” – mówiła. Ulica Śląska w Gdyni, gdzie mieszkali, to najkrótsza droga z Gdyni Stoczni do szpitala w Gdyni-Redłowie. Stojąc w kolejce po chleb, mama widziała mijające ją liczne samochody, osobowe, nyski i ciężarówki jadące pospiesznym w stronę Redłowa. Spod plandeki jednej z półciężarówek wystawała bezwładna ludzka ręka.

Wówczas zrozumiała, że to wożone są ofiary słyszanych rano strzałów. Poszukiwania żywności trzeba było przerwać, w sklepach albo nic nie było, albo dotarcie do nich było zbyt niebezpieczne.

Nad miastem krążyły śmigłowce, z których zrzucano ładunki gazu łzawiącego. Niektórzy wspominają, że ze śmigłow-

ców strzelano do demonstrantów. Ojciec tego dnia próbował dostać się do Politechniki, jednak gdy około ósmej rano dotarł na dworzec SKM w Rumi, dowiedział się, że pociągi nie kursują, a wśród zgromadzonych słyszano już o ofiarach przy stoczni. Wrócił więc do domu.

Mama z babcią i rodzeństwem zdołali zamknąć się w mieszkaniu, gdy milicjanci i zomowcy, po krwawym rozpędzeniu demonstracji w centrum Gdyni, zaczęli ścigać uciekających i atakować hotele robotnicze przy ul. Śląskiej, strzelając z pistoletów w stronę okien. – W mieszkaniu gazu było tyle, że oczy szczypały – wspominają dziś mama i ciocia. Drżeli o los dziadka, który długo nie wracał z pracy w Redłowie, gdyż siedł na piechotę, po drodze kryjąc się przed śmigłowcami, z których zrzucano gaz.

Grozę tego dnia potęgował całkowity brak informacji, brak łączności z bliskimi i docierające powoli wieści o ofiarach. Zginął m.in. jeden z uczniów Technikum Chłodniczego, w którym dziadek dorybał jako nauczyciel.

Już nie śpiewali

Dla społeczeństwa Trójmiasta apel Kociołka o powrót do pracy i dokonana na jutro masakra robotników, odpowiadających na ten apel, sprawiły wrażenie planowego działania, obliczonego na sterylowanie ludności. Nie wiadomo nic o wysiłkach niektórych decydentów, by wobec ogłoszenia apelu i zablokowania stoczni przynajmniej wstrzymać ruch pociągów. Ludzie uznali, że władza celowo

ściągnęła pod gdyńską stocznę robotników, aby ich zmasakrować. Do najsławniejszej z grudniowych pieśni trafił więc wers „Krwawy Kociołek to kat Trójmiasta” – choć po latach nie udowodniono mu winy za masakrę.

Władze PRL, pragnące tuszować własne zbrodnie i niekompetencję, deklarowały nowe otwarcie wraz z zastąpieniem skompromitowanego Gomułki przez Edwarda Gierka. Jednocześnie rodziny ofiar zastraszano. Pogrzeby organizowano nocami. Cmentarze były obstawione przez milicję i SB. „Prokurator przed pogrzebem rozkazał nam cicho się zachowywać i nie płakać” – wspominała siostra jednego z poległych. Ta przepojona grozą tajemnica sprawiała, że w społeczeństwie istniało przekonanie, że ofiary śmiertelne Grudnia '70 szły w setki, może tysiące.

Krążyły najróżniejsze plotki. Jedna z najpopularniejszych głosiła, że do robotników strzelało nie wojsko, lecz milicjanci przebrani za żołnierzy. Wynikało to zapewne z faktu, że do wojska siedł wtedy, chciał czy nie chciał, niemal każdy młody mężczyzna, a do milicji i ZOMO jedynie chętni.

W każdym razie grudniowy mord zapisał się trwale w pamięci mieszkańców Trójmiasta. Dziesięć lat później robotnicy – bogatsi o doświadczenia Grudnia i masakry – nie wychodzili już protestować pod siedzibami partii, lecz strajkowali w swoich zakładach.

I nie śpiewali już „Międzynarodówki”.

© JAN SZKUDLIŃSKI

REKLAMA

**Pomóż syryjskim
dzieciom stanąć
na nogi.**

Przeznacz darowiznę:

62 1240 2294 1111 0000 3718 5444

PMM.ORG.PL

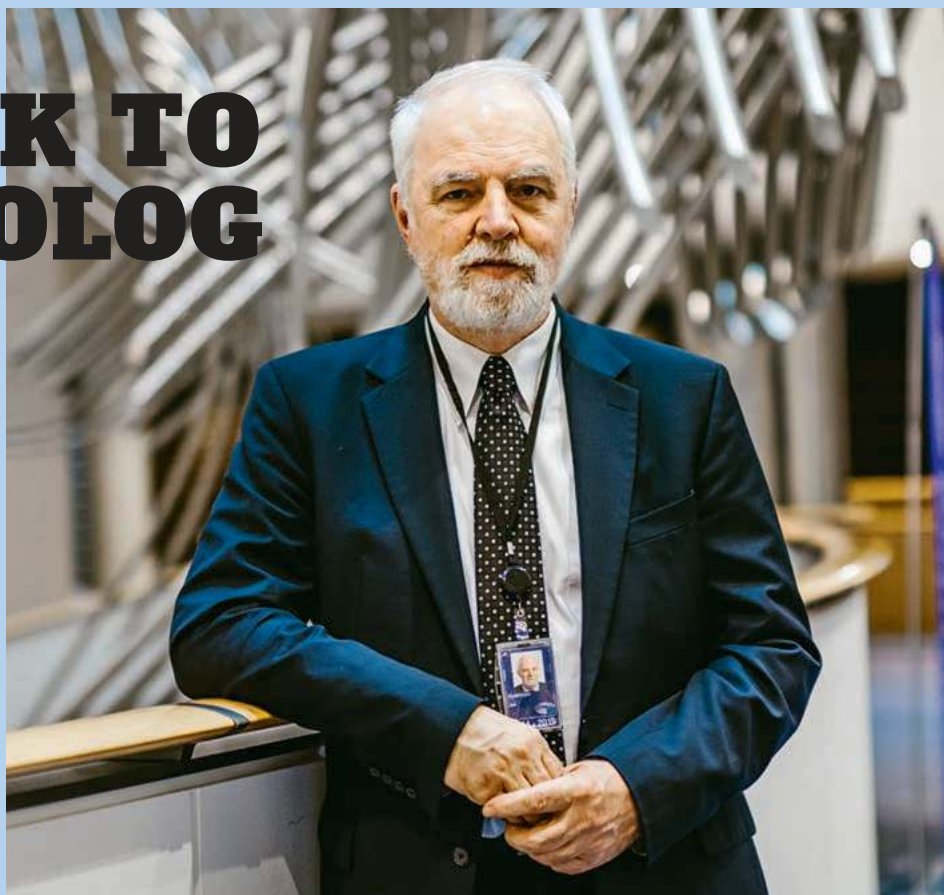


**Polska Misja
Medyczna**

BUDUJEMY POMOC

POLITYK TO NIE TEOLOG

**Jan Olbrycht,
poseł do
Parlamentu
Europejskiego:
Walczymy
o prawo do
wolności
religijnej, jedno
z podstawowych
praw człowieka.
Walczymy na
całym świecie,
ale również
w samej Unii
Europejskiej.**



fot. Paula Sobota

ZBIGNIEW ROKITA: Czy na Pana zainteresowania dialogiem między religiami miały wpływ związki z Cieszynem? W latach 1990-98 był Pan burmistrzem tego miasta, stolicy Śląska Cieszyńskiego, gdzie żyje kilkadziesiąt tysięcy protestantów.

JAN OLBRYCHT: Oczywiście. Trafiłem do Cieszyna i zjawisko kohabitacji różnych wyznań obserwowałem jako pracownik naukowy, a następnie burmistrz. Intensywnie uczyłem się wówczas, jak poruszać się w takim środowisku: po jaki język komunikacji sięgać, do jakiej symboliki się odwoływać. Moja pierwsza propozycja stworzenia powoyborczej koalicji odwoływała się również do relacji międzywyznaniowych – po wyborach samorządowych 1990 roku założyłem koalicję katolicko-ewangelicką. Widziałem wówczas, jak niełatwy bywa dialog, nawet między ludźmi z tej samej rodziny chrześcijańskiej.

Okres cieszyński nauczył mnie jednak przede wszystkim, że jeśli jako polityk mam prowadzić dialog między wyznawcami różnych religii, nie powinien dotyczyć on kwestii teologicznych. Dyskusja polityków na tematy teologiczne blokuje dialog.

W Parlamencie Europejskim pełni Pan m.in. funkcję współprzewodniczącą

grupy roboczej Europejskiej Partii Ludowej ds. dialogu międzykulturowego i religijnego. Czym zajmuje się grupa?

Europejska Partia Ludowa, czyli chrześcijańska demokracja, poprzez naszą grupę organizuje dialog między politykami, intelektualistami oraz przedstawicielami Kościołów i społeczności wyznaniowych. Wszystko zaczęło się dwadzieścia lat temu od dialogu z prawosławiem, później intensyfikował się dialog również z protestantami. Proszę pamiętać, że środowiska protestanckie są w EPL bardzo silnie reprezentowane: chociażby przez niemieckie CDU – w odróżnieniu od bawarskiego, katolickiego CSU. Następnie przyszedł czas na dialog ze środowiskami żydowskimi czy muzułmańskimi.

W 2011 roku mówił Pan: „Bronimy chrześcijan na całym świecie nie dlatego, że UE ma korzenie chrześcijańskie, ale dlatego, że uważamy, iż dzisiejszy świat wymaga wolności religijnej dla wszystkich ludzi”. Jakimi narzędziami dysponujecie?

To grupa parlamentarna, stąd posiadamy narzędzia parlamentarne: nagłaśniamy, uświadamiamy, prowadzimy debatę publiczną, wywieramy polityczny nacisk. Wydaje się to czasami mało skuteczne, ale jest inaczej. Osoby np.

z terenów objętych walkami często mówią nam, że bardzo naszych rezolucji potrzebują, że wykorzystują je jako narzędzie oraz jako dowód, iż świat o nich nie zapomniał.

Wyzwania widać dziś też w krajach Partnerstwa Wschodniego. Na Białorusi reżim zabrania powrotu arcybiskupowi Tadeuszowi Kondrusiewiczowi, oskarżając go, że pojechał do Polski po instrukcje, aby destabilizować sytuację. W Górskim Karabachu chrześcijańskie świątynie przejmują Azerowie, a Ormianie biją na alarm, że grozi im niebezpieczeństwo.

Walczymy o prawo do wolności religijnej, czyli jedno z podstawowych praw człowieka. Walczymy o to na całym świecie, ale – podkreślimy – również w samej Unii Europejskiej. Upominamy się o prawa wyznawców wszystkich religii, w tym chrześcijan, którzy są najbardziej prześladowaną na świecie grupą religijną.

Według najnowszego raportu Open Doors prześladowanych w wysokim stopniu jest na świecie ponad 260 milionów chrześcijan. Czytamy w nim: „Na całym świecie 1 na 8 chrześcijan podlega ekstremalnym prześladowaniom, a w Azji więcej niż 1 na 3”.

Raporty Open Doors czy Church in Need pokazują, że jednym z trendów jest rosnąca liczba fundamentalizmów na świecie (różnych grup wyznaniowych i religii – również buddystów). Trudny przykład to np. Indie, gdzie prześladowania są niełatwe do uchwycenia, bo dotyczą dyskryminacji nie tylko prawnej, ale także tej, która występuje wewnątrz małych społeczności.

Open Doors wymienia ten kraj wśród państw, gdzie problem z prześladowaniami chrześcijan jest największy. To kolejno: Korea Północna, Afganistan, Somalia, Libia, Pakistan, Erytrea, Sudan, Jemen, Iran, Indie, Syria, Nigeria, Arabia Saudyjska, Malediwy, Irak i Egipt.

Przyjeżdżają do nas duchowni z całego świata i wyjaśniają, że nie jest to takie proste. Trzeba rozróżniać, gdzie mamy do czynienia z dyskryminacją, gdzie z ograniczonymi prawami, a gdzie z faktycznymi prześladowaniami: torturami, zabójstwami czy wypędzeniami. Jako grupa przypominamy, że w kontaktach z krajami, gdzie prześladowuje się w sposób systemowy, dyplomacja unijna powinna domagać się wolności religijnej, stawiając ją jako jeden z warunków współpracy – zwłaszcza w relacjach handlowych. Uświadamiamy europejskim politykom wagę problemu.

Jakie działania podejmowała ostatnio grupa? Jakie są obecnie kluczowe wyzwania?

Obecnie zabieramy głos głównie w sprawie krajów Bliskiego Wschodu. Chodzi przede wszystkim o Syrię, ale przypatrujemy się też uważnie Libanowi, gdzie długo wydawało się, że sprawy toczą się w atmosferze pokoju i tolerancji – w Libanie nawet konstytucja zapewnia udział we władzy poszczególnym grupom wyznaniowym.

Kiedy jednak mówimy o świecie islamu, musimy zdawać sobie sprawę z podstawowej różnicy, jaka dzieli go od katolicyzmu – dotyczy ona relacji między państwem i Kościołem. W świecie islamu nie ma rozdziału *sacrum* i *profanum* i dlatego trudno zarzucać tam komuś brak rozdziału państwa i religii. Na przykład wszystkie liczące się partie libańskie są wyznaniowe. Nasze europejskie myślenie opiera się tymczasem na zasadzie „Bogu co boskie, a cesarzowi co cesarskie”, stąd pojawiające się później napięcia, np. w kontaktach z imigrantami z krajów muzułmańskich.

Kwestia innych relacji między państwem i religią nie dotyczy zresztą tylko islamu, ale też prawosławia. Na Ukrainie w 2019 roku powołano autokefaliczny Kościół prawosławny podporządkowany Konstantynopolowi, a nie Moskwie, co zasadniczo zmieniło pejzaż religijny nad Dnieprem. Wielu ukraińskich duchownych angażuje się dziś w politykę, podnosząc, że kierunek dla ich kraju jest jednoznaczny: integracja z Unią Europejską.

Obecnie w Unii wszystkie kraje mają większość chrześcijańską, ale wśród krajów kandydujących lub potencjalnie kandydujących jest kilka z większością muzułmańską. Jaka jest rola religii w procesie integracji europejskiej?

Unia Europejska to dziś znacznie bardziej złożony organizm niż na początku – są w niej silne elementy różnych wyznań, religii, jak i środowiska pozareligijne. Poza tym same środowiska chrześcijańskie w UE są bardzo zróżnicowane. Widać to choćby w EPL. Rozmowy, które prowadzimy w naszej partii, bywają trudne, bo jest duża różnica między polskimi katolikami a protestantami ze Szwecji czy katolikami holenderskimi. Kwestie dotyczące rodziny czy LGBT wcale nie są wówczas takie proste. Dlaczego? Bo różnice często pojawiają się nie między politykami, a między ich Kościołami.

Unia Europejska powinna przyjmować w pierwszej kolejności kraje chrześcijańskie?

Kryterium religijne nie powinno być brane pod uwagę. Kluczowa powinna być za to chęć i gotowość do współistnienia wewnątrz Unii. Jeśli ktoś przychodzi z nastawieniem nacjonalistycznym i separatystycznym, nie powinno się go przyjmować. Nie można jednak uogólniać i upraszczać – na przykład różnice między muzułmanami są zasadnicze, jest wielu otwartych wyznawców islamu.

Europa oczywiście jest chrześcijańska, i to nie tylko w sensie odsetka wiernych, ale i w sensie cywilizacyjnym, sposobu myślenia. Imigranci przywożą ze sobą inny światopogląd, ale Europa tak czy inaczej nie traci przez to swojego kształtu kulturowego. Musimy zdawać sobie z tego sprawę, gdyż wchodzimy obecnie w nowy etap uczenia się kohabitacji i współżycia różnych wyznań i religii.

Rozmawiał Zbigniew Rokita



fol. EPP



fol. EPP

Dialog międzyreligijny i międzykulturowy EPL: konferencja „The next day in Syria”. Parlament Europejski, Bruksela, 3 kwietnia 2019 r.



fol. EPP

Konferencja „Rola Kościołów i wspólnot wyznaniowych w procesie integracji europejskiej Gruzji – perspektywa europejska”. Tbilisi, 28–29 czerwca 2018 r.

Jan Olbrycht od 2004 roku jest posłem do Parlamentu Europejskiego z ramienia Platformy Obywatelskiej (frakcja Europejskiej Partii Ludowej). Od wielu lat współprzewodniczący grupy roboczej Europejskiej Partii Ludowej w Parlamencie Europejskim ds. dialogu międzykulturowego i religijnego. Doktor socjologii, w przeszłości był m.in. nauczycielem akademickim, burmistrzem Cieszyńska i marszałkiem województwa śląskiego.

Zbigniew Rokita – dziennikarz, reporter, współpracownik „Tygodnika Powszechnego”. Ostatnio w wydawnictwie Czarne ukazała się jego książka „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”.



NAUKA

SELFIE Z TRUMNĄ

KATHLEEN ADAMS, ANTROPOLOŻKA:

Amerykanie i Europejczycy żyją dla wakacji, Toradźowie – dla śmierci. Oszczędzają nie po to, by się zabawić i zwiedzać świat, tylko by uczcić przodków.

MARIA HAWRANEK: Od 40 lat przyjeżdża Pani do Tana Toraja na indonezyjskiej wyspie Sulawesi. Gdzie kieruje Pani swoje kroki po przyjeździe?

KATHLEEN ADAMS: Na cmentarz. Członkowie rodziny, która mnie przyjęła do

domu, gdy zaczęłam badania w latach 80., zabierają mnie na groby rodziców. Oczywiście my też odwiedzamy naszych zmarłych, ale nie jest to pierwsza rzecz na liście. Jeśli wyląduję wieczorem, najpóźniej kolejnego dnia jestem na cmentarzu. Stoję przed wizerunkami moich adopto-

wanych rodziców i mówię: „Hej, mamo, hej, tato, takie mam wieści z USA, dla ciebie, mamo, mam szal, a tobie, tato, przyniosłam ulubione piwo”. Wrzucam też do specjalnej sakiewki ofiarę: to może być trochę rupii, równowartość dolara czy 50 centów, orzech betelu, papierosy.

Procesja z posągami zmarłego podczas tradycyjnej ceremonii pogrzebowej Toradżów. Region Tana Toraja w Południowym Sulawesie, Indonezja, marzec 2019 r.



HARIANDI HAFID / GETTY IMAGES

tuałów nie może się równać z pogrzebami. Kiedy w latach 80. pytałam przez telefon, co słychać, opowiadali mi o śmierciach, ale nigdy o ślubach czy narodzinach.

Pamięta Pani swój pierwszy pogrzeb?

To był 1984 r., mała uroczystość, niearystokratycznej rodziny, na 100-200 osób. Arystokratyczne mogą gościć kilka tysięcy ludzi i trwać kilka dni. Miała charakter protestancki, bo już wtedy większość Toradżów przeszła na chrześcijaństwo, więc obok tradycyjnych rytuałów były też modlitwy i pastor. Przed pogrzebem miesiącami buduje się bambusowe platformy dla gości, w przypadku zamożniejszych rodzin powstają tymczasowe osiedla. Aż do pogrzebu zmarły cały czas trzymany jest w domu.

Był wczesny wieczór, przyszliśmy w procesji, z okrzykami na noc i prostymi darami, takimi jak cukier, ryż, które będą zużyte w trakcie pogrzebu. Gospodarz przywitał nas gęstą i słodką jak syrop kawą, zaoferował goździkowe papierosy i betel. Żuje się go z odrobiną tytoniu i wapna, ale ja wtedy nie wiedziałam, co z tym zrobić. Starsza pani, która siedziała nieopodal, niemal upadła ze śmiechu na ziemię. Później wszyscy, rozbawieni, pokazywali mi, jak i gdzie płuć czerwonym soki. Piliśmy też palmowe wino.

To nie są sceny, które kojarzą się z pogrzebem.

Było dużo żartów, flirtów, swatania, plotek. Starsi rodu tłumaczyli mi, co się dzieje. Czułam się przytłoczona złożonością genealogii rodzinnej i historii pokrewieństwa. Po zmroku wykonaliśmy tradycyjny taniec w kręgu: kilka kroków w jedną, kilka w drugą, ludzie są połączeni ramionami. Były też żałobne pieśni i podniosłe mowy. Tańczyliśmy do godziny pierwszej, potem położyliśmy się na platformie. Wstaliśmy koło czwartej. Ciało zostało wyjęte z trumny, słychać było płacz, zawodzenie, to był przejmujący moment. Kiedy pastor odmówił ostatnią modlitwę, zobaczyłam wiele łez. Potem trumnę przeniesiono do rodzinnego grobowca w kłifie.

Ale jeszcze wcześniej poświęcono bawoły?

Tylko jednego. Była za to rzeź świń.

Bawół jest w kulturze Toradżów bardzo ważny. Mówi się, że tradycyjne domy – tzw. tongokan – mają kształt bawolich rogów. Zwierzę ubija się w trakcie rytuału, by pomóc duszy szybciej podróżować do Puya, zaświatów?

Bawoły stają się w ten sposób towarzyszami podróży i częścią bogactwa zmarłego na tamtym świecie. Tak mówi Aluk To Dolo, Droga Przodków. Większość Toradżów już jej nie wyznaje. Dziadkowie i babcie odeszli do tradycyjnych zaświatów, ale współcześni Toradżowie są przekonani, że idą do innego, własnego nieba. Nie wyznają starej wiary, lecz odtwarzają dawne rytuały, bo są częścią ich kultury.

Czyli nie wierzą już, że zmarły, którego ciało oczekuje na pogrzeb czasem kilka lat, pozostaje w tym czasie „chory”, i umiera dopiero w momencie ubicia pierwszego bawołu?

To jest przekaz tradycyjnych wierzeń. Ludzie mają świadomość, że serce ich krewnego już nie bije, nie wypierają nauki i biologii. Czasem turyści się zachwycają: „Och, jakie piękne to stopniowe przejście między życiem a śmiercią”. Toradżowie wystawiają herbatkę dla babci, dopóki nie zostanie pogrzebana, a ona leży sobie w łóżku albo w trumnie. Z pewnością postrzegają czas przygotowań do pogrzebu jako proces, w którym przygotowują się też do jej pożegnania.

Bawoły mogą kosztować od kilkuset do kilku tysięcy dolarów, a na pogrzebach zamożniejszych ubija się ich nawet kilkadziesiąt.

Cena różni się zależnie od umaszczenia, kształtu rogów, wielkości. Kiedy miałam 28 lat, zmarł mój adoptowany toradżski ojciec. Wciąż spłacałam studencką pożyczkę, więc kupiłam małego bawołu. Nadaje się im poetyckie imiona, mój dostał takie: „Młodzięńczy bawół, który przybył z chmur Ameryki”. Na pogrzeb mojej mamy w 2012 r. stać mnie już było na droższego.

Ich liczba i klasa świadczą o zamożności rodziny? Kto bogatszy, zabija więcej?

→

Co się z tymi darami dzieje?

Pieniędzy nie wypada ruszać, dlatego też przyjęło się dawać drobne. W przypadku darów spożywczych założenie jest takie, że duch wypija lub zjada ich esencję. Piwo najczęściej otwieram i zostawiam. Po kilku dniach znika.

To prawda, że tradycyjnie Toradżowie nie obchodzą urodzin ani ślubów, tylko pogrzeby?

Toradżowie studiują i pracują w różnych krajach, żyją w zglobalizowanym świecie. W ciągu ostatnich 20 lat zaczęli organizować duże śluby, urządzają je, podobnie jak pogrzeby, obok tradycyjnych domów przodków. Budują sceny, wieszają wymyślne reflektory. Na urodzinach pojawia się tort. Jednak nic pod względem ry-

→ Również o statusie społecznym – co prawda dawne podziały na klasy już nie są tak żywe, wciąż jednak potomkom arystokracji wypada zabić więcej. Bawoły są związane z dziedziczeniem – podarowany i ubity w czasie ceremonii bawół daje prawo do dziedziczenia. Dlatego w arystokratycznej rodzinie często mówi się: możesz przyprowadzić bawołu, będzie paradował, ale go nie zabijemy. Poza tym, jeśli ktoś przyprowadza bawołu na pogrzeb twojego krewnego, musisz się zrewanżować podobnej klasy bawołem na pogrzebie w jego rodzinie.

Pani bawołu zabito i dostała Pani prawo do ziemi?

Zabito, ale prawa się zrzekłam, bo uważałam, że ziemia powinna zostać w rodzinie krwi. W czasie pogrzebu ojca mięso mojego bawołu zostało zlicytowane, a pieniądze pozyskane w ten sposób przeznaczono na dary dla kościoła.

„W Tana Toraja żyje się, aby umrzeć”. To zdanie często pada w tekstach o tej społeczności. Przeczuwam, że coś spłaszcza.

Moi przyjaciele z Toraja, zwłaszcza przewodnicy, uwielbiają to powtarzać – ale głównie turystom. Kontekst jest taki: ty żyjesz po to, by pojechać na wakacje, oszczędzasz i przeznaczasz ogromne sumy oraz energię, by przelecieć pół świata i zobaczyć nas. A my oszczędzamy, by uczcić naszych zmarłych. Rodzice poświęcają się dla nas, matki przechodzą przez ból, by nas urodzić, w ten sposób pokazujemy im, że to doceniamy. Można powiedzieć, że Amerykanie i Europejczycy żyją dla wakacji, Toradźowie – dla śmierci.

Przeczytałam, że czasem cierpią na tym żywi. Np. dziewczynki nie mogą iść na studia, bo trzeba oszczędzać na pogrzeby. Dużo jest takich ofiar tradycji?

Znam błyskotliwą młodą kobietę, która w innych warunkach byłaby doskonałą studentką, ale rodzina chciała utrzymać swój status, a nie miała pieniędzy, by opłacić i pogrzeby, i jej edukację, więc nie skończyła nawet liceum. Rytuały wzmacniają hierarchiczność społeczeństwa i sprawiają, że pojawiają się trudności z opłaceniem edukacji. Dlatego wiele rodzin wypisuje się z tego systemu – np. dołączając do ruchu zielonoświątkowców,

który zakazuje uczestnictwa w rytuałach pogrzebowych z poświęcaniem bawołów.

Dotyczy to głównie uboższych?

Niekoniecznie. Znałam też wykształconego za granicą Toradźę, który zmarł dwa lata temu. Absolutnie nie chciał, by jego dzieci musiały się zadłużyć, i wyraźnie zaznaczył, że chce cichego katolickiego pogrzebu. Wśród arystokratów wywołał mały skandal i dużo złych plotek. Ale jego dzieci nie mają długów, studiuje. Niektórzy poddają tradycję refleksji i dokonują świadomych wyborów. Inni wyprowadzają się do miast i w sposób minimalny uczestniczą w rytuałach pogrzebowych – opłacają bawołu, pojawiają się, ale nie angażują się w pozostałe aktywności.

Bada Pani turystykę na Tana Toraja. Kiedy pierwszy raz przeczytałam o turystyce funeralnej, skojarzyło mi się to z turystyką w slumsach, egzotyzacją biedy. Mieszkalam w takich miejscach w Brazylii czy Kolumbii. Gdy przyprowadzano tam turystów, bardzo mnie irytowali. Toradźowie tak nie reagują?

Właśnie dlatego, że jako antropolożka nie chciałam przyczyniać się do egzotyzacji ich kultury, zdecydowałam się na badanie turystyki, nie rytuałów. Przyznam, że spodziewałam się, iż obecność turystów będzie o wiele bardziej problematyczna. Oczywiście są momenty, w których działają Toradźom na nerwy – np. gdy powtarzają ten slogan „żyjcie, aby umrzeć”, bez kontekstu, o którym rozmawialiśmy, albo gdy mówią: „Wy tu urządzać imprezy, jak ktoś umrze”. Dla Toradźów to żadne imprezy, to odprawianie rytuałów. Często na pogrzebach dostawałam zadanie: miałam wyprowadzać turystów z błędu, prostować ich fałszywe przekonania.

Jakie?

Że Toradźowie są „poganami” – gdy tymczasem większość to chrześcijanie. Na hasło, że są zacofanymi wieśniakami, wśród zgromadzonych pokazywałam turystom lekarzy i oficjeli z Dżakarty, stolicy kraju. Na uwagę, że marnotrawią mięso, tłumaczyłam, że jest używane do podjęcia gości czy przekazywane najbiedniejszym. Toradźowie mają poczucie, że pogrzeby są sposobem na redystrybucję dóbr, i uważają, że nigdzie na świecie biedni nie jedzą tyle mięsa, co u nich.

Turystom buduje się nawet specjalne pawilony VIP.

To wypływa z tradycji: im więcej ludzi przychodzi na pogrzeby, tym bardziej prestiżowe się one stają. Toradźowie zawsze rozmawiają o tym, kto był: jaki minister, jaki urzędnik – to część atmosfery wydarzenia. Poza tym turyści też przynoszą dary, choć czasem zbyt małe. Żeby uniknąć nieporozumień, zdarza się, że w ich imieniu agencja turystyczna zakupuje kilka świń. Pomysł, by pobierać opłatę za udział w rytuale, wzbudza opór u większości Toradźów, bo kłóci się z obyczajem dobrego gospodarza. Chyba że rzeczywiście jest dla nich zbudowany specjalny pawilon VIP, skąd mają najlepszy widok i zdjęcia, a jedzenie podaje się im na pięknej porcelanie. Wtedy agencja za to płaci. Jednak część rytuałów zawsze jest dla turystów zamknięta.

Czy ceremonie pogrzebowe jakoś się zmieniły od lat 80.?

Pod koniec lat 70. wielu Toradźów zaczęło migrować, przenosili się na inne wyspy indonezyjskie, by pracować na budowach, w kopalniach. Wielu nuworysów wracało z gotówką – byli bogaci, ale nie mieli statusu, wkładali więc sporo środków w zdobycie szacunku. Nastąpiła inflacja widowiskowych, pełnych przepychu rytuałów z dużą liczbą poświęcanych bawołów. Arystokraci kręcili nosem, kwestionowali ich zasadność, zwracając uwagę, że nuworysze nie mają odpowiedniego pochodzenia. Ale to napięcie już zniknęło, wielu Toradźów ma krewnych na emigracji, a młodzi nie mają już obsesji pochodzenia.

Liczba rytuałów wzrosła, są też o wiele staranniej zaplanowane i zorganizowane. Wiadomo, co się będzie działo, o której godzinie. Na wejściu dostajesz mapę miejsca i program wydarzeń.

Skąd ludzie dowiadują się o ceremonii? Wysyła się zaproszenia?

Dawniej wieść niosła się pocztą pantoflową. Teraz często dzieje się to przez Facebooka.

Wysyła się zaproszenie na wydarzenie: pogrzeb ciotki?

Informuje się o śmierci. Facebook jest bardzo popularny w Indonezji. Toradźowie wrzucają zdjęcia zmarłych tuż po śmierci, np. jeszcze ze szpitala. Jeśli ten ktoś był mi bliski, dostanę jeszcze sper-



HARIANDI HAFID / GETTY IMAGES

*Elementem rytuałów pogrzebowych Toradżów jest ubój podarowanych przez gości bawołów.
Tana Toraja, Indonezja, marzec 2019 r.*

sonalizowaną wiadomość. Czasem piszą: „Ten przyjaciel jest ciężko chory”. To trochę takie zawołane ostrzeżenie: „Zaczynij oszczędzać i planuj podróż”.

Smarffony zmieniły sposób spędzania czasu na pogrzebach?

Dramatycznie. Dawniej ludzie siedzieli w pawilonach, opowiadali sobie historie, flirtowali, dzieci podawano sobie na kolana, panowało poczucie, że jesteśmy tu wszyscy razem. A teraz ludzie niemal natychmiast po przywitaniu się z gospodarzem wyciągają telefon. Młodzi się cieszą: mogą grać na komórce. Starsi używają telefonów, by się zlokalizować w tłumie.

Ludzie robią sobie też selfie obok trumien i wyrzeźbionych wizerunków zmarłych. Dawniej robiono tylko zdjęcie na koniec, tuż przed pochówkiem, portret całej rodziny. Teraz dokumentowane są wszystkie etapy.

Widziałam nawet selfie ze z mumifikowaną babcią wyciągniętą z grobu po latach – wnuczek z kciukiem do góry, babcia wyciągnięta z trumny w tle. To zdjęcie zrobiono w czasie tzw. drugiego pogrzebu, Ma'nene.

To inny rytuał i to on najbardziej się zmienił, od kiedy przyjeżdżam na Sulawes. W latach 80. nie byłam na żadnym, tak rzadkie to były wydarzenia, tak intymne. Gdy zaproszono mnie pierwszy raz, czułam się zaszczycona. Przyszliśmy do kamiennego grobu, pozbierali-

śmy trawy z okolicy, omietliśmy wnętrze grobu, zostawiliśmy ofiary, zrobiliśmy wielką ucztę i poszliśmy do domu. Ciało nawet nie zostało wyjęte. W moim kolejnym Ma'nene już oczyszczono zwłoki, przebrano je. Ale nikt wtedy nie stawiał ciała do pionu i nie oplatał ramionami, jak robi się teraz. Potwierdziłam te obserwacje z antropologami, którzy zajmowali się rytuałami: to się nie zdarzało aż do ery selfie.

Jak selfie mogło zmienić tradycję?

Kilka lat temu w mediach społecznościowych pojawiło się sensacyjne zdjęcie i opis: „Toraja ziemia żywych trupów”. To selfie wrzucił emigrant, który powrócił na Ma'nene do domu, a temat zaczął żyć własnym życiem. Inni emigranci, gdy wracali, prosili o podobne zdjęcia, zaczęto więc stawiać zmarłych, by mogli je zrobić. Teraz pojawiają się już nawet reklamy. Widziałam wielki billboard: „Ma'nene, turyści mile widziani”!

To wszystko przypomina spektakl. Ale wspomniła Pani, że w trakcie pogrzebów są momenty intymne, niewidoczne dla oczu postronnych.

Noc przed ceremonią pogrzebową mojej toradżkiej mamy wyciągnęliśmy ją z trumny. Po śmierci najpierw leżała w swojej sypialni, owinięta materiałami, a potem przeniesiono ją do trumny do pawilonu zbudowanego na okazję pogrzebu. Wyciągnęliśmy ciało i położyliśmy je na platformie przy ryżowym spi-

chlerzu. Usiedliśmy wokół i te fragmenty, które było widać: dłonie, szyję, twarz, czyściliśmy kawałkami bawełny. Razem z innymi kobietami malowałyśmy ją, ktoś dał podkład, ktoś inny szminkę, chciałyśmy, by wyglądała pięknie. To jest tak odmienne od naszego codziennego doświadczania śmierci. My mamy od tego wszystkiego grabarzy i firmy pogrzebowe. Wyobrażam sobie, że dawniej w Europie i USA rodzina też tak opiekowała się ciałem.

Potem każdy z nas coś ściągnął i jej założył lub dał. Cóрка – złotą bransoletkę i naszyjnik, ja nie byłam na to przygotowana, ale moja adoptowana siostra odpowiedziała mi, że nowy szal, który kupiłam na pogrzeb i miałam na szyi, świetnie się nada. Ta ceremonia trwała kilka godzin, w tym czasie artysta wysyłał złote liście na materiale, który miał okryć trumnę. To najbardziej intymny moment, jakiego kiedykolwiek doświadczyłam na Toraja w związku ze śmiercią.

Czy po tych wszystkich doświadczeniach czuje się z nią Pani bardziej pogodzona?

Pogodzona to chyba za duże słowo. Ale na pewno akceptuję śmierć jako część życia. Wcześniej nigdy nie chciałam o niej myśleć, jak większość z nas, uważałam, że jest czymś z zewnątrz, wypierałam ją. Teraz widzę, jak istotne stało się dla mnie tworzenie rytuałów wokół śmierci, jak ważne jest to, by dać sobie czas na zmierzenie się z rzeczywistością i przejście do następnego etapu. Czuje też, że jestem w stanie myśleć o mojej własnej śmierci, a nie potrafiłabym tego bez spędzenia tylu lat wśród Toradżów. Akceptacja śmierci to największy dar, jaki mi ofiarowali. © Rozmawiała MARIA HAWRANEK



ARCHIWUM PRYWATNE

KATHLEEN ADAMS jest antropolożką, zajmuje się kulturą Indonezji, głównie wysp Sulawesi i Alor. Od lat 80. bada turystykę

w regionie Tana Toraja. Autorka i współautorka wielu książek i publikacji naukowych, m.in. „Indonesia: History, Heritage, Culture”, „Everyday Life in Southeast Asia”. Profesor na Uniwersytecie Loyola w Chicago.

SPOSÓB NA SPOKÓJ

JERZY STUHR:

Za każdym razem, kiedy odzyskuję zdrowie,
wracam do życia z jeszcze większym apetytem
na przygodę ze światem.

KATARZYNA KUBISIOWSKA:

**Po raz trzeci spojrzął Pan
śmierci w oczy?**

JERZY STUHR: Pyta pani o udar z lipca? Nie, nie! Zawał był gorszy... Bo z chorobą onkologiczną to jest jeszcze inaczej: tli się powolutku i po cichutku. A serce nagle, znienacka: buch! I nie wiesz, gdzie to się stanie: czy na scenie, czy na planie, czy w domu, czy z kobietą. Więc ciągle strach, że może cię dopaść wszędzie i o każdej porze.

Dopada ból?

Nawet ostrzej: mdlałem. Ale tunelu jeszcze nie widziałem. W pewnym mo-

mentcie ocknąłem się, usłyszałem głos: „Kwadrans był pan poza światem”. A ja nic nie pamiętam, czarna dziura. Ale o czym my tu mówimy, to przecież są dawne czasy.

Rok 1984.

Po tych wszystkich chorobowych przejściach dobrze poznaje się swój organizm.

Co on mówi?

Nawet nie mówi, tylko podpowiada. Uważaj, teraz zwolnij, nie dasz rady, oj, źle się to skończy. Natomiast radość życia jest zawsze. ➔



JERZY STUHR (ur. 1947) jest aktorem i reżyserem. Zagrał m.in. w „Wodzieireju” Feliksa Falka, „Amatorze” Krzysztofa Kieślowskiego, „Seksmisji” Juliusza Machulskiego, a po 1994 r. w filmach własnej reżyserii, m.in. „Spisie cudzołożnic”, „Historiach miłosnych”, „Tygodniu z życia mężczyzny” i „Obywatelu”.

Od początku kariery związany ze Starym Teatrem, występował w sztukach reżyserowanych przez Konrada Swinarskiego, Jerzego Jarockiego i Andrzeja Wajdę. Profesor sztuk teatralnych, były rektor PWST w Krakowie.

→ Zawsze?

Dziś rano mówię do żony, że trzeba bookować hotel w Rawennie, bo w październiku przyszłego roku planuję naszą wspólną podróż do Włoch. Żona mnie ofucza, że tak sobie wybiegam w przyszłość.

Przecież szaleje pandemia.

Droczę się tak z żoną, ale to mi pomaga w podtrzymywaniu nadziei. Bo chciałbym odbyć wielką, może ostatnią, w pełni świadomą podróż własnym autem wzdłuż Italii. Zacząć właśnie od Rawenny, jechać na południe – Pesaro, Brindisi, a z Lecce przetrząsnąć się na wybrzeże Amalfi, którego nigdy nie widziałem.

Macha Pan teraz rękami jak prawdziwy Włoch.

Eee, już nie ma tej werwy... Pojechałbym jeszcze do Wenecji, to było pierwsze moje włoskie miasto. W 1970 r., na trzecim roku szkoły teatralnej, dostałem stypendium z Ministerstwa Kultury. W Wenecji spędziłem ponad dwa miesiące, odbywał się tam wtedy festiwal i filmowy, i teatralny, zjechało dwudziestu kilku stypendystów z całej Europy. Dwóch profesorów z NRD i z Rumunii oraz mnie – ludzi zza żelaznej kurtyny – zakwaterowali w jednym hotelowym pokoju. Okazało się potem, że Rumun uciekł na Zachód, kiedyś spotkaliśmy się w Paryżu, zajmował się krytyką teatralną.

A wtedy, na stypendium, połąkłem bakcyli i zakochałem się w Italii.

Mówił Pan po włosku?

No właśnie nie, więc miałem kompleks. Bo bardzo chciałem przekraczać granice w języku. Zawsze zazdrościłem żonie, która jest skrzypaczką, że dla niej to żaden problem, może zagrać z każdą orkiestrą świata. Zacząłem uczyć się włoskiego. Udało się; już w latach 80. pracowałem w Genui, zresztą z kolegą ze stypendium, który w tamtejszym teatrze został dyrektorem.

W ogóle to ja bardzo chciałem wyrwać się choćby na moment z PRL-u. Trochę podejrzenie to wyglądało, jakbym zdradzał ojczyznę. A w mojej mentalności było i prawdę mówiąc ciągle jest – chociaż już mniej – poczucie, że reprezentuję swój kraj w świecie. Mimo barier, mimo muru, mimo komunizmu. W rozmowach zaznaczałem, że za granicą jestem tylko przejazdem. Pytali:

W przyszłym roku
planuję podróż
z żoną do Włoch.
Żona mnie ofucza,
że tak sobie wybiegam
w przyszłość. Droczę się tak
z nią, ale to mi pomaga
w podtrzymywaniu nadziei.

Nazwałem ją sobie „podróż życia”.

„Czy pan wyemigrował?”. „Nie, nie, ja wracam”.

Zawsze chciał Pan wracać?

W stanie wojennym jako jeden z pierwszych artystów dostałem paszport, bo generał Jaruzelski próbował udowodnić, że nic się nie stało. Przecież granice są otwarte: Stary Teatr wyjeżdża, Mazowsze wyjeżdża, filharmonia wyjeżdża. Zespoł Starego dostał zezwolenie na wyjazd do Argentyny. Stamtąd mogłem jechać do Włoch, miałem propozycję świetnego kontraktu i to nieopodal Triestu, czyli miasta, w którym mój dziadek spędzał wakacje.

I dlaczego Pan nie został?

Małżonka szybko ucięła moje fantazje.

Dobrze, że ucięła?

W tamtych czasach korzystałem z dziwnego statusu. Zaczę od tego, że wszystko sam załatwiałam, nie miałem menedżera. Istniała tylko agencja Pagart, która skupiona była na tym, by złupić prowizję, ale nie gwarantowała, że coś załatwi. Poza tym w Polsce zaczynałem mieć silną pozycję jako aktor od moralnego niepokoju.

Zagrał Pan w najważniejszych filmach tego nurtu – w „Wodzieju” Feliksa Falka i u Krzysztofa Kieślowskiego w „Bliźnie”, „Spokoju”, „Amatorze”.

Pamiętam, że musiałem przerwać kontrakt we Włoszech, bo wracałem na plan „O-bi, o-ba. Koniec cywilizacji”. To był mój pierwszy duży film z Piotrem Szulkinem. Potwornie trudna rola – główny

bohater był skrajnie introwertyczny. A ja prywatnie jestem zupełnie innym człowiekiem, więc w postać musiałem się wtłoczyć. Do mówienia miałem mało tekstu, a otaczały mnie fascynujące i kolorowe postaci poruszające się w apokaliptycznym świecie – na to wszystko mój bohater patrzył z przerażeniem.

No, a Pana pozycja poza Polską?

Gdybym został za granicą, pozycja natychmiast by spadła. Stałbym się jednym z wielu wyrobników aktorstwa. Doceniałem to, że gdy tylko coś nie szło po mojej myśli, to mogłem powiedzieć: „Przepraszam, to ja wracam do Warszawy”.

Mam sporo kolegów, którzy z Polski wyjechali. Niektórzy w marcu 1968 r. zostali do tego zmuszeni. Spotykałem ich w Londynie, w Paryżu, we Florencji. I widziałem zrujnowanych emocjonalnie ludzi. Wraki, dosłownie. Pytali, co w Krakowie, prosili: „Pozdrów chłopaków z Piwnicy pod Baranami”.

Polska ich ciągnęła jak magnes. To dla mnie była wielka nauczka.

Nauczka?

Że jak zostaniesz za granicą, to jak oni wpadniesz w nerwicę. Bałem się tych przeciągających się wieczornych spotkań.

Gdy w 1980 r. z Jurkiem Bińczyckim grałem w „Emigrantach” Sławomira Mrożka reżyserowanych przez Wajdę, to w postać AA wlałem nerwicę moich kolegów. Gdybym wyemigrował, też bym popadł w tę chorobę.

No i język mógłby być przeszkodą.

Tak, na scenie nie wybaczą ci innego akcentu. Powiedzą: „Po coś tam wlał?”.

Nigdy nie mogłem zagrać Włocha, mimo że włoski znam już świetnie. Zdara się, że sami Włosi, którzy mają fiubzdziu na punkcie zgadywania, z jakiego regionu ktoś pochodzi i od razu to rozpoznają po dialekcie, byli przekonani, że jestem z Lombardii albo Piemontu. Ale musiałem być ostrożny. Gdy od RAI dostałem propozycję, bym zagrał Olivettiego, nestora rodu, który produkował maszyny do pisania, powiedziałem, by dali sobie spokój. „Ale wie pan, on żył w Ameryce długie lata” – przekonywali mnie. Ja: „Ale on mówił perfektnie po włosku”.

Więc odmówiłem. Gdybym wpuścił się w rolę Włocha, toby mnie znienawidzili. Natomiast gdy grałem postać profesora w „I odpuść nam nasze długi”, powie-

działem do reżysera: „Czy mogę dopisać do tej postaci, że ten człowiek pochodzi z Niemiec i ma kontrakt na włoskim uniwersytecie?”. Antonio Morabito się zgodził, więc rolę wziąłem. Chodzi o to, by dla specyficznego języka postaci znaleźć uzasadnienie. W „Habemus Papam” Nanniego Morettiego rzecznik prasowy jest Polakiem, tak jak Navarro-Valls był Hiszpanem. Mówił zatem świetnie po włosku, tyle że odrobinę inaczej...

Albo moje włoskie role wariatów Witkacowskich – w „Mątwie” i „Onych”. Wariatom więcej się wybacza.

A „Kontrabasista”, z którym przejechał Pan całe Włochy?

Zaczyna się od słów: „My muzycy niemieccy...” – od razu wiadomo, że problemu nie będzie. Monolog trwał godzinę pięćdziesiąt, mój włoski agent był na przedstawieniu, wylapywał miejsca, gdzie się pomyliłem, zapisywał, potem razem siadaliśmy nad tekstem, mówiłem: „To poprawię, to poprawię, a ten błąd zostawimy, bo ja jestem niemiecki muzyk we włoskiej orkiestrze...”. W tych niuansach był koloryt.

No dobrze, ale Pan jeszcze niewiele powiedział o tej planowanej za rok podróży.

Nazwałem ją sobie „podróż życia”. Jedziemy autem, pełna swoboda, nocleg rezerwujemy tylko w Rawennie, dalej jest spontanicznie, na dziko. Krępują mnie hotele, to, że musisz dojechać na czas. A w październiku zawsze znajdzie się do wynajęcia pokój, nie ma się co stresować.

Żona jest dobrym towarzyszem podróży?

Ona ma więcej chęci niż ja. Bo ja to trochę leniwy jestem. Mówię: „Może ten zamczek odpuścimy?”. Ona: „Nigdy! Nie ma mowy, jedziemy!”. Jest w niej niezaspokojona chęć poznania.

Co musi łączyć ludzi, by po tylu latach małżeństwa chcieli razem podróżować?

W „Weselu” Radczyni mówi: „Jak wy ze sobą będziecie rozmawiać, ona ze wsi, ty z miasta...”. Ja bym się nie porozumiał z inną towarzyszką. Jestem pedagogiem i widzę przepaść mentalną między mną a młodymi... Mówimy innym językiem, mamy inną wrażliwość, inne widzenia świata. Dlatego też jest mi coraz trudniej

Nie lubiłem grać, do dziś nie lubię.

Najbardziej mnie zachwycało tworzenie, kreowanie, dochodzenie emocją do okoliczności, które w tekście były opisane. Ale już w samym graniu wieje nudą. Więc nie jestem rasowym aktorem.

uczyć. Dziś nie biorę się za pedagogikę wychowania od pierwszego roku szkoły teatralnej, nie umiałbym wtajemniczać młodych we wszystkie arkana zawodu. Poprzestaję na tym, że ze studentami przygotowuję dyplomy – obecny jestem jako reżyser, podpowiadam techniczne rozwiązania. Na więcej mnie nie stać.

Młodszy są ulepiani z innej gliny?

Zupełnie innej.

Ciekawe, że Pan to mówi w chwili, gdy zapytałam o żonę.

Bo to jest właśnie sprawa gliny. Żona i ja nadajemy na tych samych falach i posługujemy się identycznym kodem estetycznym – interesują nas podobne rzeczy, sprawy i ludzie.

Jacy ludzie?

Od których płynie bliska nam energia, wiązka otwartości, piękna i sztuki.

Aktorstwo pod tym względem jest zawodem uprzywilejowanym?

Zawód jak zawód. Góralka do mojej żony u nas na wsi mówi: „Stuhrowo, a wy co ta robicie?”. Żona: „Na skrzypcach gram”. „Ale co robicie?”. „No na skrzypcach gram”. „Ale co robicie?”. „No na skrzypcach”. „No, ale przecież to nie jest robota”.

A Gustaw Holoubek mówił: „Kto to aktor? Aktor chodzi, siedzi, mówi, no to przecież każdy inny siedzi, mówi, chodzi”.

Wymiguje się Pan od odpowiedzi.

Bo dość ostrożnie podchodzę do mojego zawodu, wolę nawet termin peda-

gog niż aktor. Z jednej strony w graniu tkwi tajemnica, z drugiej nieraz słyszałem: „Niech pan powie coś naprawdę, panie Jerzy”.

Aktorstwo Pana nie uwiodło?

Niech pani przyjdzie na egzaminy do szkoły teatralnej, jest ponad tysiąc chętnych na kilkanaście miejsc. Góral w Rabie kiedyś do mnie wołał głosickiem: „Panie Stuhre, a wzięłbyś mnie do tej teatralnej szkoły, pasowałoby mi na aktora!”.

Dobrze, to inaczej: co Panu dało aktorstwo?

Na pewno bardziej mnie uwrażliwiło na człowieka. Całe życie go analizujesz i nie wyłącznie pod kątem psychologicznym, mentalnym, fizycznym. A potem czytasz „Rewizora”, masz zagrać tytułową postać i wykonujesz w głowie operację: jak by ją zbliżyć do siebie? Co by mnie się zdarzyło, gdybym znalazł się w identycznych okolicznościach? W tym zawodzie to właśnie jest najpiękniejsze. Gorzej z graniem.

Dlaczego?

Nie lubiłem grać, do dziś nie lubię. Najbardziej mnie zachwycało tworzenie, kreowanie, dochodzenie emocją do okoliczności, które w tekście były opisane. Ale już w samym graniu wieje nudą. Więc nie jestem rasowym aktorem. Krysia Janda mówi: „Ach, jak se dzisiaj zagram!”. Albo Tadeusz Łomnicki... Przyjeżdżam do Zakopanego, wchodzę do Teatru Witkacego, gdzie grał w „Ostatniej taśmie” Krappa. Widzę, jaki jest spocony, dyszący, zmęczony. Pytam: „Tadziu, tobie się chce jeszcze?”. On: „Bo ja chcę umrzeć na scenie”.

Pan nie chce umrzeć na scenie?

Oj, nie! Mam nadzieję, że mnie odratują. Odpowiadam na pani pytanie: w aktorstwie uwodzi mnie dochodzenie do roli. Pomocny w tym jest mój zmysł obserwacyjny, to, że oczy mam wokoło głowy. Sam łapałem się na tym, jak cały czas kogoś podglądam. I snuję opowieść.

Proszę o przykład.

Jestem w restauracji, obok siedzi para, są już przy deserze i ani razu się do siebie nie odezwali.

Dlatego Pana zapytałam, jak to jest jechać ze swoją żoną w podróż!

→ Na szczęście ciągle mam jej coś do powiedzenia, a ona mnie.

A ta para?

Między nimi pustka, cisza, martwota. Nawet nie podzielili się opinią, czy lody im smakują. I już w mojej głowie zaczyna się operacja. Co to może oznaczać? Co się między nimi dzieje? Na jakim są etapie życia?

Gdy podeszła do nich młodzianka kelnerka, mężczyzna natychmiast się do niej uśmiechnął, a do żony ani razu.

Więc z jednej strony inspiruje mnie życie, z drugiej – literatura.

A konkretnie?

Fiodor Dostojewski. „Zbrodnię i karę” w 1980 r. reżyserował Andrzej Wajda, z tym spektaklem potem objechaliśmy cały świat. W Edynburgu krytyk napisał, że ten Stuhr używa środków jak Laurence Olivier.

Proszę opowiedzieć, jak się rodził Pański Porfiry.

Tę postać lepiłem z moich przesłuchań przez Służbę Bezpieczeństwa. W latach 80. co rusz byłem wzywany w związku z perturbacjami paszportowymi. Albo chcieli mnie zastraszyć – bym czegoś nie powiedział na Zachodzie. Lub zjawiałem się u nich jako rzecznik dyscyplinarny. Kiedy pani profesor Danuta Michałowska została rektorem PWST, poprosiła mnie, bym objął funkcję rzecznika: „Pani profesor, ja się na tym nie znam, mnie to nudzi”. Ona: „To tylko formalność, nic nie będziesz miał do roboty, zobaczysz”.

Zgodziłem się. I zobaczyłem: wybuchł stan wojenny, studenci co chwilę ładowali na komisariatach, a ja musiałem ich stamtąd wyciągać.

Co Pan mówił?

Pieprzyłem jakieś głupoty, rolę rzecznika grałem... Ale te rozmowy z bezpieczeństwem to była kopalnia wiedzy. Wajdzie powiedziałem: „Andrzeju, ja bym zagrał Porfirygo”. On: „Jurku, to przecież stary facet, a ty jesteś młody”. Ja: „Andrzej, my jesteśmy równolatkami, Porfiry ma 37 lat. Poza tym wśród esbeków spotykam kumpli z prawa – studiowaliśmy w tym samym czasie, ja miałem zajęcia w Gołębniku, a oni sto metrów dalej – w Novum”. Wajda: „Robimy!”.

I od razu wszystko stało się jasne: Raszkolnikow i Porfiry to są koledzy, tylko



WOJCIECH PLEWIŃSKI

Jerzy Stuhr w spektaklu „Noc listopadowa” w reżyserii Andrzeja Wajdy w Starym Teatrze, Kraków, 1974 r.

każdy poszedł w inną stronę. Ale obaj tak samo pomyleni.

Natomiast postać AA w „Emigrantach” budowałem na podstawie tych moich rozmów z kolegami w Londynie, Paryżu, Florencji.

Grał Pan emigracyjną nerwicę?

A tu krytyk pisze: „To chybiona rola. AA ma być intelektualistą, a Stuhr jest na innym biegunie”. Dopiero gdy Mrożek zobaczył spektakl, zawyrokował: „Tak to trzeba grać!”.

W tworzeniu ról przydawały się też moje studia filologiczne. Byłem przecież uczniem Marii Dłuskiej, Kazimierza Wyki, Tadeusza Ulewicza, z którymi ciągle analizowało się tekst.

„Synku – mówiła babcia Dłuska – analizuj mi ten wiersz Wierzyńskiego”. Ja: „Tylko trzeba by wiedzieć, pani profesor, gdzie on to napisał, w jakich okolicznościach, czy już go nie było w kraju?”. Bardzo to było ciekawe.

A profesor Wyka, który przychodził na „Dziady” reżyserowane przez Swinarskiego w Starym, zawsze musiał skosztować kaszy z kotła wystawionego na początku obrzędu.

Tak właśnie uzupełniała się sztuka i życie w tym kraju i o tym czasie. Myśmy opowiadali tu o duszeniu się w PRL-u, ale dusza chciałaby gdzieś się rwać.

A skutki uboczne aktorstwa?

Emocje.

Za silne?

Na wierzchu. Kończy się spektakl i nie potrafię uspokoić ciała. System nerwowy jest pobudzony i na najwyższych obrotach – co wieczór na scenie go uruchamiasz.

Sporo aktorów rozhuśtane emocje topi w alkoholu.

Doskonale ich rozumiem. Od pierwszego roku szkoły teatralnej słyszysz od pedagoga: „Chcę od ciebie emocji. Musisz je w siebie włożyć, mają płynąć z twojego wnętrza. To jest istota aktorstwa”. I teraz kwestia: jak się od tych emocji uwolnić?

Jak?

Przyjść do domu, zmyć naczynia, za progiem zostawić wszystko.

Przecież tak się nie da.

Trzeba próbować. Ale najbardziej newralgicznym procesem jest dogrzebywanie się do swoich emocji w trakcie budowania postaci. One są wtedy bezbronne i świeżutkie.

Moje małżeństwo ratowało to, że żona uprawia podobny zawód. Oboje wiedzieliśmy, kiedy zostawić się w spokoju. Chodzi o to, by nie naruszać skupienia i nie egzekwować wzajemnych relacji. W naszej młodości zdarzały się tarcia, nie umieliśmy odpuścić, uczyliśmy się siebie latami.

Nielatwa sprawa: dwoje artystów pod jednym dachem. A do tego jeszcze gdzieś jechałem z teatrem i kilka miesięcy nie było mnie w domu.

Jak Pan znosił te rozstania?

Zamieniłem miłość na tęsknotę. Jak mnie ktoś pytał, czy Kocham swoją rodzinę, odpowiadałem, że za nią tęsknię.

Rodzina wiedziała o tym?

Skoro do trzeciej nad ranem na poczcie w Buenos Aires czekałem na połączenie z domem i nagle telefonistka krzyczała na całą salę, że Polska jest na łączu w kabinie numer pięć – to osoba, która nad ranem w Krakowie trzymała słuchawkę, wiedziała, że ja stałem całą noc, by choć słowo z nią zamienić. Niełatwe były też powroty. Tyle czasu cię nie ma, przyjeżdżasz i widzisz, że twoja rodzina już sobie nowe ścieżki w domu i w psychice wychodziła. A ty im trochę przeszkadzasz.

Jak intruz?

Bywa jeszcze tak, że niby jesteś w domu, ale tak naprawdę tkwisz w kompletnie innym świecie. Na przykład zastanawiasz się nad scenami w scenariuszu. I nagle dochodzi do ciebie głos z zewnątrz, że dziecko z przedszkola trzeba odebrać. Nawet nie masz jak wytłumaczyć, co ty w tej chwili kombinujesz, bo siedzisz w milczeniu, jakbyś się nudził.

A wtedy właśnie potrzebny jest absolutny spokój?

Ciekawa sprawa z tym spokojem. Jeszcze kilka miesięcy temu tęskniłem za ciszą, chwilą wolnego od maratonu kolejnych prac. I zwoleń z ogłoszeniem pandemii – teatry zamknięte, nie kręci się filmów, z domu lepiej nie wychodzić. Niespodziewanie przyszedł spokój.

I darowane życie po udarze.

To było dziwne: przez dwa dni gadałem od rzeczy. Przystawiałem sylaby, mówiłem – nie „droga”, tylko „rodogra”. Wiedziałem, co chcę powiedzieć, jak brzmi to słowo, a wychodziło inaczej.

Bał się Pan, że tak już zostanie na zawsze?

Nawet nie, bo to trwało krótko. Na drugi dzień pobytu w szpitalu przyszła pani logopedka, chwilę ze mną poćwiczyła i powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Ale zdarza mi się nawet teraz przekreślać słowa. Mów publicznych wolę nie wygłaszać, tyle że z innego po-

wodu: okropnie gada się *online*, czyli do ekranu. A ja uwielbiam publiczność. Bez ludzi na żywo tracę wenę.

A zdrowienie po udarze?

Tu przydał się mój trening w chorobach. Po raku miałem tak wycieńczony organizm, że musiałem się go uczyć od początku. A po zawale na szpitalnym korytarzu spotkałem kolegę sercowca, który mówi: „Panie, daj se pan spokój, byle do renty, niech pan nie myśli o scenie”. A ja miałem wtedy 37 lat.

I jaki jest na to sposób?

Do zdrowienia potrzebna jest cierpliwość. Muzycy mają ją w małym palcu, wyznaczają sobie cele, planują: dziś ćwiczę pasaż. Podobnie jest z uczeniem się tekstu – trzeba to robić krok po kroku, bez zrywów. Systematyczność w wychodzeniu z choroby też jest kluczowa: w poniedziałek zrobię dziesięć kroków, w środę dojdę do tamtej ławki, w piątek może uda się dotrzeć do drzewa.

Swoją drogą, w szkole nie cierpiałem zajęć z dykcji i improwizacji, ale trzeba było się dyscyplinować. To też jeden z powodów, dlaczego tak trudno mi dziś uczyć młodzież, która oczekuje szybkich efektów. Problem w tym, że w aktorstwie nie ma drogi na skróty.

Co jeszcze jest potrzebne w wychodzeniu z choroby?

Wiara.

Ale jaka?

Że istnieje sprawczość.

Sprawczość?

Że to nie czas na rentę i niedołężność. Albo jeszcze inaczej: gdy leczyłem się z nowotworu, na kilka godzin uciekałem ze szpitala w Gliwicach do pustego kościoła, siadałem w ławce i wyznaczałem sobie zadania. Potem opowiedziałem o tym ks. Andrzejowi Lutrowi, a on mówi: „Właśnie wtedy się pan modlił”. „Nie, nie modliłem się! Tylko rozmyślałem o dzieciach i o wnukach”. „To była modlitwa” – mów mi na to.

Ale jako ministrant kościół poznałem z innej strony. W czasie podniesienia z kolegami przykrywaliśmy palcami dzwoneczki, by za każdym razem dawały inny dźwięk. Powstawały prawdziwe symfonie! Ksiądz, który mszę odprawiał, mówił potem w zakrystii: „Chodź no tutaj, dawaj ucho”. „A za co?”. „Nie robić mi tu teatru z mszy i z kościoła”.

Wielka lekcja.

A lekcja, którą udziela choroba?

Za każdym razem, kiedy odzyskuję zdrowie, wracam z jeszcze większym apetytem na przygodę ze światem. Myślę: „Dobra jest, przeszło, Pan Bóg mnie pokarał, ale odpuścił. Moja mama tam gdzieś w niebie wynegocjowała, że jeszcze mogę tu pobyc, pograć, poczytać, podróżować”. Mówię o tym osobom chorującym.

Że czeka ich nowa przygoda?

Czasem pomaga, czasem nie. To moje jednostkowe doświadczenie. I przekonanie: o Jezus, wywinąłem się, teraz to się dopiero zaczyna.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

POZEGNANIE

Z najgłębszym żalem żegnamy

Marcina Króla

który ważną część swego obszernego i wybitnego dorobku powierzył Wydawnictwu i Miesięcznikowi Znak.

W osobie Marcina żegnamy intelektualistę, który polskie sprawy ujmował w szerokiej perspektywie europejskiej, głęboko wnikając w historię ludzi oraz idei.

Marcinie, dziękujemy Ci za horyzonty, które otwierałeś, i za wszystkie inspiracje, którymi nas wzbogaciłeś.

PRZYJACIELE ZE ZNAKU

Saperka

MONIKA OCHĘDOWSKA

Najnowszą historię kobiet chcą nam pisać Blanka Lipińska, Remigiusz Mróz i Patryk Vega. Snują opowieść, w której centrum znajduje się gwałt. Nic wam do tego – odpowiada Inga Iwasiów.

POSTULAT, BY PISARKI ŚMIAŁO ZAJMOWAŁY „stanowisko gza kásającego instytucje państwowe”, zarezerwowane zwykle dla mężczyzn, jest stary jak eseje Virginii Woolf. Mimo to splot polityk i relacji wydaje się dziś równie silny, a jednocześnie rozedrgany jak w czasach, gdy kobieta z nieokreślonej obserwarki życia, jak pisała Woolf, przekształcała się dopiero w jego uczestniczkę – wyborczynię i obywatelkę. Giez kása boleśnie.

W liście do władz Uniwersytetu Szczecińskiego minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek zażądał podjęcia „stosownych kroków” wobec wykładowczyni skandującej hasła na ulicznym proteście kobiet przeciwnych zaostreżeniu prawa aborcyjnego.

Na oficjalnym wniosku się nie skończyło – zaangażowanie profesorki US w demonstrację skomentowano w kronice TVP. Powołany przez uczelnię rzecznik dyscyplinarny po przeanalizowaniu „licznych doniesień medialnych” odmówił wszczęcia postępowania, ale literaturoznawczyni, krytyczka i pisarka Inga Iwasiów odebrała jego postanowienie razem ze stosikiem zaadresowanych pod swoim adresem brutalnych anonimów.

Podtytuł ostatniej, wydanej pod koniec zeszłego roku powieści Ingi Iwasiów zdradza, że była pisana, „gdy wyszłyśmy na ulicę”. Wniosek nasuwa się sam: to rzecz inspirowana zwoływaniem od czterech lat Ogólnopolskim Strajkiem Kobiet. Bohaterkę „Kronik oporu i miłości” – nauczycielkę, dziennikarkę i działaczkę Frakcji Pokojowej, ruchu stanowiącego grupę oporu przeciw szerzącej się w kraju nienawiści – spotyka seria zdarzeń prowadzących do dezintegracji jej dotychczasowego świata. Nie tylko kończy się, ale także, jak pisze Iwasiów, „paćka” długoletni związek Małgorzaty z Anną. Rozluźnieniu ulegają także jej relacje z dorosłym już synem i braćmi. Liczne,

przywołane w utworze retrospekcje budujące biografię bohaterki także służą zilustrowaniu jej rozstań – z mężem, matką, planami na życie. Małgorzata zostaje zwolniona z pracy, a jednocześnie ktoś publicznie nazywa ją osobą głoszącą „plugawe poglądy”, która „na szczęście została zdemaskowana i wyeliminowana z zawodu”. Wtedy znajomi z ruchu wpadają na pomysł, by została kronikarką niełatwych splotów polityki i relacji, kronikarką oporu. Małgorzata zaczyna pisać.

Gorzki eros

Jeden z fragmentów wydanego właśnie po polsku eseju mieszkającej w Kanadzie filolożki klasycznej i poetki Anne Carson nosi tytuł „Czy miłość może się powieść?”. Pomyślność erotycznych uniesień z popularnym gatunkiem literackim kojarzy on oczywiście nieprzypadkowo. Otóż Carson w roli prekursora dzisiejszej powieści obsadza Charitona z Afrodyzji – autora najstarszego zachowanego w całości romansu, który swoje dzieło określał mianem *erōtika pathēmata*. U swych początków powieść była historią „erotycznego cierpienia”, co znaczy tyle, że wszystkie jej wątki pętano w celu podtrzymania męki bohaterów opierających się własnym pragnieniom. Za każdym razem – pisze Carson – kiedy namiętność wydaje się czytelnikowi Charitona bliska spełnienia, między kochanków jak zasłona spada otwierająca kolejny rozdział *aidōs* („wstydlivość”).

Najbardziej pożądany eros to zatem nie ten zwycięski, ale odsunięty w czasie, eros napotykaający przeszkody. W stosunku, jaki zachodzi między pisarzem a powieściowymi kochankami, jest zatem coś paradoksalnego, zauważa Carson – zamiar skusumowania miłości ich skłóca. Słodko-gorzki smak tego ćwiczenia, jego sprzeczność, teoretycy powieści uznali swego czasu za „zasadę gatunku”. W ten

oto sposób seksualność obwarowana została restrykcjami, wciąż świetnie sprawdzającymi się np. jako fabularny schemat komedii romantycznych.

W jednej ze swoich książek krytyczno-literackich, a właściwie „monografii bycia krytyczką literacką w Polsce po 1989 roku”, Inga Iwasiów wyznała, że jako profesjonalna czytelniczka narodziła się podczas lektury powieści klasyka antykomunistycznej alternatywy, Włodzimierza Odojewskiego. Bohaterem jego „Zasypie wszystko, zawieje” – trzytomowej księgi uznawanej za jedną z najwybitniejszych polskich powieści współczesnych – jest wędrujący na przełomie 1943 i 1944 r. przez ogarnięty wojennymi walkami i zniszczeniem kraj Paweł Woynowicz. Celem drogi jest Katyń – to tam Woynowicz planuje odnaleźć ciało zaginionego brata oraz jego żonę. Iwasiów podczas pracy nad prozą Odojewskiego zwróciła uwagę, że przepełnia ją seksualna przemoc, której źródłem jest nie tylko wojenny wróg, ale i sam bohater. To właśnie Pawła, a nie zgwałconą przez niego szwagierkę Katarzynę autor obdarza uczuciem wstydu i upokorzenia.

Kobieta zawsze pozostaje w tej prozie bierna, bezładna, otwarta – pisała Iwasiów. Jest obiektem kultu i trofeum, zwierzyną, której ślady się tropi, by ją uratować, a następnie zniewolić: „Nie mogłam nie zauważyć, że wszystko w [tej] najsłynniejszej powieści (...) dzieje się przez »ciało kobiety«, a nawet »przez jej trupa« (...); że wzdychający do czarownej Katarzyny krytycy (...) zostali uwiedzeni przez jej nieszczęście, przez gwałt na niej. I że w ogóle o tym nie wiedzą. Nie podlega to refleksji, nikogo nie niepokoi”. To dlatego, że sposobem regulowania równowagi społecznej w naszej inspirowanej romantyzmem kulturze jest ofiara z kobiet, konstatowała Iwasiów.

Odkrycie poczynione w pierwszych feministycznych próbach młodej doktorantki na początku lat 90. zostało dosadnie wykrzywane na jesiennych manifestacjach. Jak słusznie zauważył na naszych łamach Dariusz Kosiński („Będzie inaczej, serio” nr 48/2020), w samym centrum protestów „znalazła się profanacja kobiecego ciała, które kultura patriarchalna sakralizuje po to, żeby poddać je swojej kontroli i wyłączyć z użycia przez same kobiety”. Odrzucona została – pisze dalej Kosiński – „seksualność obłożona wieloma »świętymi« zakazami, które,



KAROL GRYGORUK / RATS AGENCY DLA „WO EXTRA”

Inga Iwasiów. Warszawa, czerwiec 2019 r.

czyniąc ze spółkowania »misterium«, za razem nie pozwalają go używać – w całej precyzyjnej wieloznaczności tego słowa”. A zatem: z jednej strony narrację naszej kultury wprawia wciąż w ruch starogrecki *aidōs*. Z drugiej – potrzebna mu jest ofiara z kobiecego, bezwolnego i podawanego nieustannemu dozorowi ciała.

Kobiety mafii

Ciała bezwolnego, bo trudno byłoby sklecić nawet prowizoryczny katalog zaangażowanych politycznie fabuł napisanych w minionych dekadach przez kobiety. Uderzający był – wskazywany skądinąd w twórczości krytycznej Iwasiów – brak w powojennej Polsce tradycji wyznaczonej przez książki Marii Dąbrowskiej czy Zofii Nałkowskiej. Zmianę miały przynieść dopiero lata 90. Swoje emigracyjne, prowokacyjne obyczajowo książki publikuje wtedy Manuela Gretkowska. Debiutuje łamiąca tabu lesbianizmu Izabela Filipiak (później Morska). Pojawia się zu-

chwała i bezkompromisowa w pisaniu o kobiecej seksualności Zyta Rudzka. Chwilę wcześniej ważne „Ciało niczyje” publikuje Krystyna Kofta (Iwasiów poświęci zresztą tej autorce wiele tekstów krytycznoliterackich).

Te książki były gniewne, nieoczywiste, trudne do przyjęcia i dlatego szeroko komentowane, od prasy specjalistycznej po bulwarówki. Po obiecującym początku nastąpił jednak zastój – relacjonowała Iwasiów – zwrot kobiecego pisarstwa w stronę łatwej beletrystyki w duchu popfeminizmu, komponowanej według dobrze rozpoznanego schematu emancypacyjnego: kryzys (w małżeństwie), zmiana otoczenia prowadząca do zmiany w życiu, wreszcie: nowa tożsamość (i nowy mąż, a czasem nawet ten sam, tylko „odpicowany”).

Najnowszą historię kobiet piszą więc Blanka Lipińska, Remigiusz Mróz i Patryk Vega. To znów opowieść, w której centrum znajduje się gwałt, tyle że wywie-

dziony z pola bitwy w oswojoną, miękką, luksusową scenografię zagranicznych hoteli, korporacji i mieszczańskiego salonu, do których aspirować mają czytelniczki i widzowie. Produkowane przez tę trójkę opowieści są niezwykle brutalne (szydząc z literackiej „płodności” Mroza rzadko zwraca się uwagę na drastyczne sceny gwałtu stanowiące punkt kulminacyjny jego książek), a jednocześnie w roli ofiar i oprawców stawiają kobiety.

Mecenas Joanna Chyłka z wielotomowej serii Mroza (podobne do niej postaci umieszcza w swoich ostatnich filmach Patryk Vega) pracuje dla bezwzględnej, prawniczej korporacji, na najprawdziwszym polu bitwy. Chcąc przeżyć i wygrać, musi się w tych warunkach odnaleźć. W swoim serialowym wcieleniu jest zatem miłośniczką krwawych steków i mocnego alkoholu. Pracoholiczką traktującą podwładnych jak mięso armatnie. Gardząc „babską” zdrową dietą i aktywnością fizyczną, zawsze wygląda zjawiskowo.

Mróz przekazał swojej bohaterce wszystkie cechy typowo maczystowskiego bohatera popkultury. W takiej roli obsadza się również autorka kontrowersyjnej erotycznej trylogii Blanka Lipińska, niegdyś „promotorka” dziewczyn pojawiających się w roli seksownego przeciwnika w walkach MMA i menadżerka w jednym z sopockich klubów nocnych, do którego werbowano – często szantażem i przemocą – niepełnoletnie dziewczyny. Już jako autorka bestsellera poprowadziła skupione wokół walk MMA *reality show* „Tylko Jeden”. Co uczyniła tematem swoich literackiej fantazji? *Erōtika pathēmata* – odsuniętego w czasie, napotykającego liczne przeciwności na drodze do konsumpcji erosu. W jej powieści jednak *aidōs* niebezpiecznie igra z rozbudzonym w czytelniczkach pragnieniem przemocy, bo największą przeszkodą powodzenia historii okazuje się porwana przez przystojnego gangstera kobieta.

Na tzw. wyższej półce stoją jednak zupełnie inne opowieści. To historie prekariuszek wywiedzione z „Dziennika Bridget Jones” – ich tematem jest nieodmienne porażka. Różnica między dawną Bridget a jej najnowszymi wcieleniami polega na tym, że ich dramat rozgrywa się tylko w przestrzeni zawodowej, ostatecznie rozplątując fabularne związki polityki i uczuć. Eros znajduje się poza obszarem zainteresowań bohatererek, a w czasie

→ odwleczony zostaje nie seks, lecz sukces. Oswojenie z klęską przychodzi im nad wyraz szybko, wystarczy pooglądać kreskówki, żeby się przekonać, że porażka stała się po prostu *cool*.

Takie przesunięcie daje oczywiście kobietom szansę na emancypacyjną opowieść z pogranicza, ale wystarczy sięgnąć po najczęściej nagradzaną tego roku debutantkę, Dorotę Kotas, by się przekonać, jak trudno jest cokolwiek z marginesu radykalnej bierności naprawdę powiedzieć. Bohaterka „Pustostanów” jest sparalizowana, żyje w nieustannym lęku przed konfrontacją ze światem. Czy właśnie w takim modelu kobiecej prozy widzą szansę kapituły nagród literackich? „Czuję się jak saperka na polu literackiego patriarchy” – pisała kilka lat temu o książkach pisanych przez kobiety oraz przyznawanych im laurach Iwasiów, pomysłodawczyni Nagrody Literackiej Gryfia (z kapituły której prędko

ją odwołano) – „troszeczkę rozminowałam, więcej nie dam rady”.

Smak mięsa

W rzeczywistości Inga Iwasiów rozminowała wiele pól, problem polega chyba na tym, że nie wykształciła się na tyle silna kryty(cz)ka, która potrafiłaby przez nie wszystkie przebiec bez obawy o utratę kończyn. Przecież – jak ironizowała Iwasiów w jednym z opowiadań tomu „Smaki i dotyki” – „interesując się obrazami kobiecej traumy” czy „poszukiwaniem tożsamości” z pewnością „straciłaby wiarygodność jako ekspertka”. Właściwie każda książka Iwasiów była próbą wejścia na teren okupowany przez męską narrację i rozminowania go, a więc prześmyślenia tego, jak może w nim funkcjonować kobieta – dojrzała, biseksualna, bezdzietna albo bardzo niedramatycznie uzależniona od alkoholu. Każda była próbą postawienia kobiety okoniem wo-

bec modelu zaproponowanego jej przez kulturę.

Symboliczna i jakby pełniąca funkcję pisarskiego manifestu wydaje się w tym kontekście scena jednego z opowiadań „Smaków i dotyków”, gdy bohaterka ogląda w muzealnej sali fotosy Cindy Sherman z cyklu „Untitled Film Still”. W niewielkich czarno-białych zdjęciach amerykańska artystka wcielała się w stereotypowe kobiece role zaczerpnięte z filmów stanowiących kanon zachodniej kultury. Po latach ten zabieg powtórzyła fotografka Aneta Grzeszykowska. Ale pierwsza w umowne role odgrywane przez Sherman weszła swoją twórczością Iwasiów, skutecznie – jak pisał Dariusz Nowacki – dewastując „ulubione bajki kobiet i tworząc na ich gruzach antybaśnię”.

Iwasiów jednak nie tylko dewastuje, ale też buduje w kobiecej prozie wzorce równoległe do typowo męskich bądź uzupełnia przestrzenie dotąd puste. W jej książkach zaproponowany zostaje nowy język kobiecej erotyki. Jej bohaterki chcą wszystkiego doświadczać, jakby stanowiły przejaw samego życia, gęstości istnienia, jego uzewnętrznienie. Wiele uwagi w swojej twórczości poświęca Iwasiów temu, co nietrwałe, przelotne, efemeryczne i silne w swej niepohamowanej odnawialności. Ale jej powieści są jednocześnie tłuste i ciężkie – wypełnione mięsem codzienności. I nic w tym dziwnego, bo przecież kategoria mięsności, jak tłumaczyła niegdyś filozofka Jolanta Brach-Czaina, ściśle odnosi się do tego, „co w istnieniu najbardziej zmysłowe, dotykane i bujne, tryumfująco cielesne, co się rozrasta i rozpycha”. Mięsność „wiąże się z całkowitym odsłonięciem na doznania, jest to bowiem postawa, w której przyjmujemy świat bez osłony, można by powiedzieć: bez skóry. Żadne zakazy, zakłęcia i obwarowania nie stanowią dostatecznej zapory przed tryskającą soczystą mięsnością”.

To u Iwasiów spotykamy po raz pierwszy kobietę zmagającą się z chorobą alkoholową („Pięćdziesiątka”), której ten alkoholizm jednocześnie (jak to bywa w męskim kanonie prozy) nie uwzniosła, nie mitologizuje, nie przekreśla relacji, a wreszcie także – nie zabija. To w jej książkach pojawia się kobieta w kryzysie wieku średniego i kobieta mierząca się z rolą liderki („Kroniki oporu i miłości”). To Iwasiów uporczywie przeła-

23 listopada zmarła artystka

Maria Ledkiewicz-Wodnicka

rzeźbiarka, zajmująca się również grafiką, konserwacją tkanin i ceramiką. Studiowała rzeźbę na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Po studiach współpracowała z Heleną i Romanem Hussarskimi, najpierw jej nauczycielami, później przyjaciółmi. Jako członkini ich zespołu brała udział w rekonstrukcji zniszczonych podczas II wojny światowej kaflów, które od XVII wieku zdobiły Pokój Holenderski w pałacu Na Wodzie w warszawskich Łazienkach. Była również współautorką płytek do zamku w Pieskowej Skale i pałacu w Jabłonnej, a także wykonanych w technice piropiktury dekoracji Klubu Sportowego „Korona” w Krakowie oraz Fryzu Rycerskiego w Muzeum Bitwy pod Grunwaldem. Jej ceramiczne prace zdobią kościoły w Kielcach i Darominie.

Jednym z jej dzieł było również krakowskie mieszkanie: strych w kamienicy przy ulicy Królewskiej, gdzie przez kilkadziesiąt lat – wraz z mężem Adamem Wodnickim (zmarłym w czerwcu tego roku) – tworzyła magiczną przestrzeń, pełną nieoczywistych znaczeń, a przy tym gościnną, zawsze otwartą dla przyjaciół, których traktowała z bezgraniczną serdecznością i szacunkiem.

Dostrzegała rzeczy niewidoczne dla innych. Potrafiła uważnie słuchać i rozmawiać (nie tylko z ludźmi, ale też ze zwierzętami, które kochała i podziwiała). Rzeczom, miejscom, ludziom i zwierzętom nadawała nazwy i imiona, wyrażając za pomocą tych niezwykłych przydomków afirmację i czułość. Duże znaczenie miały dla niej rytuały, nie tylko religijne, które przeżywała w szczególny sposób, przygotowując na ich okoliczność oryginalną scenografię. Były one częścią jej życiowego rytmu, za ich pomocą organizowała czas egzystencji własnej i odwiedzających jej dom przyjaciół. Uwielbiała opowiadać, własne oraz przejęte od innych, prawdziwe i fikcyjne, które – jak lubiła powtarzać – są tkaninami wyścielającymi świat, czyniącymi go piękniejszym i przyjaźniejszym.

„TYGODNIK POWSZECHNY”

muje tak drażniący w prozie kobiecej schemat, w którym choroba bohaterek powodowana jest zaburzonymi relacjami z matką, pokazując, że ani mała dziewczynka, ani dorosła kobieta nie muszą rezygnować z tej relacji dla zachowania własnej tożsamości i w imię dobrych stosunków z innymi.

Wreszcie – Iwasiów konsekwentnie odrzuca w swojej prozie seks jako źródło traumy i lęków, przestrzeń sakralizacji i przekroczeń. Jej kronik codzienności nie nakręca zakazane misterium spółkowania – przeciwnie, to seksualność nieobjęta żadnymi obostrzeniami, seksualność wolna i spełniona staje się zwierciadłem społecznych przemian. „W powietrzu” to udana próba przekształcenia kolejnego męskiego wzorca powieściowego, jaki znamy z „Pamiętników Fanny Hill” Johna Clelanda czy „Justyny” de Sade’a – erotyczna historia kilku dekad życia kobiety, będąca także symboliczną opowieścią o przemianach Polski. A może jest to jednak alternatywna historia naszego kraju, próba wyobrażenia sobie tego, jak mogłby wyglądać, gdyby jego kronikę i mit założycielski napisały kobiety, zanim „zasypie wszystko, zawieje”.

Uznawana jeszcze kilka miesięcy temu za inicjatorkę przemocowego protestu Łania z kolektywu Stop Bzdurom jest dziś przekonana, że feministyczny bunt wzniecony z troski o zdrowie kobiet zbyt szybko traci ciepło: „Nie ma już tej siostrojnej siły, która była pierwszego dnia pod TK”. Coraz częściej pojawiają się szukający rozrywki pijani ludzie, a tłum skanduje „Jebać PiS” w rytm nowego przeboju Cypisa. Słowa „nigdy nie będziesz szła sama” najwyraźniej przestały być atrakcyjne – konkluduje swój wpis na łamach Codziennika Feministycznego, tłumacząc, że nie chodzi jej bynajmniej o zarzut wulgaryzacji wobec uczestniczek strajków, bo hasło „Mamy dość” dawno się wyczerpało, a wyrażająca je bezradność słusznie przeszła w gniew. Raczej o to, co w swojej ostatniej powieści pokazała Iwasiów – jak szybko kronika oporu może zostać przejęta, zhakowana i przepisana na nowo językiem przemocy. Jak prędko fala sprzeciwu może opaść pod wpływem wewnętrznych sporów ruchu, doprowadzając do jego rozpadu. Pytanie, kiedy dostrzeżemy, że niektóre pola dawno zostały już rozminowane, i zdecydujemy się wreszcie przez nie przejść.

© MONIKA OCHĘDOWSKA



ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ / POLONA.PL

Fryderyk Chopin na litografii Władysława Walkiewicza według wzoru Tytusa Maleszewskiego, 1892 r.

Aria na strunie G

DOROTA KOZIŃSKA

Są badacze, których zdaniem Fryderyk Chopin umarł w dziewictwie, a wszelkie jego „romanse” były czysto platoniczne. Inni twierdzą, że stracił zdrowie na orgiach organizowanych regularnie przez paryskie elity.

MOŻG KRYTYKA FREELANCERA TO SAMOTNY MYŚLIWY. Odcięty od plotek środowiskowych i codziennej wymiany poglądów z redakcyjnymi kolegami, rozpoczyna dzień od prasówki w internecie, przeczesując branżowe

fora i serwisy informacyjne w poszukiwaniu nadchodzących wydarzeń muzycznych oraz innych źródeł inspiracji. Osobiście nie narzekam. Jeśli nie liczyć przerwy w podróżach recenzentkich, moje życie w pandemii ➔

→ niewiele się zmieniło. Ba, mam nawet więcej czasu na własne kwerendy i weryfikację danych trafiających do sieci.

W zarzucaniu muzyków i melomanów gradem nowinek celuje zwłaszcza Norman Lebrecht, kontrowersyjny brytyjski publicysta i gospodarz popularnego blogu „Slipped Disc”.

Korzystanie z tego medium wymaga sporej ostrożności i rozeznania w temacie. Blog jest nastawiony na tzw. *clickbait* i Lebrecht często w dość niewybredny sposób prowokuje odbiorców do aktywności – nie tylko za pośrednictwem chwytliwych nagłówków, ale też stroniczego doboru treści i świadomego wprowadzania czytelników w błąd. Trochę jak w pytaniu do Radia Erewań: czy to prawda, że w Moskwie na placu Czerwonym rozdają samochody? Prawda, ale nie w Moskwie, tylko w Leningradzie, nie samochody, tylko rowery, i nie rozdają, ale kradną. Co nie zmienia faktu, że „Slipped Disc” jest bardzo użyteczny dla osób zajmujących się muzyką zawodowo – informacje trafiają na stronę błyskawicznie i przynajmniej wiadomo, gdzie dalej szukać, żeby się czegokolwiek dowiedzieć.

Frycek w szafie

Z raportem o dwuczęściowej audycji Moritza Webera, wyemitowanej przez niemieckojęzyczne Radio SRF 2 Kultur z Zurychu, Lebrecht spóźnił się niemal tydzień. Ale i tak był pierwszy: gdyby nie post pod sensoryjnym tytułem „Exclusive: new evidence that Chopin was gay”, opublikowany 20 listopada, wszyscy – z niżej podpisaną włącznie – pozostaliby w błogiej nieświadomości istnienia pana Webera oraz jego rzekomych odkryć. Zalinkowany we wpisie artykuł wraz z podkastem dostarczył mi przedniej rozrywki na resztę dnia, choć już wtedy nie mieściło mi się w głowie, że szwajcarski nadawca publiczny mógł wpuścić na antenę przejaw tak ewidentnej hucpy. Pod spodem, na forum, rozwinęła się ciekawa i na ogół rzeczowa dyskusja, wszystko jednak wskazywało, że post wkrótce zniknie – w natłoku kolejnych doniesień o skandalach w branży i odwołanych koncertach.

Przyznam się, że niesłusznie zlekceważyłam tę rewelację. Kilka dni później rzecz wypłynęła w zachodniej prasie, m.in. na łamach dziennika „The Guardian”, po czym okólną drogą trafiła do Polski. Wraz z lawiną pytań, jak do sensa-

Moritz Weber, pianista
i dziennikarz muzyczny,
sam przyznał,
**że do lektury listów Chopina
zabrał się trochę z nudów,**
odcięty przez pandemię
od swojej głównej
działalności zawodowej.

cyjnych odkryć Webera odniosą się instytucje w kraju, którego prezydent obwieścił, że „ideologia LGBT” jest gorsza niż komunizm, gdzie jawny homofob został niedawno ministrem edukacji i szkolnictwa wyższego, a mniej więcej jedna trzecia obszaru państwa znalazła się w strefie proklamowanej przez lokalne samorządy jako „wolna od LGBT”.

Sprawa jest poważna. Polska już jakiś czas temu wzięła schedę po imperium osmańskim i została przez wielu ogłoszona chorym człowiekiem Europy. Obawiam się jednak, że tocząca ją choroba poczyniła znacznie większe spustoszenia, niż nam się dotychczas zdawało. Zabrała nam umiejętność krytycznego myślenia. Upośledziła zdolność weryfikowania źródeł informacji i rzetelności zawartych w nich wypowiedzi. Zaburzyła procesy poznawcze. Jak bowiem inaczej zdiagnozować reakcje wielu porwanych słusznym zapałem publicystów i dziennikarzy – ba, nawet muzyków! – którzy ruszyli wyciągać Frycka z szafy, a nawet nie zadali sobie trudu, żeby sprawdzić, na jakich przesłankach oparł swoje tezy nieznanym szerzej Szwajcar?

Norma jakości ISO 17100

Moritz Weber – pianista i dziennikarz muzyczny z kilkuletnim zaledwie doświadczeniem w mediach lokalnych – sam przyznał, że do lektury listów Chopina zabrał się trochę z nudów, odcięty przez pandemię od swojej głównej działalności zawodowej. Nie zna języka polskiego, posiłkował się więc tłumaczeniem niemieckim zleconym przez SRF (jak zaznacza, „zgodnym z normą jakości ISO 17100”, co już powinno wzbudzić naszą czujność) oraz przekładem angiel-

skim Davida Fricka z 2016 r. (wydanym przez NIFC), zestawiając je także z wcześniejszym tłumaczeniem francuskim Bronisława Sydowa. Zaczął od „analizy” korespondencji ze znanym w życiu Chopina przełomu lat 1829/30 i doszedł do zaiste bulwersujących wniosków.

Otóż Weber zarzucił Frickowi błędy w tłumaczeniu bądź świadomą manipulację, polegającą na zastąpieniu męskich zaimków żeńskimi, żeby ukryć w przekładzie prawdziwego adresata Chopinowskich westchnień miłosnych. Sęk w tym, że owe rzekome błędy „odkrył” m.in. w jednym z najbardziej znanych i najczęściej cytowanych listów kompozytora, z 3 października 1829 r., adresowanym przez 19-letniego Fryderyka do jego przyjaciela Tytusa Woyciechowskiego.

Chopin zaczął właśnie komponować pierwszy z dwóch koncertów fortepianowych, w tonacji f-moll – zakochany po uszy (są na to dowody, o czym niżej) w Konstancji Gładkowskiej, swojej rówieśnicy i koleżance ze studiów w konserwatorium warszawskim. Oto omawiany przez Webera fragment w brzmieniu oryginalnym: „(...)ja już może na nieszczęście mam mój ideał, któremu wiernie, nie mówiąc z nim już pół roku, służę, który mi się śni, na którego pamiątkę stanęło adagio od mojego koncertu, który mi inspirował tego walczyka dziś rano, co ci posyłam”.

Moritz Weber, wywnioskowawszy wyłącznie z tonu korespondencji z Woyciechowskim (do tego też jeszcze wróć), że tak naprawdę to adresat jest obiektem uczuć Chopina, grzmi, że w przekładzie Fricka stoi jak wół: „*I have my ideal, whom I faithfully serve, not having spoken to her for half a year now, etc.*”, podczas gdy w tłumaczeniu niemieckim jest tak, jak być powinno, czyli w rodzaju męskim. Cóż, przekład „zgodny z ISO 17100” jest poprawny i neutralny, ale Frick wbrew pozorom nie dokonuje nadinterpretacji, bo dowody, że chodziło o Gładkowską, można znaleźć gdzie indziej.

Pośrednio – w analizie muzykologicznej wspomnianego „adagia” z Koncertu f-moll, które ostatecznie przyjęło kształt onirycznego Larghetto, swoistej „dedykacji”, arii *da capo* z kunsztownie ornamentowanym tematem głównym oraz fortepianowym „recytatywem” i „arioso” na tle smyczków. Bezpośrednio – w późniejszej korespondencji z innym przyjacielem z lat młodości, a ściślej w rozpaczliwym liście wysłanym 26 grud-

nia 1830 r. z Wiednia, kiedy Chopin próbował dostarczyć bilecik dla ukochanej za pośrednictwem Jana Matuszyńskiego: „Jakby to pięknie było np. do finału w Sroce taki dzwon opiekuńczy... Konst... (nie mogę nawet nazwiska napisać, ręka moja niegodna)”.

Niezrażony Weber zarzuca Frickowi niekompetencję także w przekładzie stuttgartckiego albumu-dziennika z jesieni 1831 r., dołączając do artykułu zdjęcie stosownego fragmentu z oskarżycielsko poprzekreślanymi na czerwono zamkami „she” i retorycznym pytaniem w podpisie („czy Chopin pisał o kobiecie, czy o mężczyźnie?”). Śpieszę z pomocą w postaci oryginału: „Ona tylko udawała. Albo udaje. Oj, to sęk do odgadnienia! – Tak, nie tak, tak, nie tak, nie tak, tak, palec w palec... opsnęło się!... Kocha mnie? Kocha mnie pewno? – Niech robi, co chce”.

Właściwie na tym mogłabym poprzestać i spuścić zasłonę litościwego milczenia na dalsze „odkrycia” Webera, który z liściku z Londynu, gdzie Chopin skarży się na „wielkie urynały. – Nie ma się mimo to gdzie wypisać”, wyciąga wniosek, że kompozytor szukał partne-

rów seksualnych po miejskich pisuarach, a francuski rzeczownik „*hôtel*” (rezydencja) interpretuje jako podrzędny hotelik, w którym swawolny Frycio umawiał się z kochankami. Problem jednak leży gdzie indziej: skąd wzięły się te wszystkie rewelacje, dlaczego prasa zachodnia łyknęła je niczym młody pelikan i jakim sposobem Weberowskie kocopoły padły na tak podatny grunt w Polsce A.D. 2020?

Odpowiedź nie jest ani prosta, ani jednoznaczna. Egzaltowane sformułowania z listów do Woyciechowskiego, Matuszyńskiego, a także Fontany, Wodzińskiego i Grzymały („najdroższe życie moje”, „kocham Cię i Ty mnie kochaj”, „napisz do mnie, ja się znów za tydzień z Tobą popieszczę”) wbrew pozorom nie mówią nam nic o preferencjach seksualnych Chopina, za to wiele o jego wrażliwości, dziecinnej wręcz egzaltacji oraz, *last but not least*, samej konwencji epistolarnej epoki, którą Fryderyk przekraczał z lubością i po mistrzowsku, nie tylko w tych ognistych rzekomo wyznaniach.

Jeśli cokolwiek można (a moim zdaniem wręcz należy) zarzucić naszym chopinologom, to zbyt ciasne i konserwatywne spojrzenie na cały kontekst, w ja-

kim przyszło żyć i tworzyć Chopinowi. Tutaj potrzeba muzykologów o szerszym spojrzeniu, tutaj potrzeba wszechstronnie wykształconych historyków obyczajowości i życia codziennego w XIX wieku, wybitnych, wrażliwych na język, jego melodię i niuanse literaturoznawców. Oraz przytomnych antropologów kulturowych, którzy zwrócą uwagę na całkowity anachronizm współczesnych pojęć „gay” i „gender” w odniesieniu do tamtych czasów. Tylko czy ja zbyt wiele nie wymagam od naszych rodaków, skoro jeden z portali relacjonujących powyższą aferę nawet nie sięgnął do oryginalnych listów kompozytora, tylko... przetłumaczył cytaty z powrotem na polski? Ze skutkiem łatwym do przewidzenia.

Wstydlive i normalne

O seksualności Chopina badacze dyskutują od dziesięcioleci – także w Polsce. Są tacy, których zdaniem Fryderyk umarł w dziewictwie, a wszelkie jego „romanse”, nie wyłączając długoletniego związku z George Sand, były czysto platoniczne. Inni twierdzą, że kompozytor stracił resztki zdrowia i potencji na panseksualnych оргiach, organizowanych →



Akwarela
Teofila
Kwiatkowskiego
do poloneza
Fryderyka
Chopina.
Paryż, 1850 r.

→ regularnie przez paryskie elity. Jeszcze inni wskazują, że „homoseksualizm” kompozytora mógł się odnosić wyłącznie do sfery jego kontaktów społecznych i w żadnym razie nie przekładać się na jego życie erotyczne. Mało kto zwraca uwagę, że orientacja Chopina mogła być płynna, zależna od wieku, nastroju i okoliczności zewnętrznych.

Tylko jedno spędza sen z powiek – nawet tym, którzy godzą się z tezą o seksualnej niejednoznaczności Chopina. Skąd ten niezwykle żar, to prawdziwe uczucie przebijające ze wszystkich listów do Wojciechowskiego?

Odpowiedź może zabrzmieć smutniej, niż byśmy chcieli. W tamtej epoce, kiedy młodzi ludzie płci obojga dojrzewali całkiem osobno, bez żadnej możliwości kontaktu fizycznego – jak na dzisiejszej prowincji afgańskiej – musieli jakoś dawać ujście dręczącym ich pędom. Tylko nieliczni dawali radę wytrwać w ascezie. Reszta załatwiała rzecz między sobą albo, w przypadku chłopów, korzystała z usług prostytuttek.

Rok starszy od Frycka Tytus mieszkał na pensji u Chopinów. Na pewno się całowali – bo taki był obyczaj – na pewno wchodzili ze sobą w kontakt fizyczny, być może zdarzało im się spać w jednym łóżku i uprawiać seks. Stosunki erotyczne między nastolatkami tej samej płci uchodziły wówczas za rzecz wstydliwą, ale poniekąd normalną: za swoistą kulminację prawdziwej męskiej przyjaźni. Kiedy mężczyźni dorastali, szli swoją drogą. Tytus się ożenił i miał czwórkę dzieci. Chopin wyemigrował. Listy Wojciechowskiego – o ile je pisał – nie dotrwały do naszych czasów. Gdyby się odnalazły, to dopiero byłoby odkrycie!

I może tylko takie znalezisko pozwoliłoby nam jednoznacznie rozstrzygnąć kwestię orientacji kompozytora. Ale i to nie jest pewne. Lepiej więc nadrobić zaległości, bo burza, jaką wywołały żalosne rewelacje Webera, dowodzi aż nadto dobitnie, że o Chopinie i jego epoce nie mamy bladego pojęcia.

Do roboty: jak ta pandemia dłużej potrwa, to jakiś inny zdruzony Szwajcar weźmie się za Mickiewicza, przetłumaczy „Litwo, ojczyzno moja” na „Lithuania, o motherland of mine”, po czym doniesie dziennikarzom „Guardiana”, że nasz wieszcz miał kompleks Edypa.

© DOROTA KOZIŃSKA



Rezonans magnetyczny

ANITA PIOTROWSKA

„Nadzieja”, zrealizowana na podstawie zdarzeń z życia reżyserki, mogłaby pomóc w psychoterapii par. Bez względu na to, czy zostały doświadczone śmiertelną chorobą.

TEN FILM PRZEMKNAŁ WCZESNĄ JEŚNIĄ przez nasze kina, ale dziś jest okazja, by za pośrednictwem VOD wreszcie nadrobić ewentualną zaległość. „Nadzieja” Marii Sødahl, norweski kandydat do Oscara, to historia nawet bardziej na ten czas – kalendarzowo, problemowo i nastrojowo.

W odświętną, bożonarodzeniową scenerię, pomiędzy góry prezentów, rozmigotane dekoracje i pachnące korzennie szklaneczki grogu zaplatały się sprawy ostateczne – w przededniu Wigilii u Anji zdiagnozowano terminalną chorobę. Już za chwilę chorować będzie cały dom, wraz z przyległościami: partner, trójka dzieci i tyłuż pasierbów, a także przyjaciele bohaterki i jej ojciec – wszyscy w oczekiwaniu na operację, której ma się poddać Anja, z nikłą szansą na przeżycie.

Scenarzystka i reżyserka w jednej osobie przeprowadza nas na przestrzeni niespełna dwóch tygodni przez proces nie tyle oswajania choroby i możliwego odejścia, ile przyspieszonego dojrzewania. Musi je przejść dwoje metrykalnie

dojrzałych ludzi, czyli czterdziestokilkuletnia Anja i sporo od niej starszy Tomas. „Nadzieja” bardziej niż o guzie mózgu i samej nadziei opowiada bowiem o dynamice związku, który zastygł w ogranych przez lata zależnościach i rolach.

Może to nie przypadek, że oboje bohaterowie pracują od lat w teatrze, w blasku reflektorów, pod ostrzałem mediów, pod presją błyskotliwej kariery. Tak czy inaczej, ten film, zrealizowany na podstawie prawdziwych zdarzeń z życia reżyserki, mógłby pomóc w psychoterapii par. Bez względu na to, czy zostały kiedykolwiek doświadczone śmiertelną chorobą.

„Nie musisz mnie kochać tylko dlatego, że umieram, ale muszę wiedzieć, że mi pomożesz” – w każdym innym filmie takie zdanie puentowałoby łzawą *love story*. Tymczasem u Sødahl brzmi niczym najprostsze i najszczerze podsumowanie oczekiwań, jakie osoba z „wyrokiem” ma wobec bliskiego jej człowieka. A zarazem odnosi się do tych wszystkich niezgrabnych, chybionych gestów, które popełnia się próbując



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Nadzieja”

nieść pocieszenie, ratunek czy ulgę. I do wszystkich przestrzelonych słów serwowanych w dobrej wierze.

„Nadzieja” bowiem to także film, który pyta, jak w domu rozmawiać o ciężkiej chorobie – z partnerem, dzieckiem w takim czy innym wieku albo z niedołączającym ojcem, który właśnie zjechał na święta. Tu, w przytulnym i dostatnim domu dwojga uznanych artystów, zamiast magii, nostalgii, witania nowego roku, odbywa się pożegnalny rytuał. A raczej finałowe odliczanie wedle kalendarza, który zaraz po Nowym Roku może nagle się zatrzymać.

Z początku Anja i Tomas próbują za wszelką cenę ratować święta i utrzymują niepomyślnie rokowania w tajemnicy. Ona już wie, że nie pojedzie do Indii ani nawet nie zdąży pójść do dentysty, najważniejsze jednak, by innym nie zafundować traumy. Lecz jeszcze ważniejsze staje się dla niej przeprowadzenie wszystkich, niekoniecznie bezboleśnie, do dalszego życia – bez niej.

Twórczyni filmu dozuje nam emocje niczym doświadczona lekarka. Wie, że zbyt duża dawka może wywołać mdłości; w medycynie cel też nie zawsze uświęca środki. Jej sposób opowiadania o damsko-męskiej relacji bardziej niż lekoterapię przypomina rezonans magnetyczny – Sødahl stosuje własną metodę obrazowania tkanek, które pod wpływem promieniowania zaczynają ujawniać swoją patologiczną strukturę. Niespodziewany przerzut z płuc do mózgu oznacza przecięć dla Anji i Tomasza brutalne „sprawdzam”. Podczas gdy on rozpaczliwie próbuje romantyzować całą sytuację, na-

mawiając Anję do wzięcia odkładanego latami ślubu, ona chce poznać jej prawdziwy sens. Zadaje przy tym niewygodne pytania, prowokuje spóźnione wyznania, wymusza obietnice, jakby za wszelką cenę chciała wiedzieć, co tak naprawdę za sobą zostawia.

Nominowana do Europejskiej Nagrody Filmowej Andrea Bræin Hovig i Stellan Skarsgård w rolach głównych obierają swoich bohaterów z kolejnych warstw, zanim dotrą do samej istoty tego, co ich łączy. W tym również do założycielskich nierówności i zgodnie kultywowanych przemilczeń, które złożyły się na stabilną, bądź co bądź, rodzinną konstrukcję. Do tych dziwnych, niedostrzegalnych na co dzień splotów poświęcenia, erotyki, czułości i władzy, które dopiero śmiertelne zagrożenie unaocznia i nazywa po imieniu. „Vedro con mio diletto”, miłosna aria Antonia Vivaldiego w wykonaniu Jakuba Józefa Orlińskiego, zupełnie co innego oznacza na początku, a co innego w finale „Nadziei”.

I jest to jedyny obecny tu akcent operowy w każdym znaczeniu tego słowa. Na filmie Sødahl, nominowanej do EFA za reżyserię, adepci kina mogliby się uczyć budowania tragedii bez patosu. Łatwo odwołać się do typowo skandynawskiej powściągliwości, ale tutaj na uwagę zasługuje przede wszystkim ekonomika środków wyrazu. Tym cenniejsza, że film oddaje najróżniejsze stany świadomości i przeżywania.

Na przykład cierpienie Anji to nie tylko cierpienie „skazanej” matki, która zamartwia się o przyszłość swoich dzieci. W mniejszym stopniu to także frustracja kobiety, która właśnie wtedy, gdy wreszcie mogła się spełnić jako choreografka w teatrze, jest zmuszona zejść ze sceny. Poczucie niesprawiedliwości, niedowartościowania czy zwyczajna zazdrość o partnera kumulują się w nieprzeniknionej do końca aktorskiej kreacji.

I jeszcze ta najbardziej prymarna potrzeba – życia, normalności, bycia blisko tak długo, jak się da. Bo „Nadzieja”, z całą jej onkologiczną otoczką i z godnymi pozazdroszczenia obrazkami ukazującymi funkcjonowanie norweskiej służby zdrowia, to wcale nie jest film o umieraniu. ©

NADZIEJA (Håp) – reż. Maria Sødahl. Prod. Norwegia/Szwecja 2019. Dostępny na platformie Premieri CANAL+.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Sputnik nad Polską



Festiwal online, mojeekino.pl, 12 – 20 XII
Wielbiciele kina rosyjskiego nie będą zawiedzeni. W tegorocznej edycji festiwalu znalazł się m.in. świetny „Wielorybnik” Filipa Jurjewa, nowy film Andrieja Konczatowskiego „Droży towarzysze”, dokument „Andriej Tarkowski. Świątynia kina” czy zestaw „Magiczna podróż w świat animacji Andrieja Chrzanowskiego”.

2. Michael Caine: Moje pokolenie



Dokumentalny, reż. David Batty, Wielka Brytania 2017, DAFilms
Trudno wyobrazić sobie lepszego przewodnika po swingującym Londynie lat 60. minionego wieku. Wybitny aktor z pomocą bogatych archiwaliów i z właściwą sobie swadą opowiada o narodzinach nowej kultury. Pokolenie ówczesnych buntowników miało przemożny wpływ na muzykę, modę, sztukę czy kino, promieniując także poza granice Wielkiej Brytanii.

3. Niech żyje bał!



Dokumentalny, reż. Laetitia Carton, Francja 2018, nc+ go
Zanim będzie nam dane powrócić na taneczne parkiety, zajrzyjmy do francuskiej wioski Gennetines, gdzie przez 30 lat odbywał się maraton tradycyjnego tańca z udziałem 500 muzyków i ponad 2000 tancerzy. Podczas tygodniowej zabawy pod gołym niebem słychać brzmienia różnych kultur, mieszają się języki, zacierają różnice pochodzenia czy wieku.

4. Pinokio



Przygodowy, reż. Matteo Garrone, Francja/Włochy/Wielka Brytania 2019, VOD
Czy to jeszcze film dla dzieci? Twórca „Gomorri” chwilami wyostza okrucieństwo powieści Carla Collodiego – wszechobecną tam nędzę, chciwość i nieuczciwość. Równocześnie buduje rozbuchany, fascynująco surrealny świat z udziałem ludzko-zwierzęcych hybryd, a Roberto Benigni w roli stolarza Gepetta po raz kolejny chwyta za serce.

JAN

Klata:

Z góry na pazurki



RZĄDZĄCY NAMI PRAWI RODACY POSIADAJĄ jasno zarysowaną hierarchię potrzeb, jasno ustrukturyzowane priorytety, twardo wykute na pamięć imponderabilia. Pan Jarosław za wszelką cenę chce iść na cmentarz, pan Andrzej na narty, a pan

Zbigniew na zwarcie. Najważniejsze ostatnio są narty, pan Andrzej postawił sprawę na ostrzu noża, więc sobie pojeżdża, poszusuje, bo lubi to bardzo, bardziej od wielu innych rzeczy. Prezydencka potrzeba jest pałacą, ponieważ niewątpliwie trudno jest jeździć na nartach w trybie zdalnym, w przeciwieństwie do zdalnego nauczania wuefu, oczywiście – nie bądźmy dziecinni, prezydent już skończył szkołę, może zaliczyć wuef na stoku, w 3D, a nasi milusińscy niech naj-

pierw zdadzą maturę i wygrają wybory. Co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie, przed 16.00 nie masz prawa wychodzić z domu, ucz się karate na Zoomie.

Priorytety są żelazne. Wszystko, co prezydent Duda wie o obowiązkach i moralności, prezydent Duda zawdzięcza zjeżdżaniu na nartach przez prezydenta Dudę. Ergo: narty są najważniejsze, wbijmy sobie to wszyscy do głów. Chodzi o narty zjazdowe, oczywiście, głowa państwa nie będzie przez śnieg biegać po krzakach. Głowa państwa w kasku po prostu szusuje z góry na dół, w sztywnych ramach zaspokajania swoich najwyższych potrzeb.

Byłbym zapomniał: są jeszcze potrzeby córki prezydenta Dudy, jakże pałace i niecierpiące zwłoki. Mianowicie prezydentówna Kinga chce się zabawić od czasu do czasu, zwłaszcza w swoje własne urodziny, i żadna pandemia jej nie powstrzyma. Jej, jej koleżanek oraz ich kolegów – czyli tłumku wybrańców imprezowych. Zasady są dla planktonu, kasta narodowych metabaronów ma swoje wolność Tomku w swoim magicznym domku, gdzie namaszczone wolą suwerena może sobie wszystko dowolnie obchodzić, gdzie wszystko się zdarzyć może. Domek ten z tektury, Polską się zowie, przemeblowano go na fest, żeby była dobra jazda. Z góry na pazurki. ©

Lektor:

Portret pisarza prawdziwego



■ Justyna Sobolewska
MIRON, ILIA, KORNEL.
OPOWIEŚĆ BIOGRAFICZNA
O KORNELU FILIPOWICZU

Iskry, Warszawa 2020, ss. 392.

TRZYDZIEŚCI LAT TEMU, po upadku PRL-u, sporo dyskutowano o tym, co z powojennej literatury polskiej pozostanie żywe, a co odeszło bezpowrotnie. Znużony nieco Jan Błoński rzucił kiedyś podczas takiej rozmowy: przecież literatura to wielki cmentarz! Trzydzieści lat temu, 28 lutego 1990 r., zmarł Kornel Filipowicz. Dziesięć lat później jego szczerzy wielbiciel Jerzy Pilch napisał, że nie może się nadziwić

jego nieobecności. Minęły kolejne dwie dekady i oto po raz kolejny przekonujemy się, że z cmentarza, o którym mówił Błoński, czasem ktoś wraca, wcale nie jako zombie. Autor „Romansu prowincjonalnego” wrócił najpierw jako bohater pięknej powieści miłosnej, bo za taką uważam jego korespondencję z Wisławą Szymborską. Potem były wybory jego prozy, a że równocześnie opowiadanie, jako gatunek literacki przez

długi czas lekceważone, ponownie jest w łaskach, mistrza gatunku zaczęto znów uważnie czytać. Książkę Wojciecha Lipowskiego o pisarstwie Filipowicza wydano dwukrotnie. No i teraz otrzymaliśmy udaną opowieść biograficzną o tej niezwyklej postaci. „Pisał, łowił ryby i był outsiderem. Co w tym ciekawego?” – cytuje Justyna Sobolewska anonimowego rozmówcę. Po czym na kolejnych czterystu stronach udowadnia, że rozmówca nie miał racji. W rozsądnych proporcjach korzysta zarówno z dokumentów, listów i relacji bliskich, jak i z prozy Filipowicza, silnie naznaczonej rysem autobiograficznym. Pokazuje człowieka wewnętrznie wolnego, o przekonaniach od młodości zdecydowanie lewicowych (tuż przed śmiercią otrzymał od Jana Józefa Lipskiego legitymację

reaktywowanej Polskiej Partii Socjalistycznej), który jednak nigdy nie związał się z powojenną władzą. Widzimy Filipowicza wśród przyjaciół – Juliana Przybosa, Tadeusza i Stanisława Różewiczów, członków „grupy Biprostal” (sami sprawdźcie, co to takiego było). Sobolewska pisze o jego związkach z wielką malarką Marią Jarema, z Marią Próchnicką i z Szymborską (z którą nigdy nie wzięli ślubu i mieszkali osobno). O niełatwych relacjach z synami. Oczywiście o rybach – ten wątek wkracza w rejony metafizyczne – oraz o Filipowiczu opozycjonście i konspiratorze czasu stanu wojennego. I co może najistotniejsze: o pisarzu nie tylko naprawdę znakomitym, wrażliwym na szczegól i dostrzegającym w codziennej zwykłości wymiar uniwersalny, ale też często wyprzedzającym swój czas. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Słodycz czekania



DZIESIĘĆ PROCENT WARTOŚCI ZAKUPÓW obiecuje oddać włoskie państwo wszystkim klientom, którzy ruszą do sklepów od dziś aż do świąt. Mowa o fizycznych sklepach, tych na ulicach i placach, tych skromnych tuż za rogiem i tych lśniących przepychem w śródmiejskich pasażach. Pasaże – chociaż mieliśmy pod ręką to słowo, trochę może przykurzone, ale jednak żywe, to ktoś w nieszczęsnych latach 90. nazwał te miejsca galeriami. Rzadki to zresztą przypadek, kiedy ważna i trwała zmiana w polszczyźnie nie jest w tej epoce kalką z angielskiego, lecz raczej pachnie Paryżem i jego Galeries Lafayette.

Ów hojny gest włoskich władz ma związek z groźnym dla żywotności tkanki miejskiej trendem przenoszenia się z zakupami do sieci, o czym dywagowaliśmy tydzień temu. Obiecany bonus ma zachęcić ludzi, żeby jednak wyprawili się po prezenty czy nawet zwykłe domowe potrzeby do sklepu. Wzmoczenie ruchu nie ucieszy lekarzy, może z wyjątkiem psychiatrów, którzy na pewno umieją w sposób bardziej naukowy i skwantyfikowany wyrazić skalę zaburzeń i deficytów robiących się nam w głowach i emocjach od tego pozamykania w szufladach mieszkań.

Ów hojny gest włoskich władz ma związek z groźnym dla żywotności tkanki miejskiej trendem przenoszenia się z zakupami do sieci, o czym dywagowaliśmy tydzień temu. Obiecany bonus ma zachęcić ludzi, żeby jednak wyprawili się po prezenty czy nawet zwykłe domowe potrzeby do sklepu. Wzmoczenie ruchu nie ucieszy lekarzy, może z wyjątkiem psychiatrów, którzy na pewno umieją w sposób bardziej naukowy i skwantyfikowany wyrazić skalę zaburzeń i deficytów robiących się nam w głowach i emocjach od tego pozamykania w szufladach mieszkań.

Tak się zaś złożyło, że szczepienia, mające potencjał zdjęcia z nas lęku przed zarazą, zamieniają się właśnie w dość konkretną obietnicę (na ile konkretną w Polsce – piszemy w Obrazie Tygodnia) w okresie, który kojarzy się w naszym kręgu z pewnym oczekiwaniem. Niekoniecznie tym, o którym rozprawiają teolodzy i kaznodzieje w trakcie adwentowych rekolekcji – raczej myślę o dziecięcym aspekcie Bożego Narodzenia. Bombki, błyskotki, ciepło, zapachy, słodycze i prezenty. Przede wszystkim prezenty. Wielowątkowe, synkretyczne zjawisko zwane magią świąt, generującą oczekiwanie. Trochę miłe, a trochę trudne. Jak píše na swojej stronie główny niemiecki producent kalendarzy adwentowych: „Małym ludziom trudno rozłożyć swoje emocje i myśli na dwadzieścia kilka dni, nie sposób im pojąć takiej skali czasowej, w sposób naturalny znają tylko rytm przemian dnia. Stąd kalendarz – z codziennie odkrywaną czekoladką – służy do tego, by móc ich oczekiwanie sprowadzić do dostępnego ich percepcji dobowego wymiaru, a zarazem przemnożyć ten mały rytuał i zbudować skojarzenie oczekiwania z nagrodą”.

Bardzo to protestanckie z ducha i pocziwe, gdy się pomyśli, jak dzisiejsza kultura natychmiastowej gratyfikacji odnosi się do komunikatu: „zaczekaj na to trzy tygodnie”. Ciekawe

zresztą, że jako taki dobrobyt, w którym zachodzi potrzeba wyćwiczenia cierpliwości dzieci w wyglądanu prezentów, jest dość świeży nawet w Niemczech – pierwsze kalendarze adwentowe w znanej nam postaci pojawiły się w początkach poprzedniego wieku, a gwoździem programu grudniowych radości stały się po II wojnie: cytowana wyżej firma powstała w 1945 r.

Może kiedyś spojrzymy na te słodko-kiczowate zimowe pejzaże i scenki rodzajowe z wyciętymi okienkami jako na ostatni relikwitu kultury, w której czekanie i odliczanie było standardowym stanem ducha, a nie źródłem niczym nieuzasadnionych cierpień. Same kalendarze już dawno wyszły poza postać prostej drukowanej tekturki, kryjącej nieszczęśliwie wyrafinowane czekoladki, a zamieniły się w wehikuł sprzedaży coraz bardziej dorosłych i wyrafinowanych rzeczy popakowanych w małe próbki. W tym roku Google Trends pokazuje, że np. Polacy, jeśli pytali się o kalendarze, to chodziło im o takie z kosmetykami. Brytyjczycy uwielbiają sobie wieszać takie z ginem albo whisky. Bywają takie z drobnymi błyskotkami – ale i całkiem poważną biżuterią.

A równocześnie adwent zamienił nam się w serię kolejnych subświąt, pregliazdek, okazji do wydatków – najpierw czarne piątki, potem cyberponiedziałki, z napięciem czekam, co ogłoszą za rok na wtorek. Na szczęście są Mikołajki, których nie trzeba wymyślać, przecież do dwudziestego czwartego jest osiemnaście dni. Któż tyle wytrzyma?

Nie chcę twierdzić, że nic z radości świąt już nie zostało. Są tacy, którzy próbują iść pod prąd trendom. Ale mało już zostało w naszym adwencie miejsca dla tego dziecka z zaciśniętymi piastkami. A prawdziwą gwiazdkę – przynajmniej dla tej połowy społeczeństwa, która da się zaszczepić – urządzi nam tym razem pani pielęgniarka z błyszczącą igiełką. ©



Jednym z alternatywnych sposobów na uczenie

dzieci przedświątecznej cierpliwości jest dekorowanie z nimi pierników, które potem muszą uroczystie odłożyć do puszek, żeby zjechały na choinkę. Sprawdzona przez dwie dekady z górą receptura w moim domu jest taka: **170 g płynnego miodu** rozgrzewamy w rondelku z **3 łyżeczkami przypraw do pierników** (zrobimy ją sami: **1,5 łyżki mielonego cynamonu**, **1 łyżeczka mielonych goździków**, **poł łyżeczki mielonego imbiru**, **po 1/3 łyżeczki mielonej gałki muszkatołowej i pieprzu**) i studzimy.

Do **400 g mąki pszennej** (może być pełnoziarnista) dodajemy **1/2 łyżeczki sody**, **90 g cukru**, **100 g masła**, mieszamy i dodajemy **1 jajko** i miód z przyprawami, zagniatamy ciasto i wstawiamy do lodówki na godzinę albo i dłużej – może długo czekać. Wałkujemy na grubość ok. 5 mm, wycinamy kształty specjalnymi foremkami, pieczemy w 180 stopniach przez ok. 10 minut, studzimy przed dalszym dekorowaniem kolorowym lukrem (**cukier puder** zrobiony **sokiem z cytryny** i **paroma kroplami barwnika**). Jeśli chcemy mieć dziurkę na nitkę – robimy ją jeszcze w ciepłym pierniczku, tuż po wyjęciu z pieca.

LECZENIE BETONOZY

JAN MENCWEL, WARSZAWSKI AKTYWISTA:

Przeciętna inwestycja w polskim mieście
zabiera nam ponad 120 drzew.
Najczęściej bez sensu.

JAN MENCWEL: Zanim zaczniemy rozmawiać, chcę ci pokazać pewien widok. Moim zdaniem najfajniejszy w Warszawie.

ADAM ROBIŃSKI: Aha! Port Praski widziany od ulicy Sokolej.

Patrz, przepłoszyliśmy czapłę! Do tego kormorany i kaczki. Kilka razy widywałem tutaj sarny, nic nie robiły sobie z hałasu samochodów.

Pomyśleć, że ta czapla mogła siedzieć pod ulicą również wtedy, gdy tydzień temu policja 100 metrów dalej pacyfikowała narodowców.

To centrum warszawskiej Pragi, a zupełnie jakbyśmy byli nad Bugiem. Tędy płynął kiedyś ciek wodny, który łączył ten port z Jeziorkiem Kamionkowskim w Parku Skaryszewskim. On ciągle istnieje, ale jest schowany pod błoniami Stadionu Narodowego. Chciałem ci pokazać ten widok, bo to takie miejsce, które nie do końca wiadomo, czym jest. Ni to miasto, ni dzika przyroda. Pół na pół. Choć widać, że ta ostatnia zaczyna sobie wyszarpywać coraz więcej miejsca.

Ale teren jest ogrodzony.

A nie powinien. To jest woda płynąca, a w prawie polskim nie można kupować płynącej wody. Tymczasem na mapach grun-

tów port jest prywatny. Właściciele celowo zapuszczają ten teren, żeby był nieatrakcyjny spacerowo. Niedostępny. Przeznaczony do zaorania i zabudowania apartamentowcami. Zresztą dla władz miasta takie miejsce jest nic nie warte. Najłatwiej je sprzedać i mieć kłopot z głowy. Jasne, być może przyjdzie jakiś naukowiec, przeprowadzi badania i zgłosi formalny protest. Ale nie ma sposobu, żeby wokół idei ochrony podobnego miejsca zgromadzić ludzi. Jest zbyt niewidzialne, zbyt niedostępne. Skazane na zniknięcie.

To co, idziemy dalej nad Wisłę?

Chodźmy. Chciałem Cię na początku zapytać o drzewa, które masz przed domem.

Robinie akacyjne.

Stare?

Różnej wielkości. Z okna widzę bardzo dużą. Kończy się pierzeją kamienic, jest skrzyżowanie i skwer. Na małym betonowym placu rośnie właśnie robinia. Krzywa i trochę poduszona. Cały czas drzę o to, że ktoś postanowi ją wyciąć. Dlatego kiedy widziałem usychające gałęzie, od razu zgłaszałem miastu, że trzeba je podciąć. Jeszcze by spadły i ktoś by uznał, że drzewo jest niebezpieczne. Po kilku prośbach przyjechali panowie i podcięli te gałęzie, więc się uspokoiłem.



ALBERT ZAWADA

Jan Mencwel na placu Hallera w Warszawie, listopad 2020 r.

Widziałem filmik, na którym podlewasz przydomowe drzewa wodą po płukaniu naczyń.

Te były młode. Wsadzono je w puste miejsca.

I co sąsiedzi na Twoje podlewanie?

Wokół tych drzew wytworzyła się aktywna sąsiedzka wspólnota. Zaczęło się od podlewania, potem pojawiły jakieś interwencje, bo ktoś coś wyciął. Teraz na Facebooku w grupie „Zieleń na Stalowej” jest 150 osób. Dużo jak na jedną ulicę. To są ludzie, którym naprawdę zależy na tych drzewach, są do nich bardzo przywiązani. Robinia jest uważana za gatunek inwazyjny; leśnicy ciągle kombinują, jak się ich pozbyć z polskich lasów, w miastach są raczej rzadkie, a my ich mamy całą ulicę, ponad kilometr od początku Stalowej do samego końca.

W książce „Betonoza. Jak się niszczy polskie miasta” piszesz o władzach Wiednia, które zachęcały mieszkańców do rozkuwania chodników w mieście i obsadzania ich zielenią. To będzie Wasz kolejny krok?

Ale myśmy już taką partyzantkę u siebie zrobili! Rozkuliśmy pięć metrów chodnika pomiędzy dwiema robiniami. Trzy lata apelowaliśmy, żeby rozbetonować część Stalowej i między robinie wsadzić jakieś krzewy czy trawę. Najwyraźniej trzy lata to za mało, by urzędnicy ustosunkowali się do takiego wniosku,

JAN MENCWEL (ur. 1983) jest animatorem kultury, aktywistą miejskim, współzałożycielem i przewodniczącym stowarzyszenia Miasto Jest Nasze. Nakładem Wydawnictwa Krytyki Politycznej ukazała się właśnie jego książka „Betonoza. Jak się niszczy polskie miasta”.

więc we wrześniu wyszliśmy w dziesięć osób przed kamienicę i rozkuliśmy kawałek chodnika sami. Wysypaliśmy ziemię, posadziliśmy kwiaty. Rosną do dziś.

Mieliście z tego powodu jakieś kłopoty?

Miasto się oczywiście czepiało, że to niszczenie mienia, że nie mieliśmy zgody. Tylko że wszystkim dookoła bardzo się to nasze działanie spodobało. Zrobiliśmy sobie zdjęcia: najpierw na chodniku, z kilofem, i drugie, gdzie zamiast płyt są już kwiatki. Facebook oszalał z radości. I na razie nikt mnie za to nie ściga. To wszystko działo się zresztą blisko spożywczaka, przed którym często stoją panowie, lokalni mędracy i konsumują różne płyny. Jeden z nich przechodził obok nas z synem, usłyszeliśmy tylko: „Patrz, czasem trzeba coś zniszczyć, żeby potem było ładniej”.

Diagnostujesz betonozę jako jednostkę chorobową. Kiedy zaczęła się jej epidemia?

Ona się tliła od zawsze. Jest wpisana w to, czym jest miasto. Jesteśmy dopiero w procesie zwalczania schematu myślenia, wedle którego w mieście nie ma miejsca na przyrodę. Ona się w mieście pojawiła nie tak dawno, bo w połowie XIX wieku. Frederick Olmsted, twórca nowojorskiego Central Parku, wyszarpał ten teren, bo był przerażony tym, jak bardzo nowojorczycy są pozbawieni kontaktu z naturą. To była walka o zdrowie publiczne. Wtedy nastąpił przełom, ale ten model załamał się sto lat później. W ostatniej fazie modernizmu lano beton, gdzie tylko się da, bo uwierzono, że najważniejsze jest to, by wszędzie w mieście można było się dostać samochodem. W Polsce lat PRL-u ten sposób myślenia też dał o sobie znać, ale tak naprawdę w stadium ostrej betonozy weszliśmy z opóźnieniem – po 1989 r. A ostatnia dekada przyniosła jej nowe stadium: źle wydatkowane pieniądze unijne.

Nad książką zacząłem pracować w czerwcu 2019 r. Przez Polskę przechodziła fala upałów, w Skierniewicach zabrakło wody w kranach. Wrzuciłem wtedy do internetu dwa zdjęcia skierniewickiego rynku, sprzed i po jego rewitalizacji. Na jednym było mnóstwo zieleni, na drugim sam beton. Nagle zacząłem dostawać masę podobnych zdjęć z innych miast.

„Rewitalizacja” jest tu słowem-kluczem.

Do niedawna panowało takie przekonanie, że w Polsce jest po prostu brzydko i brudno.

Jak w piosence Kultu: „Czy byłeś kiedyś w Kutnie na dworcu w nocy / Jest tak brudno i brzydko, że pękają oczy”.

Udało nam się ponaprawiać drogi i zbudować parę autostrad i ekspresówek, potem wyremontowaliśmy dworce kolejowe. Wreszcie przyszła moda na rewitalizację małych miast. Z jednej strony były duże pieniądze z Unii Europejskiej, z drugiej brak jakiegokolwiek refleksji, czym jest rewitalizacja. Jasne, rynki →

→ miasteczek często były zaniedbane. Więc bach, za dziesięć milionów złotych wyłożymy je kostką. A drzewa? Celem nie było wycięcie drzew, uznano je po prostu za coś zbędnego. Albo przeskądzały w osiągnięciu estetyki uznawanej za wzorcową.

Opowiedz o miasteczkach, które są negatywnymi przykładami rewitalizacji.

Parczew na Lubelszczyźnie, który trafił na okładkę „Betonozoy”. Przed remontem rynek był zielonym skwerem. Nie widziałem go na żywo, jedynie na zdjęciach. Kilkadziesiąt dorodnych drzew. Nikt nie patrzył, zdrowe czy chore. Wycięto wszystkie, co do jednego. Jest taka fotografia, na której leżą powalone jedno obok drugiego. Lublin jest mocnym antybohaterem, choćby w związku z próbą zabudowy Górek Czechowskich czy wycinaniem całych alei drzew przy okazji remontów ulic. We Włodawie z najgorszych pomysłów władze się wycofały, choć sytuacja wciąż jest niepewna.

Protest mieszkańców odniósł skutek?

Tak. A musimy pamiętać, że w małym mieście jakikolwiek protest jest czymś bardzo rzadkim. Trudniej się przełamać, by wyjść na ulice. Z drugiej strony, kiedy do takiego sprzeciwu mieszkańców dojdzie, władze tracą grunt pod nogami.

Nagle okazuje się, że protestują również sąsiad burmistrza i sklepowa z warzywniaka, w którym robi zakupy.

I łatwo osiągnąć efekt skali, która takiego burmistrza przerazi. Bo w kolejnych wyborach może stracić władzę. Będzie więc starał się załagodzić nastroje. Trzeba podkreślić, że drzewa tną wszystkie opcje polityczne w Polsce. W Świdnicy lewica, w Leżajsku PiS, w Lublinie prezydent Żuk popierany przez PO. I to jest straszne. Z drugiej strony, sprzeciwiają się temu również wszyscy i sympatie polityczne nie mają w tym przypadku żadnego znaczenia. Trudno w związku z tym protestujących szuflakować, nazywać ich ekoświrami, skoro bronią zieleni ponad podziałami.

Często narzeka się, że podziały w Polsce są już tak głębokie, iż nigdy się nie dogadamy. Otóż okazuje się, że jak się trafia sprawa, która ludzi naprawdę rusza, np. ktoś chce im wyciąć drzewa z ulicy, to polityka przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie. W jednym miejscu, które obserwowałem, wśród protestujących trafił się nawet pan o jawnie antysemickich poglądach. Mimo to ludzie nie wykluczyli go ze swojego grona: „Pan Marian tak ma, nie czepiajmy się, tu chodzi o drzewa”. To chyba dowód na to, że kwestie zieleni są dla ludzi naprawdę istotne, skoro potrafią dla nich zasypać te rzekomo głębokie podziały polityczne.

Na co dzień, jako przewodniczący stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, działasz przede wszystkim w Warszawie. Jak stolica radzi sobie z betonozą?

Dużo zmieniło się na plus. Dziś nie przeszłaby już pewnie taka sytuacja jak z rewitalizacją Ogrodu Krasieńskich parę lat temu, kiedy na tę okazję zaplanowano wycinkę wielu drzew. Według mnie rewolucji w głowach urzędników dokonała Wiśła. Chodziłem tu na spacer, kiedy były chaszczki i krzaki, a nie ścieżki. Byłem przekonany, że takiego kawałka przyrody w mieście długofalowo uratować się nie da. Tymczasem bez żadnych

protestów miasto zdecydowało się utrwalić dziki brzeg rzeki w środku miasta. Nikt nie wpadł na pomysł, by wylać tu beton albo chociaż postawić latarnie. Mało tego, nic złego w związku z tym się nie dzieje. Nie ma żadnych napadów, ludzie jeżdżą na rowerach, a rodziny urządają pikniki. Dzikość Wisły stała się elementem marki Warszawa. Słuchałeś płyty rapera Maty, tego od „Patointeligencji”?

Tylko wspomnianego singla.

Jest na niej fajna piosenka „Prawy do lewego”, parafraza dawnego przeboju Kayah. Mata rapuje o dwóch brzegach Wisły. „Wielka plaża w sercu miasta / pokaż mi, gdzie masz tak”. I dalej „Prawy do lewego wypij, kolego / I zaśpiewaj ten lovesong obydwu brzegom”. A więc bożyszcze nastolatków robi piosenkę na cześć dzikiego brzegu Wisły!

I nawet nie pamięta czasów, gdy tych plaż nie było.

Prawego brzegu już nie da się zaorać. Gdyby ktoś wpadł na taki pomysł, ludzie robią tu Majdan. Mata z kolegami nie dałaby sobie tego zabrać. Wiesz, często ze znajomymi krajoznawcami zastanawiamy się, gdzie leży granica pomiędzy udostępnianiem przyrody a jej nieudostępnianiem. Ja jestem za tym, żeby ludzie mogli z niej korzystać, im bardziej, tym lepiej. Bo potem będą jej bronić. Jeśli nie zdążą jej poznać, będzie jak z Portem Praskim. Nikt nie zauważył, kiedy wyrosł płot, a potem jakieś budynki.

Z drugiej strony dopiero co śmiałeś się w internecie z „efektu Martyny”. Martyna Wojciechowska poleciła w jakimś wpisie podwarszawskie bagno Całowanie. W następną niedzielę w małej wsi Podbiel na polu stało kilkadziesiąt samochodów.

Ale przecież ci ludzie nie będą tam jeździć w każdą niedzielę! A kiedy wróci pomysł puszczenia przez ten cenny przyrodniczo teren drogi ekspresowej, łatwiej będzie zebrać podpisy przeciwko. Zrobić protest. O, doszliśmy do muru.

To o nim chciałeś mi opowiedzieć.

Żeby go wybudować, miasto wycięło 200 drzew. Początkowo chciało 500, ale zaprotestowaliśmy. Najpierw my, miejscy aktywiści, potem pojawił się też Greenpeace i tłum mieszkańców. Historii by nie było, gdyby ktoś uznał, że zamiast wycinać drzewa na obszarze Natura 2000, można zwęzić jezdnię. Ten sam mur powstałby po prostu trzy i pół metra dalej od rzeki. Problem w tym, że w Warszawie likwidowanie pasów ruchu jest nie do pomyślenia. To największa ze zbrodni. Ucierpiałaby święta przepustowość.

Nikt nie chce wojować z kierowcami, bo wszyscy mają samochody.

Uważam, że wcale nie jest tak, że większość ludzi woli miejsca parkingowe czy ulice od drzew. Ale ci, którzy tego chcą, są po prostu przyzwyczajeni, że im się należy. Głośno się domagają. A ci, którzy wolą jednak drzewa, są przyzwyczajeni, że ciągle ktoś im te drzewa zabiera. „Trzeba wyciąć, to trzeba, co zrobić. Szkoda drzew, ale muszą być inwestycje”. Tak samo było z tym murem. A kiedy zaprotestowaliśmy, okazało się, że wcale nie trzeba wycinać aż tylu, ile planowano. Bo to prawie zawsze nie jest żadna wyższa konieczność, tylko decyzja, za którą ktoś

stoi. Opisuję w książce efekty badań Naczelnej Izby Kontroli, która sprawdziła, ile drzew wycina się w ramach inwestycji w polskich miastach. Okazało się, że przeciętna zabiera nam 123 drzewa. I rzadko się zdarza, by urzędy się sprzeciwiały. Przyklepują wszystko jak leci.



Drzewa stoją na drodze inwestycji?

„Inwestycja” to jest kolejne słowo-klucz. Zwłaszcza w samorządzie. Tymczasem warto by wziąć studenta ekonomii, żeby usiadł i policzył, na jakiej podstawie burmistrz nazywa coś inwestycją. Bo ten rzeczownik oznacza przecież włożenie pieniędzy w coś, co w przyszłości ma przynieść zysk. Tymczasem jeśli budujemy za gigantyczne pieniądze stadion, a potem regularnie łozymy na niego kolejne sumy, żeby go utrzymać, to nie jest to żadna inwestycja. To samo drogi, do których państwo non stop dokłada z budżetu. Z kolei drzewo kosztuje niewiele. Trzeba je pielegnować i z grubsza nie robić głupot. I ono się w wymierny sposób zwróci. Ochroni przed upałem, da cień, wchłonie wodę w przypadku ulewy, będzie filtrować hałas i zanieczyszczenia. A to tylko początek dłuższej listy korzyści.

Wróćmy do muru nad Wisłą. Był konieczny?

Zdaniem ekspertów od gospodarki wodnej budowanie murów to bardzo archaiczny sposób myślenia o zabezpieczeniu przeciwpowodziowym. Nigdy nie postawisz tak wysokiego, by ochronił cię w każdej sytuacji. A jak i tak okaże się za niski, to te miliony złotych będą wyrzucone w błoto. Dlatego lepszym sposobem zapobiegania powodziom, szczególnie w przypadku rzeki o naturalnym charakterze, jak Wisła, jest wzmocnienie naturalnej retencji, usprawnianie istniejących terenów zalewowych. W Warszawie mógłby to być Port Praski, który już oglądaliśmy. I cały ciąg starorzeczy na prawym brzegu. Dużo wody by tam weszło. Ale to się nie wydarzy, bo inwestor, który zabudowuje port, zbudował sobie prywatną śluzę. Jak się zdarzy powódź, to ją zamknie. Zresztą w prawie polskim służy są obiektami publicznymi, a jemu udało się postawić prywatną. Jeszcze jedno zdziwienie.

Jak wyglądały rozmowy o tym murze z władzami miasta?

Najpierw usłyszeliśmy, że nic się już nie da zmienić, że za późno, trzeba było wcześniej protestować. Ale jak na ulice wyszli ludzie z transparentami, to nagle pojawił się też prezydent Trzaskowski. Zaproponował rozmowy. I okazało się, że jednak się da. Zmieniono technologię na mniej inwazyjną i wycięto o 300 drzew mniej niż w pierwszym projekcie. Ale Trzaskowski powiedział też jednoznacznie, że z budowy muru się nie wycofa, bo nie może ryzykować bezpieczeństwa mieszkańców. Tymczasem gdyby na serio podszedł do tematu kryzysu klimatycznego, to by wiedział, że mur nie jest dobrym rozwiązaniem. To są pomysły sprzed dwudziestu lat.

XX-wieczna potęga Japonii została zbudowana na wielkich publicznych inwestycjach infrastrukturalnych, które w pew-

Często narzeka się, że podziały w Polsce są już tak głębokie, iż nigdy się nie dogadamy. Okazuje się, że jak ktoś chce wyciąć drzewa z ulicy, to podziały przestają mieć znaczenie.

Wszyscy razem protestują.

nym momencie wypaczyły się i stały się bezrefleksyjnym laniem betonu. Jeśli dodasz do tego traumę tsunami, to okazuje się, że cały kraj zabudowany jest murami jak ten. Fotograf Tadashi Ono obfotografował tę przestrzeń, widoki na ocean, których nie ma. Szary betonowy mur przesłaniający wszystko.

Czyli Warszawa wcale nie jest taka postępową.

Wiesz, w dużych miastach na zachodzie Europy dzieją się w tej chwili niesamowite rzeczy. Rządzą nimi progresywni burmistrzowie, prawdziwe gwiazdy polityki. Oni doskonale wiedzą, że mamy czas przełomu, że polityka miejska na naszych oczach zmienia się nie do poznania. I że dzięki temu mogą zapisać się w historii.

Każdy z nich może zostać takim Starzyńskim, czy to w Londynie, czy w Paryżu. Na przykład w Wiedniu władze ogłosiły wielki program rozbetonowania miasta. W Rotterdamie zachęcają mieszkańców, żeby wyszli przed swój dom i wyjęli kilka płyt chodnika, a w ich miejsce zasadzili krzewy. Z kolei Londyn chce zostać pierwszym na świecie miejskim parkiem narodowym. W Paryżu tworzy się strefy piesze, rowerowe, uspokaja się ruch... Trzaskowski albo tego nie rozumie, albo nie ma odwagi, by iść tą drogą.

Kopenhaga i Amsterdam w latach 50. i 60. ubiegłego wieku były w tej samej sytuacji co dzisiejsza Warszawa. Zalewały je samochody, wydawano duże pieniądze na kolejne arterie i estakady. Miasto zamieniało się w trasę przelotową.

I co się stało?

W Amsterdamie w wypadkach samochodowych zaczęły ginąć dzieci. Mieszkańcy zaprotestowali, a władze wróciły do przedwojennej polityki dawania pierwszeństwa rowerom. W Kopenhadze tak samo, pojawiły się głosy, by zatrzymać samochodowe szaleństwo, więc któryś z kolei burmistrz powiedział, że zamienia główną ulicę w deptak. Chciano go zlincozować, grozono śmiercią. Ale nic się nie wydarzyło, a niedługo potem przy tej ulicy bez samochodów ceny lokali wzrosły do rekordowych poziomów. Jak ktoś mówi, że Warszawa to nie Kopenhaga, to odpowiadam, że Warszawa jest Kopenhagą z lat 60. I wszystko przed nią.

Od czego byś zaczął zamianę Warszawy w Kopenhagę?

Od placów i ulic. Placów, bo trzeba zmienić obraz tego, czym jest reprezentacyjna przestrzeń. Jedziesz do opery, widzisz wielki parking, plac pozbawiony zieleni i od razu sobie dopowiadasz, że widocznie tak powinno wyglądać centrum miasta. Uczysz się, że jak salon, to bez drzew. A to przecież bzdura. Ale jeszcze więcej można by zrobić, biorąc się za zwykłe miejskie ulice. Rozkuwając bezsensowne kawałki chodnika i obsadzając je kwiatami. Takie zmiany są najprostsze, bo nikt na nich nie traci, a wszyscy zyskują. Jak u nas na Stalowej.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Manneken Pis



ZAISTE RZEC TRZEBA, ŻE RZADKO, BO RZADKO, zdarza się jednak, że i z Brukseli nadcho-
dzą czasem inne wiadomości, a nie tylko
te grozą wiejące. Miło sobie posiedzieć,
poczytać i posłuchać, jakże to nad wąsko
pojętym Dunajem bądź to szeroko pojętą

zlewnią Dunajca rośnie teraz ciśnienie. Rośnie i rośnie, i tylko
ci nadużywający zatyczek dousznych nie słyszą syku wydo-
bywającego się spod – pardon – rubasznego czerepu. Kiedy
nastąpi Wielkie Puf? Tego nie wiemy, ale jest bliżej niż dalej.
Ostatnie wydarzenia belgijskie nasunęły nam myśl światłą,
o potencjale szerszym znacznie niżli żartowanie sobie z poli-
tyków głoszących jedno, a czyniących tzw. drugie, bo tym
chwilowo żyje Europa Środkowo-Wschodnia.

Otóż usadowienie w tym miejscu kontynentu, w Belgii,
przedstawicielstw i reprezentacji narodów Zachodu było
decyzją – ongiś – w każdym sensie neutralną. Też oczywi-
ście w sensie obyczajowym, bo Bruksela nie odbiegała nigdy
swym klimatem ani infrastrukturą od innych podobnych
dużych miast Zachodu. Miasto jak miasto, dzielnica jak dziel-
nica. Brukselska legenda – miejsca rozpinania gorsetów – za-
częła się tworzyć i tu i ówdzie przebiegać, gdy reprezentacje
polityczne krajów Europy Środkowo-Wschodniej zaczęły
tam szukać noclegów. Powtórzmy z naciskiem – szukać noc-
legów, z naszych bowiem obserwacji wynikało i wynika, że
o nic innego owym poszukiwaczom raczej nie chodziło. Otóż
wspomniana legenda miejsca rosła przede wszystkim w śro-
dowiskach ogólnie rzecz biorąc nielewicowych. Słuchy do-
chodzące do Polski z noclegowisk brukselskich mroziły tu
krew w żyłach ludziom lękliwym, czujnym i przewidującym.
To się – powiadali przenikliwie – źle skończy. I nie chodziło

o kreatywne księgowanie samolotowych bilecików, kwit-
ków za obiadek, paliwko itede. Specjalnie używamy tej odra-
żającej, zdrobniałej formy, by przybliżyć Czytelnikowi formę
właśnie. Albo, dodajmy – co też się bodaj zdarzało – kombino-
wania, oczywiście na pohybel zgnilemu Zachodowi, rachun-
ków z czterogwiazdkowego hotelu, a nocowania wygodnie
gdzieś pod mostem, w łopianach, w butach, przy ognisku,
przy wspominkach czasów partyzanckich. No więc nie, nie
o te oszustwa nam chodzi, one bowiem na wschodnioeuro-
pejskim elektoracie wrażenia nie robiły, nie robią i nie zro-
bią, choćbyśmy byli w Unii Europejskiej przez lat sto tysięcy.

Czemu? Ano temu, że Zachód zawsze nas – tutejszych –
oszukiwał, i teraz my te parę groszy sobie odbierzemy, nie
szablą, ale za pomocą księgowego albo jakiegoś samodzielnie
wymyślonego wałka, na który nikt z urzędników Zachodu
jeszcze nie wpadł. No więc bynajmniej nie o to nam dziś idzie,
że ktoś jest zawodowym złodziejem będąc naszym przedsta-
wicielem, i to wcale nie na jakiejś międzynarodowej bruksel-
skiej konferencji kieszonkowców. Nie.

Dziś tak naprawdę na tapetę wjeżdża coś poważniejszego,
a drzemiącego od lat, gdzieś może obecnego zaledwie w ja-
kichś opowieściach przy piwku. To kwestie słabości innego
rodzaju niż łaknienie łatwego pieniądza. Są to, zważmy, czyn-
ności, których ocena wśród elektoratów jest inna niż upy-
chanie do kieszeni pomiętych banknotów. Jest to mianowi-
cie rozpinanie gorsetu na wyjeździe. Tego się już raczej nie
wybacza. Rozpinanie w poczuciu nieostrożnej ulgi, że tam
można, że oto wieczorem nie widać żarzących się wszędzie
oczu sąsiadów i towarzyszy partyjnych. Że można wrzucić na
luz i nie trzeba zbierać podpisów pod gminną petycją o zde-
montowanie pomniczka siusiącego chłopczyka, który jest
rzecz jasna obrazą moralności, nowym marksizmem czy
czymkolwiek, co nam odpowiedzą i dadzą do powtarzania
w partyjnym sekretariacie. Tak, no więc można sobie pocho-
dzić w Brukseli wieczorkiem po starówce, zajrzeć tu i ówdzie
bez pocucia śledzenia, można sobie nawet zjechać z pierw-
szego piętra po rynnie, jak się ma odrobinę szczęścia, ale jak
się ma pecha, to rzeczywiście robi się przekichane, bo pośród
różnych konsekwencji jest i taka, że na ten temat zaczyna
mówić Ryszard Terlecki. A to jest zawsze straszne. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



**TYGODNIK
POWSZECHNY**


Aktualizujemy
cover photo co tydzień.
Od 1945 roku.

Młodzi duchem. Dojrzały słowem.

JESTEŚMY W TYM RAZEM

POMAGAM, GDY TYLKO MOGĘ.

WPŁACAM

PAH.ORG.PL/RAZEM

